



ΑΥΓΕΘΝΡ

ΠΙΣΑΜ

Κρα.

εξευ.

ακιεγο

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

PÓLDYABLE WENECKIE.
POWIEŚĆ.

POMYWACZKA.
OBRAZEK Z KOŃCA XVIII WIEKU.

TOM XIII.

Wydawnictwo na korzyść jubilatę.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1516

884-3



821.162.1-211.2

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Іюня 1879 г



L'amor comincia con suoni e con cant
Et poi finisce con dolori e pianti...

Piosnka ludowa

Cofnąć się potrzeba aż w przeszłość, chcąc pocieszyć oryginalnością ludzkich cbarakterów, samoistnością człowieka, który dawniej urabiał się mniej do formy jednej, swobodniej jakoś wedle żyjącej w sobie fantazyi, i był czém go Pan Bóg stworzył, nie wstydząc się siebie... Dzisiaj Europę z końca w koniec przedrowawszy, nie trafi się na wybitniejszą postać i żadna fizyognomia wyrazistsza nie przejrzy przez skorupę cywilizacyi. Wewnątrz zapewne jest zawsze toż samo, co tam i dawniej bywało, człowiek w gruncie jeden od początku świata; ale po wierzchu wygląda dziś jak migdał cukrem oblany, i trudno zgadnąć czy słodki czy gorzki, świeży czy nadgnily, a nawet czy to migdał tam siedzi, czy kawałek suchej skorupki bez smaku.

Dawne czasy i u nas, i wszędzie obfitsze były w oryginały, i nie było jeszcze tój łatwości przebiegania świata, która dziś ściera piętna, ogladza obyczaje, przenosi ludzi, a z nimi jakiś ogólny ton europejski, który w istocie zależy na tém, żeby być podobnym do wszystkich, a jak najmniej do siebie samego. Nawet twarze tracą powoli charakter dawny, wybitniejszy, przywdziewając jakąś maskę tandetną, którą staranne wychowanie nadaje... Wszyscyśmy do siebie podobni, z małemi różnicami...

Śmiano się przed niewielu jeszcze laty z ekscentryczności Anglików, z Hiszpanów i Niemców oryginalności; terazby się dziwić potrzeba, że już w tłumie nikogo z nich rozpoznać nie można. Angliacy wyuczili się po francuzku bez akcentu, a Niemcy zapuściwszy bokobrody sążniste, tak udają obywateli Wielkiej Brytanii, jakby się nimi urodzili.

Życie też i obyczaj nie wyrabia się jak dawniej własnym kunsztem i dowcipem, ale według pewnej recepty przyzwitości, ogólnie za najlepszą przyjętą.

Dla tego i nieszczęśliwy bazar, który wodyby wazyć nie chciał, musi malowniczego wątku szukać w skryształizowanej przeszłości, bo terażniejszość staje edwie na materyał do rachunku i na temat do karykatury...

Wszystko to cel mieć musi, i jest to widocznie stan jakiegoś przejścia, przerabiania się i cichój fermentacyi, z którego coś zapewne wyrośnie bardzo adnego i bardzo pożytecznego dla świata... ale z tego co teraz pożywamy (ni kwaśno, ni słodko) ulepisz chyba tylko bezbarwny i bezwonny placek... Trzeba więc, pożeguawszy świat rachmistrzów i gazeciarzy,

gieldę i bankierskie elegancye ozłocene na wszystkie boki, puścić się na wędrówkę... kędy pieprz rośnie.

Przysłowie to oznacza, że pieprz nieblizko rośnie, a pieprz jest tém co osmacza, podbudza, piecze, zachęca do życia... tego potrzeba szukać w przeszłości. Klimat dzisiejszy dla niego za zimny; pójdziemy więc w tę przeszłość osławioną i uwielbioną... przrzucimy spleśniałe rękopismów karty, zajrzemy do zbutwiałych trumien, na których wieku przegniłem siedzi usłpiona poezya z zeschlým wieńcem w ręku.

Niech się tylko czytelnicy nasi nie ulęką bardzo, jeśli niestara tę historję rozpocząć będziemy musieli od bardzo dawnych przypomnień: są one niezbędne dla zrozumienia następnych wypadków. Uznał to już i dowiódł ksiądz kanonik Ciampi, że pomiędzy Polską a Włochami stosunki bardzo były ożywione, wymiana ludzi bardzo czynna. Myśmy im tam posyłali bogatych suchotników, znudzonych wielkich panów, umierające panie i pobożnych a zamożnych prałatów; oni nam oddawali pożyczkę w niedouczonech doktorach, w niefortunnych malarzach, w nieszczęśliwych prawnikach, niekiedy wszakże w artystach całę znakomitych i rzemieślnikach niepospolitej wprawy.

Żart na bok: dużo naszej młodzieży uczyło się w Padwie, wyświęcało w Rzymie, bawiło w Wenecyi, a leczyło potem pod ciepłym słońcem Neapolu.

Ci co w Padwie przesiadywali, pociągali za sobą z powrotem do kraju jadąc, współuczniów lub nauczycieli. Słynęła Polska z zamożności, a z hojności jeszcze bardziej. Każdy się tu cudzoziemiec czegoś dorobił, a niejedem, *per pedes apostolorum* przyszedłszy

powracał poszóstno. Trafia się to przybyszom i dzisiaj: my tylko jedni poszóstno wyjeżdżamy, żeby powrócić z torbami, często jeszcze wstydu pełnemi...

Łatwo sobie wytłómaczyć, jak przodek mojego bohatera dostał się do Polski.

Był on doktorem przy królu Stefanie, któremu w wojnach i obozach towarzyszył. Drugi z téj rodziny Franciszek ożenił się z siostrą lekarza Bucceligo, nadwornego przy Zygmuncie III.

Trzeci się także w Padwie medycyny wyuczył, taby ją w Polsce praktykować, i za Zygmunta III panowie Lippowie de Buccelis otrzymali indygenat i szlachectwo polskie, a do rodowitych ich tarczy dwubarwionych, przez szczególną przyjaźń dla Lippięgo, Hieronim Gostomski, wojewoda poznański, starosta sandomierski, dodał im górą w czerwonym polu swojego białego Nałęcza.

Lippowie więc tu osiedli, i z ubogich niegdy mieszkańców Belluna i Padwy, gdzie mieli dwie stare kamieniczki, przeszli na zamożną polską szlachtę, possessionatów co się zowie. Gdy przyszło do tego indygenatu, o którym wspomniałem, na sejmie 1597 roku, musieli panowie Lippowie produkować się jako szlachta wenecka; ale nie zrobił trudności doża Marino Grimano, i wydał im na pergaminie malowanym ze srebrną pieczęcią dyplom tak wspomniały, iż mogli go śmiało pokazać najwybredniejszemu szlachcicowi. Na góry stały dwie tarcze, jedna wzdłuż podzielona na dwoje, druga dwoma w poprzek palami przecięta, z głową czarnego jastrzębia czy orła o złotym dziobie, wcale pokazań *).

Lippi, syn doktora, już ożeniwszy się z Polką, poszedł na zagon gospodarzyć. Powoli z Lippich zrobili się nawet Lipińscy de Buccelis; a wnuki już mało co po włosku umiały. Przechowywała się jednak tradycja o weneckim szlachectwie, o kamieniczce w Bellunie i domu w Padwie.

Dziad mego bohatera był nieco dziwaczny umysłu. Ubierał się z włoska, niekiedy bardzo bogato, czasem bardzo dziwacznie, jeździł w powozie alias kołebce malowanej pstro, sprowadził sobie murzynka którego stroił po wschodniemu i nieodstępnie miewał zawsze przy sobie... Coś tam we krwi jego włoskiej było fantazyi, która się z Polską butą mieszała, i pan Bernard, którego po prostu Bernatem zwano, choć wielkopolski szlachcic, urodzony z Polki, z Polką żonaty, mało co włoszczyzny umięjący, bawił się w senatora weneckiego i patrycyusza. Przez całe życie wybierał się jechać do Padwy i Belluna dla rewindykowania dziedzictwa, które mu, jak on dowiedział, niesłusznie wydarto. Ale z roku jakoś na rok odkładając wyjazd to dla słoty, to dla nieurodzaju, to dla niedobrego zdrowia, to z obawy, aby tam w Wenecyi wschodniego moru i zarazy nie zastał — dożył na zagonie rodzinnym do dni końca.

W dziedzicznym jegomości Robbinie było piękne jezioro, a na niem wysepka mała, u brzegów trzcinnami porośła, w środku piaszczysta. Otoż z tego ostrova Bernat sobi małą uczynił był Wenecyę, zmurowawszy tam parę domków na palach, dosyć okazałej z dachu struktury. Nikt tam nie mieszkał, prócz jednego rybaka; ale dziedzic często różne zabawy wyprawiał gości spraszając, i gondolami ich czarnemi, na sposób wenecki zbudowanemi, przewoził do swéj *Isola* Pa...

*) Oryginałne przywileje i indygenat są w posiadaniu ri-

jak ją nazywał. Na te dni stroił się w lamy i brał czapkę, która zakrawała na książęcą doży, oryginalnym kształtem; murzynek nosił nad nim purpurowy parasol, złotemi frendzlami przyozdobiony, a dwoje pacholąt faolet na poduszce i worek staroświeckiej formy, z którego jałmużnę rozdawał między dziadydki i chciwie na niego czekające. Był na wyspie i móżdziej, z którego na przybycie gości i gospodarza ognia dawano, i wieża z wywieszoną chorągwią, pomalowaną w herby Lippich z Nałęczem owym Gos-tomskich.

Wszystkie te niewinne dziwaetwa pana Bernata sprawiły, że mu okoliczni wieśniacy, ba! i bracia szlachta dali przydomek: — Półdyablę Weneckie. Wiedział on sam o nim, ale się z niego śmiał i prawie mu był smad; a gdy na humor mu przyszło, pytał się czasem z cicha sąsiadów — „A co? prawda? półdyablę? he? półdyablę weneckie?” I brał się za boki śmiejąc, tak mu się ten przydomek podobał.

Ale żadne w świecie, by najniewinniejsze dziwactwo i fantazyja, płazem człowiekowi nie przechodzi. Mimo jejmości, która była zapobiegliwą i oszczędną, mimo pięknej wsi posagiem wziętej, mimo kapitałów dziadówskich jeszcze, Bernat dobrze majątności naderwał; a gdy życie skończył, wierzycieli obliczono, syn jego mości i pozostała wdowa przestraszyli się, aby im nieowizny zbywać nie przyszło.

Jednak pracą i oszczędnością jakoś się to polatało. Tylko się zaraz wyrzekli wszelkich owych pańskich fantazyj, budynków na Isola Bella, które opustoszały zupełnie i poszły w ruinę, gondoli, którym próchnieć pozwolono, i murzynka. Tego przyjął do służby swój ojciec Jąbłonowski.

A że za pana Bernata dużo się ludzie byli rozpróżnowali i opuścili, musiał syn jego sprężyć się brać do gospodarstwa, co się nie podobało; ochrzczono go więc znowu owem spadkowym — Półdyablęciem Weneckiem.

Wcale to nie był zły człowiek, i szatańskiego w sobie nic nie miał; ale ściślej pilnując sprawiedliwości, nie pობlażając nikomu, naraził się wielu. Surowego był nader obyczaju, posępnego oblicza, a pod starość księgi lubiał i chętnie się w nie wczytywał. Mając zaś tak prawie jak dwie ojczyzny, obu się uczył, obu wspomnienia cenil i zbierał.

Był on właśnie ojcem bohatera naszego Konrada Lippiego, pospolicie Lipińskim zwanego.

Po upadku konfederacyi barskiej, wielu z tych, co w niej czynny udział mieli, zniechęconych stanem rzeczy obecnym lub spodziewających się rychłej jego zmiany, rozpierzchło się po Europie. Niektórzy z sercem osmutniałym a piersią pełną poezyi tej uroczystej doby, która religijnego ducha podniosła, powrócili do domów, aby przy roli i pracy zapomnieć o tém, co bolało. Odpasane szable zawisły nad łóżem przy ryngarafach z Matką Bozką Częstochowską, a żołnierz w kitlu płóciennym i skórzniach po kolana, poszedł za plugiem, odśpiewując pieśń księdza Marka do Matki Bożkiej i Królowej... niebios.

Do tych rozbitków, którzy się waleśać po obczyźnie z razu nie cheieli, należał i Konrad Lippi.

Dziedziczył on po ojcu i dziadzie wieś ową w Poznaniańskim, Robnin, na której jeziorze jeszcze w ruinach stały fantazyje dziadowskie, a razem spadło na niego niezastuzenie i przezwisko owo — Półdyablę Weneckie, — które już szło z ojca na syna.

Konrad wychowany był bardzo troskliwie i starannie przez ojca, który też chciał, aby choć jeden z synów jego włoskie pochodzenie rodziny miał i w dużej mierze dobrze kazał. Ojciec Jezuita, Włoch, który się Konradem zajmował, wywiązał się z tego nader szczęśliwie, tak, że młodzieniec i język, i dzieje Rzeczypospolitej znał jak własne polskie. Ale cieniem jakoś więcej był przyrósł do tej ziemi, na której się urodził i wychował.

Konrad, gdy konfederacja się zawiązała, przystąpił do niej, i jako prosty żołnierz bić się poszedł; potem nieprześladowany jakoś, do rodzinnego kąta mógł powrócić.

Ale na niego tam nikt nie czekał... Konrad dawno był rodziców stracił, siostrę miał zamężną aż w Kaliskiem, brata rodzzonego osiadłego w Prussiech około Chelмна, a w domu z rodziny żywego ducha. Wyruszając na wyprawę, powierzył gospodarstwo, mienie i zarząd interesami, staremu Pukałowi, Litwinowi, kędyś od Kowna rodem, pacholęciem się był jeszcze przybłąkał do dworu w Robninie do rodziców Konrada, służył najprzód przy pokoju, potem przy gumnie, pomagał ekonomowi, wyręczał pisarza, ale że wyrobił się z niego człowiek bardzo poczciwy, stateczny, rozsądny, w końcu mu powierzono tak jak wszystko: klucze, rejestra, pieniądze i nowy dziediec weale mu ich odbierać nie myślał, boby sam pewnie tak jak on rady nie dał.

Pukałowi był wzorem tych starego autoramentu rządów, co się tak z rodziną zjednoczyli, iż swojego własnego interesu nie mieli, a w panach swych żyli cali. Wynosił na rękach Konradka, pannę Annę i pana

Bolesława, pogrzebał oboje starych Lipińskich, wydał Anusię, naostatek na wojaczkę wyprawy, którego najwięcej kochał.. i oto on jeden witał go teraz z powrotem.

Dla niego w Robninie nie było kąta, człowieka, rzeczy, którejby nie znał z gruntu i historii jej nie wiedział. Ledwie już pamiętał miejsce rodzinne, ma-ło co wiedział o swoich nad Niemnem; ale tu... tu mu się trawa spowiadała, gdy rosła; znał genealogię wszystkich gniazd bocianich; ludzie wiejszy niepewni metryki do niego się udawali po objaśnienie, kiedy się kto rodził. Pamięć też miał doskonałą, a serce chyba jeszcze lepsze. Dla czego się był nie ożenił dotąd, chociaż już tego poszpakowaciał, to tylko Panu Bogu było wiadomo.

Dosyć niemłody, wyglądał jeszcze różnie, zdrowo, trzymał się prosto, i weale lat, które miał w istocie, nie pokazywał.

Nie brzydził się też niewiastami, i owszem, wzdychywał do wielu, ale ile razy sunął się do kobierca, zawsze mu coś na drodze stanęło. Woli bożej jakoś nie było i nie było. Pukałowi to sobie w końcu wyperswadował, bo był pobożny, a z wolą bożą godzić się nauczył, i mawiał, gdy się go pytano: — „Musiał być lepiej, kiedy się nie udaje... człowiek często pragnie mocno tego, czego potem ma żałować... zatem stań się wola Twoja! Wie Pan Bóg co robi.”

Z Litwy jedną tylko rzecz wyniósł z sobą Pukałowi: przysłowie stare, dawniej snadź używane w miejsce zwykłego dalibóg, aby Imienia bożego nie nadużywać, powtarzał często bardzo *Dalifur*, i z tego poszło nawet, że go potem więcej nazywano panem Dalifurem niż Pukałowi.

Gdy panicz sobie mundur sprawił, a karabelę ojcowską przypasał i gniadosza najlepszego ze stajni wziął pod kulbakę, Dalifur się nplakawszy, przeżegnał go Karawaką i poszedł z nią i z koronką około gospodarstwa jak zwyczajnie. We dworze ani znaku nie było, że panicza zabrakło. Pilnował Pukało, żeby tam wszystko było na swoim miejscu i w porządku. O południu regularnie chodził zegar gdański nakręcać, żeby nie stanął; w piękne dni sam okna odmykał, garderobę wietrzył, pyły ścierał i przechadzając się po pustych komnatach, nawzdychał się i naplakał nieraz do sytu.

Bo dla niego od wielu lat nie a nie się tu nie zmieniło na jotę jedną w losach, zajęciach i nadziejach. Kapota jego szara przeżyła staro Lipińskiego; dzień dzisiejszy podobny był do wczorajszego jak brat rodzony; w izdebce, którą zamieszkiwał lat dwadzieścia, patrzył na jedną szybę z rysą i piec popękany... a tymczasem na świecie ile doli ludzkich, i żywotów i szczęścia rozprysło się w tym młyńskim ruchu gorętszej wrzawy!...

Nieraz to sobie przemyślał Pukało: czemu ludzie nie starają się o ten spokój, na którym jak na wygodnej łódce przepływa się ów burzliwy ocean życia i dobiega do brzegu, prawie nie poczuwszy podróży? ale—trudno mu było zrozumieć wszystko na świecie, a i pretensyi do tego nie miał.

Zaraz po ostatnich klęskach konfederatów, napisał do niego pan Konrad, że przybędzie, i już czekało na niego w Robninie. Cieszył się Pukało, że panicz choć z życiem ocalał, i zabierał się z nim rozmówić o przyszłości w ten sposób, aby do dalszych niebezpiecznych wycieczek odjąć ochotę.

Robnin był co się zowie porządną posiadłością szlachecką; nie zbywało jej na niczym, rola była wysmienita, lasu i łąk dostatek, jezioro rybne, rzeczka spokojna a wygodna płynęła doliną, zabudowania gospodarskie były fundamentalne... a i ludzie zamieszkujący na gruntach od wieków już zespoleni z Lipińskimi, przywiązali się do nich, i choć swych panów dziedzicznem imieniem: Póldyablę Weneckie, nazywali, kochali ich przecię. Był i kościółek, i plebania mała, i nieopodal gościniec bity do miasta, które niezbyt odległe leżało, i austerya intratna, z której arendarz, też przyjaciel dworu, zwany Parnesem opłacał ze trzy tysiące złotych rocznie, nie licząc kawy, cukru, mięsa i świec łojowych, dodawanych tytułem porękawicznego. Porządny młynek rzeczny także coś znaczył.

Nietylko rodzice pana Konrada, ludzie porządni, gospodarni i lubiący ład, przyłożyli się do zbudowania bardzo pięknego folwarku, ale i dziadowskie fantazyje dały się na coś pożytecznego poprzerabiać, oprócz ruin na wyspie. Lamus wyglądał jak baszta murowana; dwór z drzewa, pruskiego muru i cegły w przybudówkach, mógłby się być nazywać pałacikiem... tak z daleka dobrze się prezentował. Wszystko zeszła szło z nim w parze.

Chlubił się ojciec pana Konrada, że u niego chlewka nawet byle jak skleconego nie znalazł. Folwark, w którym Pukało mieszkał, a naprzeciwko stara karczma Murzynowska, tak był wygodny, że druziemu szlachecowi mógłby być za dwór służyć, i nie powstydzilby się pewnie.

Sąsiad Robnina, niejaki Pyszewski, pocziwy człek,

ale szalała niezmierny, powiadał, że u Lipińskich było lepiej mieszkało, niż u niego ludzie.

Słynie też ostatni z Lippich Lipińskich z ładu i dostatku. Nie było to bogactwo, nie zwało się państwem, ale na tej jednej wsi odłużonej przez nieboszczyka Bernata, ojciec Konrada dokupił drugą dla Bolesława, zebrał posag dla Anusi i zostawił synom znaczne kapitały. Ale żyło się skromnie bardzo, wygodnie, zdrowo, a wcale nieszumnie. Pamięć starego owego, co się bawił w patrycyusza weneckiego, była skutecznym przykładem. Nigdzie chleba smaczniejszego nie znalazłeś niż u Lipińskich, ale marcypana tam nikt nie powąchał. Poszło to już w obyczaj, i obaj synowie byli ludzie, choć dobrze wychowani, do prostoty przywykli, do twardego życia i wielkiego porządku.

Pan Bolesław mieszkający w Kaliskim zupełnie się wdał w ojca, ożenił, zagospodarował, roli patrzył, a było mu tego co miał bardzo dosyć, i więcej nie pożywał. Anna też poszła w ślady matki, wydano ją za męża, życie jej wiejskie smakowało, dziatki ją zajmowały; krętanina około apteczki bawiła ją i była szczęśliwą.

Konradowi już z młodu — choć go najlepiej lubili i ojciec, i matka, i Pukało, i wszyscy we dworze, był chłopak stateczny — choć jakoś nie na hreczkosieja i domatora z oczu patrzyło. Gorączka był, ciekawy, i jak to mówiono dawniej, smakował mu światek.

Ale ojciec postrzegłszy to, jeszcze gorliwiej pracował nad nim niż nad innymi dziećmi, i potrafił tyle, że z żywego srebra, jak powiadał — zrobił srebro żywe...

Po śmierci rodziców, gdy się Konrad został samuteńki jeden w owym wielkim dworze robnińskim, z zegarem wybijającym pomalutku jednostajne godziny, ze ścieżkami wydeptanymi przez starych, których zabrakło, z pamiątkami młodości brata i siostry, co się ztąd powynosili — bardzo mu się tęskno zrobiło.

Ani polowanie, ani sąsiedzi, ani gawęda z proboszczem, ani nawet ukończony Dalifur rozzerwać go nie mógł i rozweselić. Najlepiej to widział i najwięcej się tym gryzł Pukało; ale jego rady panicz nie chciał słuchać. Bywało, przyszedłszy wieczorem na kolację — bo obiad jadał wcześniej na folwarku lub jak tam gospodarstwo pozwoliło, a wieczerzę zawsze z paniczem, — Pukało po kieliszku gorzalki, jak się rozgadał, namawiał pana Konrada na ożenek, i sam mu nawet bogdanki swatał. Ale panicz na to mileczał.

— Już, dalifur — mawiał — takie życie jak to panicz prowadzi, toby się i świętemu uprzykrzyło. Cóż to teraz ten dwór, jeśli nie grób! Gdzie stąpisz to po nieboszczyku, a nie ma do kogo żywego słowa przemówić... Ale też sam Pan Bóg nakazał i przypomina, aby tu nowe życie wprowadziła niewiasta, a zaraz będzie inaczej.

— Daj mi ty stary pokój! odpowiadał Konrad: na to jeszcze czasu dosyć; a jakbym tu albo trzpiota wwiódł, coby mi do góry nogami stary dwór przewrócił, albo biedę, niepokój... pierwszybyś pewnie płakał i narzekał... Ożenienie, ty to wiesz najlepiej, nie człowiek sam zarządza, ale Opatrzność. Jak się go zbyt zachce komu, niechże się ma na baczości, bo pewnie będzie potem pośpiechu żałował.

Ale to były słowa bardzo rozsądne, a nie ze wszystkiem szczerem; wiedział Pukało, że pan Konrad nie dla tego się nie żenił, aby się obawiał, ale że mu żadna do serca nie przypadła, a po głowie jakiegoś złotoskrzydła latały bogdanki.

Pan Konrad lubiał po polsku i po włosku czytać, a najwięcej czytywał poetów, i od młodych lat przyplątały się mu marzenia dziwaczne... więc powszedni chleb i ludzie powszedni nie smakowali.

Tego się też stary lękał bardzo, i radby go był co prędzej ożenił, aby ostudzić, bo wiedział, że gdy w świat prychnie, nie powróci do gniazda bez złotopiórej ptaszyny. Tych to piór złotych strachał się poczciwy Pukało, myśląc, jak one często niezłotą okrywają duszę...

W sąsiedztwie pańien hożych było podostatkiem, ale wszystkie szyły w krosnach, robiły sery przedziwne, piekły baby doskonałe, a żadna jakoś nie kwalifikowała się na ową boginię.

Gdy pan Konrad poszedł na wyprawę, Pukało na intencję zdrowia jego, powodzenia, i też by go tam, jak mówił, czupiradło gdzie jakie nie uловиło, odmawiał regularnie koronkę do Przemienienia... Jakoż jednego szczęśliwego wieczoru doczekał się panicza... Ale ów żołnierz strojny powracał z szablą w bryce, bez munduru, a co gorsza, bez gniadosza. Legł poczciwy wierzchowiec od kuli. Konradowi też druga podrapała nogę, ale nieszkodliwie.

Pukałę wyściskawszy w progu, panicz znów wszedł z nim do dworu, do pustych komnat, w których tylko zapach zeszlęj lawendy powkladanęj od molów przez Murzynowską, czuć się dawał i jakoś pustkę przypominał. Dziwnie smutno, grobowo wy-

dała mu się ta siedziba, której każde krzesło, stół, sprzęt przypominały pogrzebanych: ojca, matkę, — oddalonych: brata i siostrę. Staruszek zegar wystukiwał swe wiekuiste *memento*. Nic się tu nie zmieniło, tylko śmierć powymiałała kąty.

Dalifur rozradowany powrotem, pytał, odpowiadał sam, śmiał się; dla niego teraz dwór ożył, gdy panicz powrócił.

Ale Konrad powrócił tak smutny, przygnębiony, zrozpaczony prawie, milezący, że się aż Pukałe wkrótce też wesołości przebrało. Co otworzył usta, to z nich ból leciał i lał się, albo czarne przezucia.

— Że niewesoło nam, dalifur, rzekł Pukała po kilku odezwaniach się swojego panicza — no, to prawda; ale na Boga miłego, póki człek żyw, truć się nie powinien temi myślami, które mu życie i ochotę do niego odbierają... Niech-no jegomość wypocznie, odje się trochę, rozpatrzy po gospodarstwie, a o jakiejś pracy pomyśli. Czems się trzeba zająć... w słowach pociechy mało, ale w robocie lekarstwo jedyne. Gdybyś pan choćby wyła służyć uczył, jużby lepiej niż tak siedzieć i stękać... Pan wiesz jak to stary nasz jegomość mawiał, że na żelezie, co leży owzka cie, rdza w końcu porosnąć musi, a stary mąż męstniamie w robocie, to też się i świeci...

Rozśmiał się pan Konrad.

— Dajże mi robotę, mój stary nozu... rzekł z uśmiechem.

— Jak ja ją dam — odparł Pukało — to się ona, dalifur, na nic nie zda. Dla człowieka praca tylko ta dobra i zdrowa, którą on sobie sam znajdzie i wyjmie ją z pod serca.

Ale melody już i nie słuchał — chodził a wzdychał.

Przesiedział tak w tej pustce miesiąc, trochę zapolał, nieco czytał, wieczorami czasem o gospodarstwo popytał, niekiedy konno się przejechał, to na ganku siedząc poświślał, żeby przechadzającemu się po dziedzińcu Pukale dać wyobrażenie o swój wesołości, ale mu był z twarzy widny taki ucisk serdeczny, że się staremu aż żal młodzieńca schnącego tak marnie robiło.

Już późną jesienią, coraz chmurniejac, rzadziej z domu wyglądając i wychodząc, pan Konrad zachorzał; a była to choroba, której i nazwać trudno, i leczyć niepodobna. Nie bolało go nic, nie umiał powiedzieć co mu jest, a wychudł, zmizerniał, zbladł tak, że widocznie każdego dnia życia z niego ubywało. Ani ochoty do jadła, ani do snu chęci, ani do zabawy popędu; siedział w oknie, wzrok miał wlepiony gdzieś, bodaj w ścianę, a gdy się kto do niego odezwał, porывał się nagle przestraszony, jakby go ze snu przebudzono. Na twarzy skóra poprzsychała do kości, oczy mu błyszczały jakoś szklisto, a bez życia...

Pukale aż na placz się zbierało. Wspomnił coś o doktorze, ale się Konrad nań ofuknął, dowodząc, że jest zupełnie zdrow i wcale się chorym nie czuje.

Trzeba było fortelu zażyć: namówili się więc z Murzynowską, która stękając położyła się w łóżko, a folwarczne konie posłano po doktora do miasteczka, niby dla niej. Obrachował się tak Pukale, aby doktor być musiał na obiedzie we dworze i panicza widział; umówił się też z nim wprzódy o co chodziło. Nie było naówczas u nas prawie innych doktorów nad Niemców; ten też rodem z nad Renu zwał się Werner, i mało co, ale bardzo źle mówił po polsku, a mniej jeszcze życia naszego rozumiał. Doktor to

był dobry, ale tej szkoły, która w człowieku widziała tylko mięso i leczyła mięso — sprawy ducha były dla niego wcale niezrozumiałe...

Co duch zbroił w człowieku, zwałało się na nerwy, a na te były też lekarstwa; i gdy nerwy spętano, że się dusza nłemi posłużyć nie mogła, zdawało się, że i ona być musi zdrowa.

Werner pod pozorem obiadu zaszedł do dworu, umiał nawet nieznacznie dopytać się języka chorego i pulsu, ale znalazłszy go wycieńczonym, z gorączką, po długim badaniu, odjeżdżając, powiedział Pukale:

— To jest choroba... i to nie jest żaden choroba... jemu trzeba żonka... zabawa... wesołości... będzie jemu zdrowa...

— To także mi nowinę powiedział za mój czerwony złoty! rzekł Pukale. Niby to ja tego nie wiem, że jak będzie wesół, to nie będzie smutny! Jak mu tę żonkę sprokurować... dalifur... to sęk...

Mozolił się i kłopotał Pukale, i naradzał z Murzynowską, która bardzo jakieś skuteczne ziółka uspakajające z dodatkiem szafranu zalecała... ale pan Konrad w żadne leki wdawać się nie chciał, sechł i trybu życia zmieniać nie myślał.

Rok też cały w okropnym niepokoju strawił Pukale. Posyłał do siostry, ale ta dla bliżkiej słabości przybyć nie mogła; dawał wiedzieć bratu, który na krótko zjechał i przerwał trochę jednostajność Robnina; ale gdy za bramę wyruszył, znowu Konrad zagrożony w myślach, na ścianę począł patrzeć.

W końcu potrzeba było nareszcie uwierzyć, czego od początku domyślała się i dowodziła stara klucznica Murzynowska, że na pana Konrada jakiś fatalny urok rzucono. Chodziło tylko o to, gdzie wyszukać baby,

któraby naturę tego czaru rozpoznawszy, umiała mu go skutecznie odjąć — i żeby pan Konrad nie opierał się doświadczeniu, jakiego na nim uczynić chciało... a poddał się odczarowaniu z pokorą.

— Że to są uroki, mówiła uparcie Murzynowska — na tobym gardło dała... Młody człowiek... to nie jest żadna choroba... ludzka tylko przewrotność, zemsta, nasłanie. Ale jak go tu na babę namówić!

Pukało nawet wniosku tego uczynić się nie podejmował. Tymczasem Murzynowska po baby zachorki od wsi do wsi, dowiadując się, latała... Ale czarownice jakoś już naówczas były rzadkie. Do drobnych posług można było znaleźć je jeszcze, nawet do zdjęcia uroku i zrzućcia go na psa... ale z pana szlachcica żadna się nie podejmowała odczynić nasłania.

Już Pukało miał księdza namówić, aby pod pozorem jakiego błogosławieństwa, duchownych użył egzorcyzmów, a to opętanie zdjął z niego — gdy nagle niespodziewana zupełnie zaszła zmiana.

Było to jakoś wczesną wiosną, a właśnie owies siać miano i Pukało z nim pośpieszał, bojąc się, ażeby rola do zbytku nie osehła, pamiętny na przysłowie: „Kto rzuca w błoto, ten zbiera złoto,“ — gdy z największym podziwieniem swém, mając siadać na stępaka, odebrał ze dworu wezwanie, ażeby niezwłocznie do pana przyszedł.

Przestraszył się starowina, bo od czasu jak tak zachorzał, nigdy go pan Konrad nie wzywał, a mało kiedy nawet wieczorem się z nim rozgadał...

— Cóż to tam takiego? zapytał chłopca, który przybiegł po niego, — czy nie przyjechał kto?

— Nie, nie ma nikogo, pan sam, proszę jegomości — odpowiedział tak zwany węgrzynek, w istocie Maciek ze wsi rodem, — tylko od wczorajszego wieczoru, cości panicz jakby to zdrowszy... Trochę nawet se podśpiewuje, krząta się po pokojach, ubrał się jakoś i czuprynę do góry zaczesał...

— O! o! dalifur... a to chyba cud!... krzyknął stary. I zaraz stępaka oddawszy stajennemu, pośpieszył.

Został pana Konrada w ganku, i aż mu się, spojrzawszy nań, lice też rozpromieniło... Był ubrany, twarz miał nieco bladą, ale świeżą, w oczach powrócona młodość świeciła, jakby inny, odrodzony wyglądał człowiek...

— „Pan Jezus przy dziecięciu! — zawołał w duchu — a cóż to się święci?...“ I podszedł ostrożnie, a z cicha, jakby się obawiał spłoszyć tę odrobinę wesela, tego zwiastuna lepszej przyszłości.

— Czy pan mnie kazał wołać? spytał udając obojętnego, choć mu serce biło.

— Al chciałem cię prosić, mój poczciwy stary przyjacielu — wdzięcznym głosem odpowiedział panicz, — miałbym z tobą co do pomówienia.

— Aby dobrego! zawołał Pukało: toć ja zawsze na usługi pańskie... Choć w téj chwili chciałem przypilnować jak tam oni owies siać będą, ale niech tam gumienny idzie... On nie ma konia... nasienia nie ukradnie przecię, — a nim zabronują, to i ja do-skoczę...

— Siadajże-no na lawie... sam siadając, rzekł Konrad. Nie napiłbyś się wódki?... ranek chłodny...

— Ba! a z kim? sam wódki nie piję — odparł Dalifur.

— No, to ja do was przypiję...

— O! to z miłą chęcią...

— Wiesz co, po kieliszku staruszki... dodał, uśmiechając się młody człowiek.

— Już zgoda, choćby na wotryol... rzekł uradowany Pukało.

Węgrzynek pobiegł na skinienie do apteczki, i powrócił z flaszką, chlebem, solą... ba! i z piernikiem.

Patrzył Pukało jak on też będzie pił, ale zobaczywszy, że szczerze wychylił kieliszek, aż mu się lżej na duszy zrobiło, od roku bowiem panicz nie pował żadnego napoju.

— To już chyba ktoś zdjął czary! rzekł w duchu.

— No, mój Pukało, będziesz ty na mnie gderał może — odezwał się po chwili Konrad, — ale już tak dłużej marnieć nie chcę... trzeba mi się trochę rozruszać... myślę w podróż się wybrać.

— A to Duch Święty natchnął! zawołał Dalifur, składając ręce. Albożbym to ja temu oponować się śmiał! Jedź pan, jedź, ino nam wesół powracaj. Czy do siostry, czy do brata, czy wreszcie choćby do Warszawy, do Krakowa... toć się pan rozerwie, a i wszystko dobrze będzie.

— Ale ba! zaśmiał się Konrad: ty myślisz, że ja na taką małą wybieram się wędrowkę?

— No? a dokądże?

— Pomyślałem sobie... ot... zobaczę moją, a raczej moich dziadów ojczyznę Wenecję, a ztamąd łatwo mi się będzie i do Grobu Pańskiego, do Jerozolimy dostać.

Pukało struchlał...

— To źle — rzekł w duchu — to źle! Próznom się za wczasu ucieszył.. gorszem to jeszcze pachnie niż siedzenie w domu.

Nie śmiał się wyraźnie sprzeciwić Pukało po bożnej intencji; wiedział, że do Jerozolimy pielgrzymów jeździ siła; znał to, że się nie godzi od takiego aktu odciągać; słyszał, że księżę Radziwiłł był tam Sierotka i wielu panów świeckich i duchownych; a Wenecyi też, do której jakiś instynkt ciągnął serdeczny, nie wypadało odradzać. Ale gdzie znów młodemu i nie tak bardzo bogatemu chłopcu — myślał — na taką się puszczać imprezę?

Z razu więc zamydlił ni tém ni owém.

— A czemuż nie! czemuż nie! rzekł — tylko że to oboje, choćby i ta Wenecya, cóż dopiero Jerozolimma... daleko strasznie, a podróż kosztowna... i do licha, niebezpieczna... W Ziemi Świętej z pogany sprawa... z morzem, z okrętami... z fluktem niepewnym, z nawą kruchą... E! gdyby tylko intencya pielgrzymki, tobym wotował za Kalwaryą naszą albo Czełstochową.

— Zapominasz o Wenecyi, mój miły — odparł Konrad — i o tém, że ja jechać chcę właśnie dla widzenia krajów, dla poznania świata... dla...

Pukało niedobrze i tę ciekawość i tę żądę zrozumiał — ale jak się było opierać?... nużby znów w tę niebezpieczną popadł chorobę?

— Może-ć to taka podróż i nie ruina — odparł — ale zawsze... bez jakich tysiąca czerwonych złotych ani myśleć się ruszyć... a może i drugi zaczepić wypadnie... dodał, kiwając głową. Ono-ci się to tar

i znajdzie... dalifur... ale... prawdę rzekłszy... posypać to po drodze, trochę szkoda...

— Myślę, że się to i mniejszym kosztem obejdzie, odparł pan Konrad. Dwa razy do roku albo i więcej, jakem czytał, odpływają z Wenecyi okręty do Ziemi Świętej, pielgrzymów tam jeździwa dużo i nie bardzo dostatnich... przecież się ważą na to... no, i cali powracają. Wystaw sobie, kochany Pukało—dodał z zapalem i uśmiechem — zobaczyć naszą dawną ojczyznę, Włochy, Wenecję, morze... Palestynę i gród uświęcony przez Zbawiciela...

— Daj tylko Boże cało i jak najrychlej powróci! westchnął stary... Czemuż nie! czemu nie! Ale za pozwoleniem pana, nie obrazisz się gdy zapytam: zkąd to panu ta myśl przyszła?..

— Nie naturalniejszego, odpowiedział Konrad: myślałem o naszej ojczystej Wenecyi... czytałem o podróżach... i ot...

Stary głową pokiwał...

— Jeśli to ma posłużyć panu, orzeźwić, dodać do życia ochoty... potrzeba natchnienia słuchać... Tylko dobrodzieju mój — rzekł ciszej — jak tam z tymi Arabami czy Turkami? czy bezpieczni to ludzie? czy pogany te lada kogo nie zaczepiają?

— Tylko się im opłacać potrzeba, odparł uśmiechając się Konrad. W najgorszym razie, częścię obędrą, niż na życie się targną.

— No to tak niby jak i z Niemcami! zawołał stary. Jeszcze to pół biedy, byle na krew chrześcijańską cheiwi nie byli i na nią nie czyhali... a znów do kata w niewolę nie uprowadzili, bo z niej się wykupować to i wioski mało... Wszak-ci to dziad nieboszczyka pana podkomorzego był u Turka w Ca-

rogrodzie w niewoli, a familia go ledwie za wielkim staraniem OO. Trynitarzy dostała, na wagę srebra zań opłaciwszy... Jeszcze oprócz tego co prezentów nadawali dragomanom, a co fundacyj na tę intencyę, a i pół klasztoru Trynitarzom przez wdzięczność budowali tak, że się niemal na pół wieku zrujnowali.

— O to się nie lękaj stary! wesolo zawołał Konrad: nie ja pierwszy jadę, nie ja jeden... siła tam co rok pątników, powracają przecię cali i zdrowi.

— No, niech i tak, dalifur, niech i tak! potakując począł Pukało. Teraz co do grosiwa wypadnie konferować. Co do tego krótką zdam sprawę. Jest tysiąc czerwonych złotych tych, co się zawsze nazywały jeszcze za życia nieboszczyka ojca pańskiego *zakłętymi*, tych jabym nie ruszał. Złoto węgierskie i obrączkowe, dukat w dukat dobrane jak perły; szkoda by było puścić marnie... Okolo tysiąca zbierze się różnej monety okolo domu, a tysiąc pożyczylem kupcowi do Poznania tak, abym je mógł na każde zawołanie odebrać. Płacą od nich prowizyi pół procentu co miesiąc i dają kawę i cukier. Człek tantny... napiszę tylko do niego, za dziesięć dni będą.

— A na Boga, po cóż mi tyle! wykrzyknął Konrad.

— No, bez okrągłego tysiąca ja pana nie puszcę, odpowiedział stary — już jak tam sobie chcecie. Gdy się jedzie w kraj daleki, między ludzi, nie można się ladajako pokazać, zwłaszcza w tej Wenecyi, bo to się tam przybywszy z Polski należy i postawić, aby nie myślała szlachta wenecka, że my tu samym razowym chlebem żyjemy. Koło domu to tam człowieka znają i nie sądzą go z miny; ale po za krajem mieszek nabity, to najlepsze *testimonium* i *litte-*

rae passus. Nie przystoi, aby mego dobrodzieja wzięli tam za jakąś hetkę pętłkę. No, nie pojedzieć się też — dodał stary — bez czeladzi, bez pacholika, bez dworzanina... a no człek do koni jeden i drugi, i koni też...

— Stój! stój! mój Pukało! śmiejąc się przerwał Konrad. Co znowu! co ci się śni! Ja myślę lub sam jeden, lub najwięcej samowtór z węgrzynkiem. Czy to ja taki wielki pan? a teraz już i nie te czasy. Konie mi żadne potrzebne nie są, przyborów nie wiele; te więcej ciężą niż pomagają.

— A! no, to jak wy tam sami rozporządźcie... szepnął Pukało. Przecież w taką drogę tak z kopyta ruszyć niepodobna, trzeba się przygotować. Obyślimy wszystko; a ja do mojego Kasperowskiego dziś jeszcze o dukaty napiszę.

Poskrobał się stary po łysinie, bo mu się żal zrobiło onych zapaśnych tysiąca czerwonych złotych, ale pocieszył się w duchu, mówiąc sobie: „Pal ich dyabli! aby panicz był zdrow, a nie nudził się, dałbym i dwa. To się odrobi... aby życie i siła...”

Piorunem poszły przygotowania do podróży, bo raz myśl tę powziąwszy, gorączkował się Konrad, chodził, napędzał, śpieszył, aby co najprędzej wyruszyć. W tydzień istotnie Kasperowski złoto owo z Poznania przywiózł, a choć były między niemi i obrzezańce, w ogóle jednak niezłą wagę trzymały. Pięćset najdorodniejszych, tłustych, tuczonych, jak mówił stary, karmionych, dodawał Kasperowski opieczętowano osobno, na ostateczny jakiś wypadek gdyby już jaka bieda przyszła. Trzosa uszyto umyślnie zamszowy, moeny; Murzynowska białą suknię, a które kordyały nieodzownie w d... e potrzebne...

rać poczęła. Sam Pukało dobierał suknie, pasy i w czémby się przystojnie okazać można. Koniec końców, rupieci się aż do zbytku wiele nazwłóczyło, bo ludziom co mało po świecie się kręcili, wszystko zdawało się bardzo potrzebne. Chcieli nawet koniecznie namówić panicza, aby wziął koldrę, losią skórę i poduszek choć ze dwie, ale temu się stanowczo oparł Konrad, i kontentował jedną skórą.

Wszystkie te węzélki, puzderka, sepeciki, sakwy byłyby objuczyły wielbłąda, ale Murzynowska i Pukało zaklinali się, że bez tego stąpić za próg nie było można. Klucznicza nie wyobrażała sobie nawet, aby bez domowej mięty pieprzowej i melisy puścić się w świat godziło. Trudnoż było nie mieć flaszki wódki w zapasie, trochę chociażby wędliny, kawałka sera z kminkiem i słodkiej jakiegóś przekąski.

Pukało ledwie się zgodził na to, aby na jednym poprzestać węgrzyku, myślał dać starszego i stateczniejszego sługę; ale chłopak się panu do nóg rzucił i wyplakał, że go wzięto.... Tak mu się chciało Grób Pański oglądać!

Ten węgrzynek, w istocie, jak mówiliśmy, prosty Maciek, dla czego się węgrzynkiem mianował nie było dobrze wiadomo; to pewna, że w Węgrzech się nie urodził i ani ich powąchał... Węgrem był domowego chowu, tyle tylko, że go ubierano z węgierska. Czupurny malec, wesoly, roztropny, odważny, wygadany, był, jak to dawniej mawiano, ciekawy bardzo. Sam się czytać prawie nauczył i do książek się rwał strasznie, był też do panicza swojego przywiązany balwochwalsko; wadę miał przecię jedną, lat siedmnaście, a z téj przyzwyczajony niesłychanie czule serce dla płci niewieściej, za... szalał. Oplacało mu się to nie-

ustannemi kłopotami, guzami nawet i tysiącem nieprzyjemności, ale cierpiał wesoło i wcale się tём nie zrażał.

Zwrócił uwagę pańską na ten defekt węgrzynka Pukało, ale pan Konrad się rozśmiał i ramionami ruszył.

— Za granicą — rzekł — nie znając języka, trudno mu będzie wdać się w jakie miłosne konszachty...

— Ale ba! odparł Dalifur: to takie stworzenie zjadł, że się gotów pannom na migi oświadczyć; ale ja go zreflektuję na odjeźdném tём — dodał — że mu przyrzeknę pięćdziesiąt odlewanych, jeśli mi najmniejszego głupstwa zrobi. A że ojciec jego nieboszyk przełał na mnie swą władzę umierając, dotrzymam święcie.

Węgrzynek wysłuchał wprawdzie tój obietnicy wyszczerzając zęby, ale go ona nie ustraszyła... Szezęśliwy był, że jedzie z panem, tak, że gdyby mu Pukało *anticipative* wyplatę należności zaproponował, byłby ją przyjął, byle jechać.

Nadszedł nareszcie wielki dzień rozstania. Pakunek jeszcze się zwiększył troskliwością sług a roztrzepaniem węgrzynka. Rano do kapliczki dworskiej przybył ze mszą świętą pleban staruszek dla pobenedykowania na drogę pobożną tego, któremu błogosławił już raz, gdy na świat przychodził.

Cały dwór przytomny był temu obrządkowi urzystemu, a stary Pukało splanął się biedaczysko, myśląc o niebezpieczeństwach, które czekały panieca, choć mu ks. pleban starał się wytłómaczyć, że elementa straszniejsze są od ludzi, bodaj pogan, nawłnicie groźniejsze od Arabów i Turków, choroby zjadliwsze nad węże i padalce. Skutkiem trafnych tych perswazyj proboszcza było, że głowę sobie nabł

stary i morzem, i burzą, i ludźmi, i chorobami, i padalcami razem... a więcęć się jeszcze trwożył niż wprzódy.

— Żeby przynajmniej mnie z sobą wziął, mówił Pukało: jabym mu jakoś rady dawał... tylko, że któżby tu znowu bezemnie gospodarzył?

Przeżegnany, oplakany, ale z myślą rzeźwą, z ciekawością wielką widzenia dziadowskiej ojczyzny z krain dalekich, wyruszył Konrad ku nieznanym krajom; a we wrotach Robnina Pukało, Murzynowska, ks. pleban, czeladka, nawet psy podwórzowe, długo stali patrząc na tuman kurzu, który pędził drogą i nareszcie znikł im z oczu.

Zapomnieliśmy dziś, jak się to ongi podróżowało; mamy ułatwień tyle, że dawnych trudności dziś jakoś i pojąć nie umiemy... Ale kto się choćby teraz nawet puszczał na mało udeptane drogi, w pustą Kalabrię, po wybrzeżach Elby i Korsyki, choćby w Abruzzi lub inną okolicę, której nie przerzynają gościńce, na których jeszcze nie czatują oberżyci, ten nocując pod gołém niebem, żyjąc spleśniałym chlebem i zgęstniałym winem, powziąłby wyobrażenie, czém były wędrówki za dawniejszych czasów, gdy niezbrojnemu i nie w wielkiem towarzystwie puścić się nawet nie było podobna, a ciekawość lub nieopatrzość często się zdrowiem i życiem opłacała.

Nie było już tak bardzo źle po wielkich traktach w końcu XVIII wieku, i tam gdzie poczty same lub pod eskortą siły zbrojnej chadzały; ale na uboczach odróżny samotny musiał się dobrze oglądać, wzbudzał bowiem apetyt nawet w ludziach zwykle na ciekawość i życie nietakomych.

Za to podróż była nierównie więcej zajmująca niż teraz, gdy innego przypadku nad pęknięcie kotła lub wywrócenie wagonów i skrócenie karku prozaiczne, spodziewać się nie można... Spotkania, znajomości, awantury niezmierne urozmaicały wędrówkę; wszystkie niemal romanse stare na gościńcach się poczynają, ciągną i rzadko gdzieindziej kończą niż w gospodzie.

Dla zadomowionego człowieka, który świat nieco był sobie przywykł wyobrażać na wzór swojego kraju, nowe strony nieco się musiały wydawać dziko. Węgrzynek ledwo za granicę wyruszywszy, i śmiał się, i dziwił, i narzekał, i aż prawie od rozumu odchodził. Najwięcej go to niecierpliwiło, że powszechnie ludzie szwargotali niezrozumiałemi językami, z których nie dojść nie było można... i że mowa polska nie była tak powszechnie znana, jak sobie wyobrażał.

Pan Konrad o to przynajmniej kłopotu nie miał, mówiąc niczłe po francuzku, *expedite* po łacinie i po włosku, a nawet odrobinę po niemiecku. Ostatnim z tych języków gdy był zmuszony dłużej mówić, spluwał potem, jakby sobie czém niedobrem usta porzydził.

Po Europie naówczas jeszcze z francuzczyzną a z łaciną łatwo było można wędrować.

Na Szlaku byli jak w domu. Przejeżdżając Czechy, węgrzynek utrzymywał, że i tam po polsku mówiono, ale jakimś spieszczonym językiem. Dalej wpadli w niemiectwo, a dojechawszy do Wiednia, chłopak już tylko na migi rozmawiał.

Nim ztąd do Tryestu potrafili się dostać ogromne góry, nadziwił się ich urodzie i nastrachał przepaści, które mu się po nizinach przeraźliwie ogromnemi wydawały...

roż gdy zobaczyli morze... otworzył gębę i stanął jak wryty!

Ta woda bez końca i pływające po niej łupiny od orzechów, myśl, że się w kruchej łodzi przyjdzie puścić na te bezdenne obszary przepaści — odjęła odwagę chłopakowi, i zmusiła go prawie żalować, że spokojny kąt w Robninie za piecem tak lekkomyślnie i porywczco opuścił.

Pan Konrad był wesół, w najlepszym w świecie humorze, radował się wszystkiemu, znosił niewygody heroicznie, a zajmowała go najmniejsza rzecz do tego stopnia, że się aż zapominał. Węgrzynek często go za rękaw pociągnąć musiał, aby godzinę spóźnioną przywieść na pamięć.

Już w Wiedniu pan Konrad bardzo się począł przypatrywać niewiastom, wyglądającym nieco żywiej i fantazyjniej od tych, które dotąd spotykał; ale niemieckie owe pulchne a białe piękności, choć na młodego chłopaka oczyma niebieskimi rzucały, jeszcze mu były za flegmatyczne, za nadto do ziemi zdawały się przyrosłe.

W Tryście jeszcze Włoch tak prawie jak nie było. Włościanki z okolic, gdyby nie osielki, na których na targ przyjeżdżały, przypominałyby mu domorośle wieśniaczki, nawet nieco językiem... ale tu już na okręt przyszło siadać i do Wenecyi płynąć. Bilo serce coraz żywiej Konradowi do stariej dziadowskiej ojczyzny...

Nie było pogotowiu innego statku nad jedną barke kupiecką kapitana Weneta, powracającą od Wschodu, która do Wenecyi odpływała; na tę się tedy wybrali podróżni nasi. Gdy przyszło życie zdradliwemu powierzyć żywiołowi, znaczenie spowazmeli oba.

Statek ów, który się zwał *Padre Antonio*, spory był i okazały, ładowny kupią, którą wioził ze Wschodu. Burza go była zmusiła szukać chwilowo przytułku w porcie, z czego korzystając zabierał nieco podróży z sobą. Ale już na pokładzie ledwie było cokolwiek miejsca wolnego zostało; towary, ludzie, skrzynie, powrozy, różna gawiedź w liczbie wielkiej go zalegała.

Zgodzwszy się z owym kapitanem Wenecyaninem, który mimo polityki usługę swą wyświadczoną podróżnym na cekiny dobrze obliczyć potrafił, Konrad na łódkę zabrawszy pakunek i węgrzynka, puścił się, polecając się *Matce Miłosierdzia*, do statku.

Jeździł-ci to i on i węgrzynek jego nieraz po jeziorze w Robninie, ba! i po Gople — ale tam się nigdy woda tak nie ruszała jak tutaj. Rzeklibyś, że ją kto w kotle warzył. Zdawało się, że co chwila łódka się ochynie i zanurzy, słone wody pluskały w twarz, a trzymać się potrzeba było dobrze za burt, aby nie wylecieć.

Statek szczęściem niezbyt odlegle stał od brzegu, i ta krótka pierwsza przeprawa poszła szczęśliwie. Wdrapał się chłopak na okręt po drabince jak kot, pan Konrad też dosyć zręcznie; rzeczy powciągano bez szwanku, a na szerszym pokładzie i serca przybyło. Zdawało się też jakoś bezpiecznie.

Gdy rzeczy w kątku złożono, siadł węgrzynek na tiłmoczku i począł się rozglądać po okręcie, a było się też czemu przypatrzeć, i Konrad też ciekawie oczyma strzelał, bo dla nich wszystko to było nowe.

Okręt płynął aż z Carogrodu, a po drodze do różnych portów przybijał, nabral też i wędrowców siła wszelkiego rodzaju, począwszy od tych, co do czyś-

ciejszego miejsca mieli prawo, aż do biedaków pościskanych na dnie i na tyle okrętu.

Twarzy ogorziałych, zawojów zbrukanych, strojów dziwnych było podostatkiem.

Kapitan, niestary jeszcze człowiek, ale obeznany z morzem i bywalec, wesołego usposobienia, czuwał pilno nad swym statkiem, a gdy mu się wypocząć godziło, brał za gitarę i podśpiewywał, albo z podróży baraszkował. Mężczyzna wzrostu tęgiego, barczysty, ogorzały od słońca i morskich wyziewów, wyglądał po trosze na korsarza, choć nie zabawiał się tym rzemiosłem i ucziwie towarem handlował. Z *Doganą* czasem miał małe zatargi, ale to była domowa sprawa.

Oprócz niego obfite było towarzystwo i urozmaicone: dwóch brudnych Turków, którzy podesławszy sobie kiliinki, siedzieli z nogami pod się podkurczonemi i palili fajki, nieustannie im nakładane przez małego murzynka, bardzo zwinnego chłopaka; dwie Turczynki zawinięte w muślin i okryte rodzajem namiotu, aby ich ludzkie nie dopatrzyło oko; kilku czarnych, ogorziałych Greków z nożami za pasem, i — co niezmiernie dziwiło węgrzynka — w białych spódnicach; kilku Włochów; dwóch naostatek bogatych Żydów, którzy na uboczu obstawili się swojemi pakami, siedzieli osobno.

Był i braciszek Kapucyn, chudy niezmiernie, bosi, w habcie łatanym, lysy zupełnie, który sobie w kątku się modlił.

Gdy kapitan obliczył się, że mu już nikogo nie braknie, dano znak do odjazdu. Wiatr był pomyślny i obiecywał statkowi podróż niedługą, łatwą, kolo brzegów ciągle, tak, że prawie ładu z oczu tracić

nie mieli. Pogoda też po gwałtownej burzy ustaliła się prześliczna, powietrze było wonne, świeże, chciało się je pić i lykąć piersią pełną... Widok na sinzielone fale zachwycał. Zakolysał się wkrótce okręt po wyrwaniu kotwice, rozpięto szeroko żagle; powiał w nie wiaterek lekki.

Padre Antonio unoszony falami pędził już z dobrą myślą ku królowej Adryatyku...

Już się byli nieco odsunęli od brzegów i tryesteński amfiteatr wzgórzy piękną ich oczom malował się panoramą, gdy z pod desek okrętu, rzekłbyś z głębin morza, ze śpiewką na ustach, z hałasem i szumem wyskoczyła jakaś postać, wyrwała się raczej, stając jak zjawisko jakie przed oczyma zdziwionych podróżnych.

Wszystkich też wejrzenia na nią się obróciły: Turcy podnieśli zwieszane głowy, Grecy zaczęli muskać wąsy, Żydzi powykręcali twarze, węgrzynek wstał aż na nogi, a pan Konrad osłupiał. Kapitan okrętu jakby na przyjęcie ochoczo plasnął w szerokie dłonie.

Jakże opisać to zjawisko wodne, powietrzne, bo niezmiernie wyglądające? — Było to dziewczę lat najwięcej piętnastu, średniego wzrostu, zręczne jak sarneczka, kształtów pełnych, ubrane dziwacznie, ale tak cudownie piękne, że osłupienie Konrada całkiem usprawiedliwiało.

Wszyscy zresztą patrzali na to trzpiotowate dziewczę z jednakowym zachwytem. Kto widział wizerunek Beatryczy Cenci w jednej z galerij rzymskich, ten łatwo sobie wyobrazi te drobnutki regularne rysy niezmiernego wdzięku, któremi się uśmiechała mała czarownica.

Usteczka jej rumiane podobne były do rozkrojonej wisienki, czy do dwóch świeżych róży listków, a oczy miała duże, czarne, śmiałe, zabijające ognistymi strzałami, pleć białą jak śnieg, włosy... no! włosy — niestety! — były rude. Nie była to jednak ta barwa przykro czerwona, krzykliwa, ale coś nakształt bronzu i złota, jak u Wenery Tycyana—drogi ów kolor Wenecyankom ulubiony, który sobie nadawać umiały sztuką, jeśli poskapiała im téj ozdoby natura.

Na dziewczęciu wszakże znać było, że sobie główki nie wypiekała na słońcu, i nie wymęczyła warkoczy, które były aż do zbytku obfite, ogromne i długie, tak, że zdawały się ciężyc małej główce, którą opasywały kilkakroć węzłem wielkim, misternie uplecionym, spadając na pulchny karczek biały.

Dziewczę ubrane było nie wiedzieć jaką modą, ale bogato i strojnie; na nóżkach pantofelki żółte złotem szyte, i jedwabne szerokie ubranie tureckie, na to rzucona sukienka z muślinu, potem płaszczyk cięższy aksamitny galonami bramowany. Oprócz tego miała na sobie kaftanik rozpięty, szyty bogato, i pas z frendzlą złocistą, spływający do kolan, i czapeczkę na główce, a na rękach pierścieni, obręczy, a na szyi łańcuszków weneckich, jak pajęczyn... mnóstwo.

Znać było, że się czuła piękną i lubiła stroić, że wiedziała, iż wszędzie podziwienie obudzi, bo się jakoś zaraz zwyczajko obejrzała dookoła, i z uśmiechem zwróciwszy się do kapitana, spytała go włoszczyzną wenecką, wskazując na Konrada: coby był za jeden?

— *E un signore Polacco...*

Zdaje się, że wiadomość o pochodzeniu podróżnego zaciekawiła dziewczę, które śmiało podeszło do Kon-

rada, wzięwszy się jedną ręką w bok, i poczęło mu się przypatrywać uśmiechając.

Mówiliśmy już, że Konrad był bardzo przystojnym młodzieńcem, rycerskiej postawy, a choć się na podróż nie stroił, nie wypadło mu też ładajako wyglądać, więc ubrany był dosyć bogato i smakownie. Miał na sobie suknię z węgierska adamaszkową z pętlcami złotemi, a na niej płaszcz bramowany bogato, który go dobrze osłaniał, czapkę z czaplém piórem, szablę piękną u pasa, i turecki szal zamiast zwykłego przepasania.

Twarz jego smutna, poważna, zamyślona, oczy ognia pełne, usta wyrazem łagodności pociągające, tworzyły z niego piękny wzór dla malarza. Dolabella byłby go mógł pochwytać na jeden z tych szkiców, których tyle na papier wyrzucał.

Dziewczę zdawało się to uznawać, bo mu się też długo i z uwagą przypatrywało, a Konrad topniał można powiedzieć od jój wzroku. Gdyby chwilę dłużej, byłby go może nie wytrzymał, bo mu krew falami do piersi bila i do głowy, a rumieniec krwawy oblewał całego. Nie wiedząc co z sobą robić, bo mu i ręce zawadzać zaczęły, i nogi drżeć, i suknie dolegać, sięgnął ręką do wąsa i pokręcił go machinalnie.

Dziewczę widać samo zrozumiało, że tego nieboraka jakby pod pręgierzem postawiło, i rozśmiewszy się, pierzchło ku kapitanowi, który z boku oglądał wesoło na stworzeńko kapryśne, ale nie okiem kochanka... raczej troskliwego ojca i opiekuna.

Sarneczka poczęła potem przebiegać pokład, przeskakując liny, paki, wymijając siedzących, przypatrując się nieznanym twarzom, uśmiechając się do

jednych, krzywiąc na inne, jak pieszczone dziecię, któremu wszystko wolno.

Przybiegła do namiociku Turczynek, odchyliła oponę, włożyła główkę, coś poszeptała, rozśmiała się głośno, i znówu poczęła skakać po pokładzie.

Węgrzynek, który aż był wstał, wodząc oczyma za tém zjawiskiem, pociągnął z lekka za płaszcz swego pana i zapytał go:

— Co to jest, proszę jegomości? Czy to kobieta? czy... tak sobie?

Konrad się rozśmiał, nie dziwiąc się pytaniu, bo istotnie dziwowisko to było prześliczne, cudowne, a niełatwo określić się dające — tak sobie.

— To dziecko! rzekł do węgrzynka...

— Dziecko! a jakiegoż to narodu? cicho zapytał chłopak, oczu oderwać od niej nie mogąc.

— Narodu? ano Włoszka i Wenecyanka pewnie być musi, odparł Konrad.

— „Ot! ot! półdyablę weneckie też!” rzekł w duchu Maciek; „ale chyba cały dyabeł!”

Dziewczę obiegłszy statek, powróciło na środek, zbliżyło się do kapitana jakby szukając u niego opieki, ale twarzą zwróciło się ku Polakowi i zapatrzyło na niego dłużej i poważniej.

— Cazità! szepnął Włoch do niej: nie patrzże się tak na tego młodzieńca, bo gotów oszaleć...

— O! kiedyż bo mi się bardzo... bardzo podobał śmiało odpowiedziała dziewczyna. Jestem nawet pewna na tego, że i ja mu się też musiałam podobać bardzo... bardzo...

— Cóż dziwnego? z lekka klepiąc ją po ramieniu rzekł kapitan: a komużbyś się ty nie podobała, miły

ty mój szatanku? Ciebie i twoje oczy potrzebaby chować jak bazyliuszka, żeby ludzi nie zabijały.

— Mój ty miły — odparła dziewczyna — czyż ja zabijać mogę? ja co w życiu jeszcze nikogo nie nawidzieć się nie nauczyłam, bo mnie wykołysała miłość... a tak mi dobrze było zawsze, że dałabym szczęście całemu światu, aby wszystek ze mną śpiewał...

Kapitan wciąż na nią patrząc, uśmiechał się czule; nareszcie powoli usta zbliżył do białego jej czoła i pocałował ją... prędko lzę ocierając, która się na mężkiem oku znalazła.

— Taka była pocziwa, śliczna, dobra, kochana matka twoja... i tak nam z nią na świecie dobrze było; ale Pan Bóg mi jej pozazdrościł i wziął ją do swoich niebios...

— Wszak my się tam kiedyś wszyscy razem znajdziemy? szepnęła Cazità — nie prawdaż? Matka Bozka, przed którą lampę palę co sobota, wstawi się za nami... złego nie robimy tak bardzo wiele... a Pan Bóg dobry i łaskaw... my pobożni i prawi chrześcianie... nie prawdaż? Ja ufam, że Matka Bozka z otwartemi rękoma wyjdzie przeciwko nam...

Kapitanowi znowu lzy kręciły się po powiekach, pocałował córkę.

— Nie mówmy o tém — rzekł cicho — nie mówmy... patrzaj-no lepij... jak piękne to morze nasze.

— E! morze! znam je dobrze, odpowiedziało dziewczę. Wszakżem się to ja z szumem jego oswoiła jeszcze w kolebce... Przez cały ten czas, cośmy w Tryescie były z ciotką, chodziliśmy ciągle nad brzeg albo na wschody katedry, i pasłyśmy się tym widokiem, poktórym tęskno nam było, wyglądajac

Padre Antonio. Ale tu morze wydawało się nam inne niż w Wenecyi, tamesmy je wzięli w niewolę, a tu ono szumi swobodnie, i śpiewa, i ryczy, i śmieje się, i gniewa... O! miły Boże! gdyby żywy człowiek... Ojeze — dodała ciszej, zwracając ku niemu twarzyczkę — pozwól ty mi popatrzeć na twarz tego Polaka... nie widziałam jeszcze Polaka nigdy, nigdy a ten jest bardzo ładny! Gdyby zagadać do niego jakimby on mówił językiem?

Kapitan się uśmiechnął.

— Gdybyś ty do niego przemówiła dziewczyno, to zrozumiałby po włosku i po włosku odpowiedział... Tobie cudów dokazywać nie trudno.

Cazità rozśmiała się, patrząc mu w oczy.

— Umie po włosku? zapytała cicho.

Kapitan nie chciał snadź odpowiedzieć ani przecząco, ani potakująco, milezał.

— Chodź ty ze mną, odezwiała się: będę śmielsza ty za mnie przemówisz do niego; chcę tylko posłyszec dźwięk jego głosu... jestem ciekawa, bardzo a bardzo ciekawa... a taką mam naturę, że człowiek nie znam póty, póki mi głos jego nie zaszemrze w uchu i nie odbije się w sercu... Głos więcej mów niż słowo...

— Ale na cóż ci go bliżej poznawać? przerwał jej ojciec ze smutkiem. Jutro ci z oczu zniknie ta twarz smutna... i zapomnisz o niej. Tak w życiu nasze przesuwają się ludzie jak te fale szumiące: musną zaszumią, i okręt je minie, a fala o brzeg się rozbije gdzieś daleko.

— Nie chcesz? spytała tęsknie.

— Chodź... rzekł kapitan, — chodź, tobie nie odmówię nie podobna... I prowadził ją za sobą ku Ko

radowi, który ujrawszy ich zbliżających się ku sobie, poczerwieniał znowu i mocno się zakłopotał.

Gdy stanęli przed nim, sama grzeczność wymagała ukłonu; zdjął więc kołpaczek z czaplém piórem i pozdrowił dziewczę mileżące, które się weń wpatrywało jak w tęczę.

— To córka moja, począł kapitan trochę połamaną włoszczyzną, w której wenecki dyalekt i mieszaninę różnych języków czuć było... Znalazłem ją wypadkiem trochę w Tryeście i odwożę do Wenecyi. Dziecko, jak widzicie, jeszcze trzpiotowate, a już ciekawe podwójną ciekawością dziecka i kobiety... Otoż się wam przypatruje, bo Turków już widziała dużo, Greków dosyć, nawet Francuzów i Tedesków, ale z waszego narodu goście u nas rzadcy.

Pan Konrad zdawał się zbierać trochę na odpowiedź, i z podziwem wielkim Cazity, rzekł wreszcie czystą toskańską włoszczyzną, ślicznie brzmiącą w jego młodych ustach.

— Jestem Polakiem i zarazem Włochem, rzekł z wolna, — a szyćcę się tém, że należę do szlachty weneckiej i polskiej zarówno... Widzicie więc we mnie signorino istotną osobliwość, bo Polaka-Włocha... a ja w was, dodał, większe daleko cudo, pom takiej piękności jakem żyw i nie oglądał, i nie narzył...

Cazità słuchała cała drżąca, zarumieniona, z biciem serca... ale już słów na odpowiedź nie znalazła: stała się nagle trwożliwą, prawie smutną; głos, który tak słyszeć pragnęła, niezmiernie głębokie, prawie bolesne uczynił na nią wrażenie...

Spojrzała z jakimś strachem na Konrada, i nie miała wyrzekła po chwili:

— Jedzicie do Wenecyi... a! zobaczycie tam daleko, daleko piękniejsze nademnie... i żywe signory na gondolach, i nieśmiertelne na obrazach naszych mistrzów... Od tych pewnie oczu nie oderwiecie.

— Choćbym najcudniejsze widział, odparł grzecznie Polak — pierwszej Weneeyanki widzianej w życiu do śmierci nie zapomnę.

Cazità bardzo była zaczerwieniona i zakłopotana, bawiła się frendzlą swojego płaszczyka, z pod długich rzęs kilka razy rzuciła nań oczyma czarnemi, uśmiechnęła się dziękując, ale ojciec ją odciągał, i sama czuła się dziwnie zmieszaną, pożegnała go więc lekkim ukłonem... Ale żegnając, zdrajczyni jeszcze raz wpoila w niego wejrzenie, a co mu niem powiedziała nieopatrna, o tém prócz Konrada nikt, nawet kapitan nie wiedział.

Zrozumiał tę mowę biedny młodzieniec, bo się nią upił od razu; potarł ręką po czole, jakby chciał oprzytomnieć; a gdy znowu tęskne oczy podniósł ku niej, kapitan i jego córka znikli.

Szmer tylko jój sukni posłyszał za sobą i dźwięczny, eichy uśmieszek dziewczęcica.

Wtém węgrynek za płaszcz go pociągnął.

— A! panie! panie! zawołał: jeszczem też jakem żyw podobnej kobiety nie widział. Żeby człowiek umiał, toby ją sobie namalował, aby się na nią nieustannie patrzeć.

Konrad uśmiechnął się tylko.

Statek gnany wiatrem pomyślnym, wydąwszy szare żagle, ślizgał się po falach morza, jakby igrając z niemi; słońce złoćciło zielone wód bałwany, obwieszając je strzępkami złotemi... W oddaleniu to płaskie, to najeżone górami jakby z chmur tkanemi

siniały wybrzeża, malując barwami powietrznymi... Widok był zachwycający.

Na statku panowała cisza, ledwie przerywana rzucanemi niekiedy rozkazami kapitana i wykrzykami majtków.

Cazità znikła była, wsunęła się do namiotu kobiet tureckich i bawiła się temi spowitemi w białe obsłony mumiami, usiłując z ust ich zakwefionych dobyć jakie słówko. Znudzone Tureczynki, równie ciekawe a rade jój, uśmiechały się, przypatrując dziecku, które brały za jakąś alme. Dwaj Turcy z za dymu fajek poglądali ku namiotowi, z pod którego opony maleńkie nóżki Cazity w pantofelkach żółtych migwały się dziwną pokusą. Obaj emokali ustami i głosami kiwali ku sobie znacząco. Z namiotu szalone śmiechy słyhać tylko było.

W téj chwili z pod pokładu, od wschodków wiodących do izby kapitana, ukazała się niepokojna głowa kobiety, która w innym rodzaju, ale nie mniejsze mogła uczynić wrażenie nad pierwsze zjawisko.

Głowa ta, której oczy zdawały się czegoś szukać po pokładzie, należała widocznie do podżyljéj niewiasty, która może niegdyś była piękną, ale teraz stała się po prostu okropną.

Podobnych spotyka się wiele i w Wenecyi, i po całych Włoszech, gdzie kobieta dojrzewa prędko, starzeje wcześniej i brzydnie niesłychanie. Zdaje się, że za karę może, te, które słyneły niegdyś z piękności, stają się potem najpoczwarniejszymi.

Ciotka Cazity, jakkolwiek blisko spokrewniona z tą znakomitą pięknoscią, nie a nie do niéj nie była podobna. Na szerokich ramionach i karku grubo nafałdowaną okrytą skórą, osadzone było to usta-

eze olbrzymich rozmiarów, kolorytu niepewnego, ciemnego, a rysów do zbytku wyrazistych.

Czarne niegdyś, krucze włosy pani Anunziaty, których część uciekła, a reszta wysiwiała, ułożone były dość niedbale, niepokryte niczém, ledwie z tyłu szpilką spięte. Wichrzyły się one w nieładzie wcale niemalowniczym. Duży nos, usta grube, cała dolna część twarzy porosła jak u dwudziestoletniego młodzieńca puchem czy mechami, okryta skórą zmarszczoną i dziwacznie pokrajaną, składały fizyognomię wybitną, niemiłą, chociaż wyraz jój dobrocią i łagodnością uderzał, tém dziwaczniejszą im mniej spodziewaną na takiém obliczu.

W Wenecyi i Tryeście, gdzie pani Anunziata miała krewnych, utrzymywało się dotąd podanie o wielkiej i wspaniałej jój piękności; ale historye opowiadane o tém, sięgały już lat dwudziestu kilku. Ślady tych wdzięków pozostały chyba w oczach czarnych, wspaniale oprawnych, ale których wyraz bardzo przygasł. W téj chwili właśnie, oczy te niespokojnie biegały, szukając czegoś czy kogoś. Naostatek usta zniecierpliwione poruszyły się i tubalny głos odezwał:

— Cazità! Cazità! Cazità!

Za każdym powtórzeniem rósł on, potężniał i stawał się niecierpliwym.

Z pod opon namiotu jak ptaszcę furkające z gniazda, wyleciało dziewczę, śmiejąc się przeskoczyło gruby zwój lin okrętowych, i zatrzymało się dopiero na brzeżku nad samą głową signory Anunziaty, którą zjawieniem się swém widocznie rozpromieniło.

— Patrzę na pokład, po kątach, wszędzie — po skrzynkach, po dziurach... a nie mogę tego trzpiota znaleźć! zawołała ciotka, grożąc palcem po nosie.

E! ty bałamucie jakiś niegodziwy, aż mi się serce ze strachu ścisnęło... nie wiedziałam gdzie cię szukać.

— Ależ ciotko Anunziato, śmiejąc się odparło dziewczę: jeszcze w Tryeście, gdy wpadła do ogrodu signory Maryi, mogliście się trwożyć o mnie; ale tu... cóż mi się tu stać może na tym ciasnym statku, gdzie oko ojca czuwa nademną?

— Co ci się stać może! powtórzyła Anunziata; albo ja wiem, czego ja się boję? dosyć, że byłaś mi z oczu znikła, lękam się o ciebie, nawet tu... nawet tu. Ot tak!

Rozczuliła się stara i uczuła potrzebę otrzeć rozczulenie fartuchem.

— Patrzaj-no, dodała zwracając rozmowę: już dobrze z południa, możeby się co zjeść dało... he? powietrze morskie zaostza apetyt. Zapytaj-no ojca: i on może także nie od tego?

— E! e! mnie się wcale jeść nie chce, szepnęło dziewczę, i chcąc być bliżej ucha ciotki, przypadło na pokładzie, a nachyliwszy się nad starą, mówić poczęło:

— Ciotko Anunziato, czyście wy kiedy widzieli Polaka?

— Polaka? nie; zdaje mi się, że nigdy, odpowiedziała ciotka. Był jeden w Wenecyi niedawno, mówią, że bardzo bogaty, co zamiast pieniędzy wozil z sobą cegły złote, ale mi go nie pokazali...*)

— Otoż ja wam innego pokażę, szczebiotała Cazitą. Jest tu jeden, i taki piękny, ciotko Anunziato, że się na niego nie mogę napatrzeć.

Ciotka z oburzenia nad tym bezwstydem aż splunęła, uderzając dziewczę po rękę.

— Wstydz-bo się ty jakaś... Już ty mi szukać będziesz oczyma i wybierać pięknych mężczyzn! patrzajcie-no ją! dała ja ci: ho! ho!

— Ciotko Anunziato — śmiejąc się wcale nieustraszona groźbami temi, mówiła Cazitą — ciotko Anunziato, otwórz dobrze oczy... patrz, tam, za mną, na pokładzie w lewo... dalej, dalej, stoi mężczyzna w czapce z piórkiem. Powiedzże mi, jak kochasz Maddonę, czy nie piękny?

Ciotka przechyliła się nieco, podniosła się nawet o jeden wschód wyżej, grube swe ręce wsparła na pokładzie, przymrużyła powieki, dojrzała nareszcie czaple pióro, i aż westchnęła biedna.

— Przystojna bestya... ale to pewnie heretyk, dodała chcąc Cazitę odstreczyć. Ci obcy ludzie, zwłaszcza od północy, w piątek mięso jedzą, i do Matki Bożkiej nigdy się nie modlą.

— Ale ten to co innego, ciotko Anunziato, podchwyciła Cazitą: to jest Polak i Wenecyanin razem, jego przodkowie wyszli od nas... tak, tak, sam mi o tém mówił najpiękniejszą włoszczyzną w świecie.

Ciotka aż ręce załamała.

— Patrzcie ją! niegodna, bezwstydną... toś już z nim gadała!

— Ciotko, śmiała się Cazitą, — chodziłam z ojcem... ojciec był przy rozmowie...

— Stary dudek... szeptala ciotka; ale dziewczę nie zdawało się słuchać, i dodało szybko:

— Wypytywałam ojca o Polaków; są oni dobrzy katolicy jak my, nawet mówił mi ojciec, że u nich Królową całego kraju jest Matka Bożka.

*) Książę Padziwiłł.

Anunziata pokiwała głową niedowierzająco.

— Może to i być zresztą, rzekła — wiesz przecie, że Signoria i lud, Chrystusa Pana dawno ogłosili królem Florencei... ale nie wiem czy oni są katolicy!!

— O! niezawodnie! niezawodnie, śpiesznie dorzuciło dziewczę. Ale jakże się on wam wydaje? powiedzcie?

— At, niczego! niczego sobie, kiwając głową rzekła Anunziata — ale widziało się piękniejszych; nieboszyk doża swojego czasu, kiedy go obnosili koło Prokuratorji po placu Św. Marka... o, to żebyś była widziała jak wyglądał! No, a tak potem zestarzał... ot, jak ja! Westchnęła Anunziata. — Co ta piękność w człowieku znaczy! nie warta cekina... dziś jest, jutro po niej ani śladu...

— Słuchaj, ciotko Anunziato, poczęła szczebiotać mała, zarzucając jęj ręce na ramiona: — piękność coś znaczy, mówi... Pan Bóg ją dał niedarmo... z rąk bożych wychodzimy wszyscy pięknymi... a świat nas męczy, męczy, aż się oczy wyplaczą i usta wykrzywią...

— Zkąd ty to bierzesz co mówisz? odparła ciotka. Czemu mnie to do głowy nie przyjdzie? Utrapione dziecko, mózg tak sobie temi myślami wysusza. Oto chodź, nie patrz, nie myśl... a dam ci ryby, bulki, sera... zjesz, i będzie ci z tém zdrowiej!

Miała posłuchać Cazitą rozkazu, gdy ciotka zawołała podnosząc głowę:

— Kapitanie Zeno!

Kapitan wydawał rozkazy, ale odwrócił głowę do dobrze znanego mu głosu.

— Cóż tam każe signora Anunziata?

— Każe, każe iść jeść, głód na morzu niedobry, a i wina szklanka ci nie zawadzi...

— A cóż ci podróżni jeść będą? zapytała Cazitą.

— Muszą tam mieć z sobą coś w sakwach, a co nam do tego? żywo odparła ciotka, — przecież nie goździli się o jedzenie. Jeśli im głód dogryzie, niech poproszą i zapłacą... To są ludzie, których pieniądze już przeznaczone na to, aby się rozsypały po drodze; lepij, żebyśmy my je wzięli, niż kto inny. *Ecco*.

— A ja wiem, szepnęła cicho, ale żywo Cazitą: że ojciec mi pozwoli zanieść polsko-weneckiemu szlachcicowi *fiascone* wina, a choćby sera i chleba...

— Nie pozwolę, nie, rzekł śmiejąc się kapitan; ale sam mu je zaniosę.

— A czemuż nie ja? spytała córka.

— Dla tego, dziecko ty moje, zawołał Zeno — że z serem mógłby i ciebie zjeść.

Rozśmieli się, ale wtém Cazitą bardzo zręcznie wyminawszy ciotkę, wśliznęła się na wschodki, spadła po nich jak kot w głąb statku, i w chwilę potem wydrapała się nazad po cichu z flaszką oplatana, serem i chlebem. Jednym susem stanęła przed Konradem, skłoniła mu się, uśmiechnęła, wskazała na ojca, tłómacząc pochodzenie daru... i zarumieniona, słowa nie rzekłszy, uciekla; wpadła nazad na wschodki znikła... Kapitan Zeno uśmiechał się, ciotka gderała.

Tymczasem na pokładzie, ta postawiona niasza ten chleb i ser, niewykwintny dziecięcego serca podarek, pozostał przed Konradem, który go tknąc nie śmiał, tak był niezmiernie wzruszony dowodem współczucia i dobrego serca dziewczęcia. Lica mu gorzała, serce biło: przecież nie spotkało to nikogo innego,

tylko jego... jego jednego,—za t \acute{e} m... szły złotem tkane ludzkie marzenia. Cazit \grave{a} była tak cudnie piękna, on tak młody!

Węgrzynek patrzył na to zdziwiony, ale trochę i dumny, że się na jego panu poznać umiano.

— Słuchaj-no chłopcze, rzekł do niego Konrad: rozwiąż-no mi ty zaraz ten sepecik, co jest w miechu skórzanym, a żywo...

Chłopak ukląkł i zabierał się do roboty, nie wiedząc o co chodziło, ale domyślając się, że pan po polsku miał zawdzięczyć ową flaszkę wina i chleba kawalek.

Tak było w istocie. Panu Konradowi przyszło na pamięć, że na wyjeźdn \acute{e} m poczciwy Pukał \acute{o} , który niczego nie zaniedbał coby w podróży przydać się mogło (czytając różne opisy wędrówek dla informacji—jak powiadał), wynalazł tam, że wszędzie małemi datkami wiele zrobić było można. Za pozwoleniem więc pryncypała nakupił r $\acute{o$ żnych *ad hoc* fraszek, to est *ad captandam benevolentiam* wschodnich narodów dłużyć mogących, między innymi dosyć wyrobów bursztynowych. Te bursztyny przypomniał sobie pan Konrad. Nie chciał on zbyt kosztownym darem obrazić kapitana i jego córki, a chciał polski \acute{e} m sercem poczciw \acute{e} m, cz \acute{e} mś im przecię odwdzi \acute{e} czyć. Na wierzchu w sepeciku leżał wlaśnie piękny różaniec bursztynowy z M \acute{e} k \acute{a} Pańską zgrabnie wyrobioną. Zdało się Konradowi, że go przeznaczenie jakieś umyślnie ołożyło na oku, i dobył różańca, ściskając w dłoni, czekając tylko pory dogodnej, aby z niego ofiarę zrobić ślicznemu dziewcz \acute{e} ciu.

Do Wenecyi daleko było jeszcze, wiatr ku wieściowi zwolniał, statek posuwał się leniwo, miał

więc pan Konrad dosyć czasu, a gdyby nawet zawstydzona Cazit \grave{a} pokazać się nie chciała, postanowił go dla niej oddać ojeu. Tak, ze spokojniejsz \acute{e} m już sumieniem wziął się do wina, chleba i sera.

Węgrzynek byłby się chętnie o swoją też cz \acute{e} ść t \acute{e} j biesiady upomniał, bo go dosyć wewnątrz zwijało, ale Konrad postanowił nie zostawić ani prószynki, i z oczu mu było widać, że gotów był bić się o nie, gdyby mu je kto chciał odebrać.

Węgrzynek więc dobył swojego chleba kupionego w Tryeście, i pożywał go, odświeżając prozaiczn \acute{a} cebul \acute{a} , która mu dość smakowała. Wzdychał jednak po ojczystej słonince przypiekanej, kto wie czy i nie po gorącej misie krupniku — ale te były daleko.

Nieszczęściem nawet cudowny widok zachodzącego słońca, które coraz jaskrawiej złościło fale i malowało niebo najczystsze farbami swojej palety, nie nasycał chłopaka, który mu się przypatrywać nie umiał.

Wiecz \acute{o} r na Adryatyku był istotnie czarowny, niebo w świątecznych swych szatach, morze w atlasach drogiemi kamieniami sadzonych, powietrze przepojone wonią orzeźwiając \acute{a} . Niekiedy wiatr od lądu przynosił jakby sny czeremch rozkwitłych i bz \acute{o} w rozpachniałych. Statek się ślizgał, niezbyt daleko trzymając się od brzeg \acute{o} w; uroczyste na nim panowało milczenie. Turcy odprawiali swe modlitwy; wielu znużonych podróżnych odpoczywało na pakach; kapitan patrzył opodal w stron \acute{e} Wenecyi, ojczystego swojego miasta, które kochał bardzo, którego był zawsze wiern \acute{e} m dziećciem, do którego tęsknił w podr $\acute{o$ ży i pilno mu je ujrzeć było. Przy najpomyślniejszym jednak wietrze dopiero nazajutrz o dniu białym mieli ujrzeć z morza dobywające się *campanille* i płowe wybrzeże Lido,

na którym wśród ogródka i winnicy stał dom stary kapitana Zenona.

Cazità połajana przez Anunziateę usiadła w kątku, zasłoniła oczy paluszkami, i udając smutek wielki, śmiała się szczerze... jak dziecko.

Pocziwa ciotka ze swą rozczochraną głową stała nad nią wzięwszy się w boki, i dopełniała sumiennie, gderząc, obowiązków opiekunki.

— Madona del Salute! Madona delle Grazie! Otoż jak to dziś ta młodzież jest płocha! wołała. Tak! i tak! to ci się niczém zdaje, nieznanomemu, obcemu człowiekowi okazać niby zimną grzeczność tylko.

Tak! tak! nic w tém nie widzisz zdrożnego? prawda! Cazità! Cazità! Ależ to tak a nie inaczej gubią się wszystkie dziewczęta. Jedno spojrzenie, jeden ukłon, kusmiech jeden, a szatan potrafi z tego korzystać. Zajął się pętelką i pociągnie cię nią do piekła! Tak! Tak! *signorina mio*, tak! nie się to zdaje, mała rzecz wna pozor, ale wielka być ona może w nieobrachowanych następstwach. Czytałaś historję pięknej Maryi Cervi, którą sprzedają na Riva dei Schiavoni: cóż ją przegubiło nieszczęśliwą? upuszczona rękawiczka. Dyabeł tę rękawiczkę pochwycił. Możesz być pewna, iż szatan na duszę twą nie czatuje w postaci tego pięknego młodzieńca, który, przyznaje, że jest wcale przystojny. Przypomina mi nawet nieco mojego pocziwego Apostoła, choć o wiele ma mniej wdzięku, i dużo od niego niższy wzrostem. No! widzisz, przyznaję, że piękny, bo uważam, że ruszasz ramionami — cóż z tego? Dyabeł się przebiera za anioła, gdy chce duży ludzką na zagubę wyprowadzić.

Cazità nie mogąc już wytrzymać dłużej, parsknęła śmiechem. Ciotka rzuciła się prawie rozgniewana;

mówię „prawie,” gdyż tusza i dobre serce nigdy się jej bardzo gniewać nie dopuszczały.

— Tak to wy wszystkie młode dziewczęta, starszych słuchacie... jedném uchem wleci, a drugiem wyleci.

Cazità rzuciła się jej na szyję.

— Droga moja, nie bój że się o mnie! zawołała. Szatan do mnie nie przystąpi... noszę krzyżyk na piersiach, pacierz mówię regularnie co rano, żegnam się przy obudzeniu zaraz...

— Wszystko to bardzo dobrze — odpowiedziała nieco uściskiem udobruchana ciotka, całując ją w czoło, — ale szatan mądrzejszy od ciebie.

— Ale Pan Bóg, ciciu, mocniejszy od szatana.

— Tak! ty masz zawsze na wszystko gotową odpowiedź! odparła ciotka.

Na tém skończyła się rozmowa. Dzieweczce się już bardzo na pokład iść chciało; zaczęła się skarżyć na duszność i gorąco. Ciotka groziła na nosie, ale pieszczoszcze oprzeć się było trudno, a gdy zażądała czego, straszliwie była uparta.

Po malutku Cazità przysunęła się ku wschodkom, skrycie wzięła za poręcz, cicho wstąpiła na próg ieh, i skromnie, niby tylko dla odetchnięcia świeższym powietrzem, poczęła posuwać się ku górze.

Ciotka dobrze już wiedziała, na czém się to skończy; ale nie miała serca się sprzeciwić. Udawała, że nie uważa.

Gdy pan Konrad z utęsknieniem poglądał w stronę, od której mógł się spodziewać ukazania się dziewczynki, główka jej wychyliła się, pokazała, rozśmiała i znikła. I znowu wypłynęła ostrożnie raz, drugi, a z kobiecą przewrotnością zwróciła się ku oj-

cu, jakby ją tylko ku niemu tak ciągnęła tęsknica. Ojciec się jęj też uśmiechał, tak dawno nie widział dziecka, a tak mu ono było drogie! I skinął. Na dole krzyknęła ciotka Anunziata; ale już było za późno, ptaszyna jednym skokiem na pokład furknęła.

Cheiał zaraz korzystać z tego Konrad, ale bał się onieśmielić ją zbyttem pośpiechem, zaczekał. Dopiero gdy ojciec z córką gwarząc rozchodzili się po pokładzie, z wolna z ukłonem przystąpił do kapitana i jego córki, i powoli odezwał się klaniając:

— Signor capitano! śliczna córka wasza biednego wędrowca z dalekich stron gościnnie przyjęła na pokładzie statku; ma więc i on prawo prosić, aby tę bardzo ubogą pamiątkę przyjęła od niego.

To mówiąc, rozwinął śliczny złocisty różaniec z bursztynów wielkich jak laskowe orzechy, i oddał go zarumienionej Cazicie, która z obawą, radością i niepokojem jakimś na skinienie ojca go przyjęła.

Kapitan rękę Polakowi ścisnął.

— Dziękuję wam za szczodrość waszą, rzekł; wlekam się tylko, by datek nie był za wspaniały.

— Proszę sobie nie wyobrażać, aby w naszym kraju rzeczy te kosztowne były, odparł Konrad; wstyd mi małej jego wartości... Ale to owoce naszej ziemi, morze go u nas wyrzuca, jak wiecie, i morze tego robi w swém łonie ze skamieniałej drzew żywicy.

Cazita przypatrywała się uśmiechając różańcowi, o i bawiła się nim... Niezmiernie jęj było pilno pochwalić się przed ciotką; ale nim uciekla, odezwała się wlepiając oczy w Konrada:

— Bądźcie pewni, że póki życia, tęg pamiątki z waszego morza, waszég ziemi i waszég dobroci ni-

komu nie oddam, nigdy nie rzucę. Za was na nim modlić się będę.

Tych słów kilka wymówiła okrywając się całą rumieńcem szkarlatnym, uśmiechnęła się, spojrzawszy raz jeszcze, i po wschodkach jak uragan spadła do izdebki, wysoko nad głową niosąc zdobycz swoją którą podrzucała i igrała po dziecinnemu.

Ciotka, która drzemiała na poduszkach, zerwała się przestraszona.

— Co się stało? zawołała.

— Patrz! patrz! co to mi za tę *fiascone* wina ofiarował piękny ów polski młodzieniec! co za cudny sznur bursztynów! jaki śliczny krzyżyk przy nim!!

Anunziata, która już była zaczęła podziwiać bursztyny, zobaczywszy krzyżyk, pasciła je z rąk i siała widocznie zachmurzona.

— Cóż to! czy się wam nie podobało?

— Te dzieci to nie nie wiedzą — zawołała Anunziata. Powiadam ci, to jest zły dar! zły dar!

— Jak to? cóż w tém może być złego? przerwała Cazita smutnie prawie. Ofiarował mi go ojciec, ojciec przyjąć dozwolił, wszelkie formalności zachowane... cóż złego?

— Czyż nie wiesz — dodała ciotka — że rzeczy świętych kawaler kobiecie dawać nie powinien, one są złą przepowiednią!

— Złą przepowiednią!!... błędniej powtórzyła dziewczę. Ani ja, ani on o tém nie wiedział pewni i stanęła zamyślona.

— E! ciotko Anunziato, rzekła po chwili: zli ludzie wymyślili te niedorzeczności; czyż może być złego w tém co święte i pobożne? Jużcié szatan

mógł zamknąć się w bursztynie, tak jak w nim czasem komary i muchy bywają zalane...

Ciotka potrzęsła głową.

— Kto tam zbada biedną ludzką głowę, dla czego jedno złe oznacza, a drugie dobre wróży? czemu pogodny zachód dla żeglarza czasem burzę zwiastuje, a chmurny ranek dzień pogodny?

— Otoż ja się mojego różańca nie boję! zawołała Cazitą, — i całując krzyżyk szepnęła: Odtąd na innym się modlić nie będę...

I zarzuciwszy go sobie na szyję, dobyła zwierzca-delka.

— Jest mi z nim bardzo ładnie! rzekła — patrz Anunziato!

— A w czémże tobie nie pięknie, póki masz te ata!! mówiła stara. Skomponuj co takiego, aby mnie tym było pięknie, to dopiero sztuki dokazesz...

Cazitą parsknęła śmiechem... i na tym się skończyło.

Szybko po zachodzie słońca, noc zaczęła zapadać ciemna, gwiazdzista, a coraz chłodniejsza... Zwinięto ochę żagli, podwojono ostrożności, odsunął się stół nieco od brzegów, zapalono w izdebce lampę przed Madonną, niektórzy z podróżnych powoli zaczęli zabierać do snu.

Cazitą rzuciła się na swe poduszki, wieczorną zmianą stroju poczynając od włosów i klejnotów, któremi była obwieszona.

Powoli, pokład dosyć ożywiony we dnie, stawał coraz cichszym; snuli się po nim tylko majtkowie, zechadzał kapitan doglądając, czuwał sternik u ruder reszta nie lubując się w pięknej nocy, którą księ-

żyć miał za chwilę rozjaśnić i uczynić przezroczyście srebrną, kładła się spać, gdzie kto stał. Turcy na swych skórzanych poduszkach i kilimkach już drzemali; inni też podobniejsi byli pozawijani w płaszczy do martwego pakunku, niżeli do żywych ludzi. Żegluga tak się zdawała bezpieczną, noc tak się zwiastowała pogodną, kapitan tak dobrze znał te wybrzeża, które dziecięciem na łódce, szamocząc się się z balwanami, opływał!...

Długo Konrad marzył, oparty plecami o swoje łokcie, Bóg wie już tylko o czém... o morzu zieloném, o dziewczęciu białém, o Ziemi Świętej, o podróży długiej, o domu porzuconym, o kraju smutnym, o szczęściu niedostępném, aż mu się oczy powoli zmrużały. Koło niego węgrzynek w burkę uwity przetracał się też z boku na bok, stękał, i nie mógł przetrwać do snu, choć zwykle miał sen łatwy i długi; zbytku się w nim nawet lubował.

Już było dobrze w noc, a Konrad znowu rozczepiony przyglądał się wschodowi księżycy, który z oparów morskich wstał czerwony, jakby z łaźni wychodził — gdy nagle węgrzynek się pochwycił z postanowieniem otrząsnął, przeżegnał i coś mruzcąc począł.

— Cóż ci to? czyś niezdrów? spytał pan.

— Juścić zdrów, proszę panicza, rzekł chłopak, ale co zasnąć, to ani weź.

— Przecież cię gdyby w kolebce kołyszą.

— I jać to sobie mówię, ale nie... ino oczy przy mrużę, to mi się dwie twarze poczynają przekonawiać: Jedna ta jójmość siwowłosa, dużo brzydsza Murzynowskiej, a drugie to półdyablę weneckie ze swą ślicznością — i człek zasnąć nie może.

— Któż? co? spytał Konrad.

— A te dwie co wylażą z dziury, dodał Maciek. Te dwie... człek jeszcze w życiu nie podobnego nie widział.

Paniczowi nie było lepiej, więc się rozśmiał.

— Ta druga, co to ja ją z pozwoleniem pańskim, pół-dyablęciem nazywam—mówił węgrynek—piękna jak sto dyablów, ale i straszna!

— Czémże straszna?

— Albo ja ta wiem! odrzekł Maciek. Jakże to wytłómaczyć, czemu ocet w gębie kwaśno smakuje? Tak i to. Straszna ta i straszna, że strach... Człek-by się na nią patrzył a patrzył; oczu oderwać nie sposób... a po duszy ciarki chodzą... Proszę panicza,

nas kobieta choćby najpiękniejsza, to będzie jakoś ma, będzie zawsze z przeproszeniem trusiątko, bojątkowa, oczka spuszcza... zdaje się drży, kuli się, strach, i człowiekowi z nią raźniej, — a ta!! oho!... rosze tylko panicza, jak ona się patrzy, to człowiek szuje, że go do szpiku przenika; a gdyby tak pod tym wyrokiem pottrzymała dłużej, to dalipan zdechłby.

— Otożes się rozgadał! rzekł Konrad, uśmiechając się. Praw, co ci na myśl przyjdzie; weselęj mi, gdy tak gwarzysz. Cóż dalej mój Maćku?

— A dalej, proszę łaski panicza, odparł Maciek zmieszany,—dalej to już ja nie wiem. Tylko mi sięj strach.. Myślę sobie, żeby szatan chciał człowieka spokusić na złe, to jużby chyba inaczéj się nie prezentował.

Panicz rozśmiał się i westchnął: chłopak słowy imiemi, wyrazistszemi malował wiernie te wrażenia, jakie mu się na sobie Konrad doznawał. I on był bezsenny i zruszony, a myślał bez ustanku o tych oczkach złotych, i słyszał śmieszek jej srebrny, i kręciła mu

się po pokładzie cała błyszcząca, iskrząca, jak kiedy ją widział we dnie.

— Maćku mój, odezwał się Konrad wreszcie: przeżegnaj się, to cię mary odleca, a śpij dobrze, bo jutro już dopłyniemy do miasta, z którego dalej przyjdzie żeglować do Ziemi Świętej... A będzie przy wyborze siła roboty i na wodzie niestatecznej kłopotu niemało; bo nie każdy dzień i nie każda noc tak spokojne i pogodne wypadną jak dzisiejsze.

Maciek posłuchał, przeżegnał się i legł, ale panicz nie zasnął. Prózno się przewracał z boku na bok, dobierał miejsca na kobiercu,—oczy się już kleić nie chciały. Trzymała je też otwartemi i ciekawość; pierwszy raz był na morzu, a ta noc powitania trafiła mu się zachwycająca.

Cicho podniósł się księżyc coraz stygnąc i jakby, bledniejąc, bo z drugiej strony [za łańcuchem gór-w prawo, już się powoli pierwsze brzaski dnia wiot-sennego marzyły, i widniało coraz, i morze dalekie, d z razu zamglone rozjaśniało się, a po niém jak stado łabędzi niezliczone łodzie rybackie ze swemi żaglawal-białemi, szaremi, w pasy czerwone, snuły się jak wponie mspione. Statek je wymijał co chwila, ludzie się pozdrawiali lekkim okrzykiem tylko, i płynęli dalej.

Dzień coraz już szybcéj nadchodził, szerzéj rozta-mazały się odbłaski jeszcze niewidomego słońca, z z lo-za purpur i złota w jednej chwili wystrzelił brzezek tarczy, rósł, a po falach przebiegło jakby drzenie, a jakby muzyka promieni grająca świetnemi dla oka jak-ty barwami, hymn blasków dziennych. Na horyzon-tie księżyc zawstydzony, jak biała został plamka, ale a-wszystek świat za to zajaśniał, rozwidniał; góry po-za zęły się rysować ostrzej, wody zieleniej wyglądały.

piana była srebrzysta, po szafirze niebios migąło, zwijając się, białe ptactwo morskie... I łodzie, których przody zdobiły wizerunki świętych, przestały widma udawać, przyznały się do drewnianych osmolonych boków, konopnych sznurów i wilgotnych sieci, które mi były poobwieszane.

Wszyscy jeszcze spali twardym snem poranku. Konrad zachwycony modlił się w duszy; błogo mu było... on jeden schwytał oczyma tę tajemniczą chwilę uroczystą stworzenia, mówiącą wyraźnie o Bogu do serca człowieczego; zdało mu się, że podłuchał szept ziemi, korzącej się i modlącej przed tronem Ojca...

Kapitan nawet, obrócony ku sterowi swojego statku, drzemał, ale niebezpieczeństwa nie było, płynęli drogą znaną, wiaterek coraz raźniej popędzał, kręt zdawał się czuć i wiedzieć dokąd pynie, ciągnęło go ku domowi, ku Wenecyi.

Ledwo ukazało się słońce, wilgotna noc chłodna pierłnęła gdzieś nagle ze swemi mroki i powietrze się ogłuszyło; ciepło poczęło rozchodzić się coraz szybciej, że w godzinę zrobiło się gorąco. Śpiący rozbrzmiali się, poczuwszy, że ich inna atmosfera otaczała; Turcy obmywszy się, już modlili się; dalej Żydzi rozpoczynali także głosić chwałę bożą; ostatni chrześcijanie przeciągnawszy się, żegnali się i zaczęli krótkie modlitewki ziewając.

Od wschodków ujrzał Konrad nagle rozkwitłą rozespaną, różową twarzyczkę Cazyty.

Nie spodziewała się może, by ją kto tak nieprzestrojoną zobaczył; ale śpioszek ze zwiniętymi włosami, które się porozplątywały i spadały w nieładzie kamiona, jak sploty rośliny spływające z wazy

śpioszek był inaczej, a zawsze cudnie piękny, piękniejszy jeszcze może, niż gdy się przystroił. Na twarzy rumieniec snu wykwił, oczy mniej były rozhułkane niż we dnie, usta jeszcze ziewały, trochę białych, perłowych pokazując ząbków...

Wyjrzała bojaźliwie, ale zdumiona, gdy spostrzegła utkwiony w sobie wzrok Polaka, zawstydzila się bardzo, rączką machinalnie poprawiła włosy i schowała się. Jednak nie całkiem chciała nie być widzianą, a patrzeć, jedno oko tylko na pół nad deski pokładu się wysliznęło.

— Czyżby nie spał? myślała; czy się tak rano przebudził? czegoś się zadumał, a patrzy, o! ku mnie, ciekawy! Dam mu *buon giorno!* E! nikt nie patrzy, ciotka śpi jeszcze, ojciec drzemie obrócony plecami, o Turków nie dbam, co mi tam obey!

I wysunęła główkę, śmiało uśmiechnięta i cicho, aby nikogo nie budzić, posłała mu *buon giorno signore!* które on więcej odgadł niż posłyszał. Zdjął kłapczek, sklonił głowę, a obejrawszy się wkóło, od ust posłał jej pocałunek!...

Sam nie wiedział doprawdy jak się to zuchwałstwo stało, zawstydził się, ona mu pogroziła, ale nie straszno, popatrzała chwilkę i znikła.

Oczy Konrada padły przerażone na starego chudego Kapucyna, który na uboczu stał z różańcem w rękę, i pogroził mu palcem, i pokiwał głową.

Konrad zawstydził się mocno.

Dopiero gdy ochłonawszy od tego spojrzenia groźnego, rozmyślać począł nad popełnioną nieprzystojnością, Konrad przekonał się, że był bezwstydnym zuchwałcem... Ukłon mógł być dozwolony, naturalnie, ale ten ruch ręki do ust! o! to już było za

wiele! to był prawie kryminal! Kapucyn miał słuszość, gdy groził: to mówiło wyraźnie we wszystkich świata językach: „Pocałowałbym cię, gdybym mógł.“⁶ A jakież miał prawo panicz podróżny do tak poufalego zbliżenia?...

Było to źle, było szkaradnie, ale pan Konrad tłómacząc się przed sobą, przypisał ten szal wpływo wi bezsennéj nocy i południowego klimatu. W kraju nigdyby był tego nie śmiał uczynić; Włochy snadź mają swe prawa...

Zrodziła się też kwestya ważna: czy ona była za to gniewna czy nie? czy widziała potępienie i groźbę chudego Kapucyna? Była obawa zarazem i były znaki niektóre pocieszające, uspakajające... Stało po rozwadze i rachunku, że musiała być trochę obrażona, ale niezbyt śmiertelnie.

Wypadało też rozmówić się z Kapucynem, który właśnie ranną kończył modlitwę, i prosić go o rozgrzeszenie. Konrad zbliżył się do niego nieśmiało, i w rękę go pocałował obyczajem naszym; księżyna uśmiechnął się łagodnie.

— Złapaliście mnie, ojeze, na mimowolnie popek nionéj nieprzyzwoitości, odezwał się Konrad; alem złej myśli nie miał... Stało się to, sam nie wiem jak...

— Dziecko moje, odparł powoli Kapucyn — dzieje się to tak zawsze mimo wiedzy, kiedy człowiek nie czuwa nad sobą. Zbrodnia niewielka, ale po co ci kar mić myśli puste i w niej i w sobie? Obcy jesteście, za godzin kilka rozdzieli was los znowu na wieki.

— To prawda, rzekł Konrad; ale nie godziź się Boga chwalić w dziełach Jego?

— Tak! tak! sofistykuj jegomość! Chwalcie Boga inaczej, to będzie bezpieczniej.

I poczał się śmiać stary, klepiąc po ramieniu Konrada.

— Jużem w waszmości poznał Polaka, rzekł, — a znalazem dużo ziomeków waszych i w Rzymie, i w Padwie, i na Szlązku, gdzie trochę gościł. Wszyscyście poczciwi, ale tacy lekey... i płomieniści, że żal bierze patrząc na was... jak upolować łatwo tę biedną zwierzynę... Ej! ej! — dodał wzdychając — ino się też pilnujcie, gdzie oczu czarnych dużo, a nie wszystkie tak niewinnie patrzą, jak córka naszego kapitana, która jest dzieckiem jeszcze...

— Nie bójcie się, ojeze, rzekł Konrad: choć Wenecya jest mi na pół ojczyzną, bo z włoskiej rodziny pochodzę, nie myślę tu bawić długo, tyle tylko, by się u grobu Św. Marka pomodlić i okręć dobrać, coby mnie zawiózł do Ziemi Świętój, do grobu Zbawiciela.

Kapucyn popatrzał, śmiejąc się i potrząsając głową.

— Ty, moje dziecko, do Ziemi Świętój? a cóż to? ślub?

— Nie, pobożność i ciekawość razem.

— E! e! dodał stary: wątpię ja, żebyście tam dojechali; uwięźnicie w Wenecyi, zrazicie się trudnościami i niebezpieczeństwami... ot! może i jakie oczy czarne nie puszcza.

Konrad się uśmiechał, ale te przepowiednie trochę go dotknęły.

— Czyżby ta podróż tak w istocie miała być ciężka? zapytał.

— Jam ją odbywał dwa razy w życiu, cicho odparł Kapucyn: raz świeckim jeszcze pokutnikiem, drugi już w sukni zakonnéj... Ale wierzaj mi: dodał,

pomódl się tutaj, a nie zapędzaj się zbyt daleko, jeśliś ślubu nie uczynił... mało kto cały powraca!

Konrad się zadumał, staruszek znowu poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się i rzekł:

— Dłużej o tém wypowiedzieć mogę; przyjdźcie do mnie do *Frari*, i spytajcie u fórtý o starego *padre Serafino*.

To mówiąc, dobył różańca, i na nowo chodząc po pokładzie, zaczął szeptać ranne modlitwy. Konrad stał w miejscu zamyślony.

W tych dumaniach tak się zatopił, iż nie postrzegł, jak słońce dopominało się o zrzucenie opończy. Węgrzynek też już na pół upierzony, oczy przecierał i pacierz odmawiał, ziewając. Wszystko na nowo żyć i ruszać się poczynało na pokładzie: Turcy pili kawę, którą im zgotował Murzyn, i palili tytuń; inni przekąsowali i popijali co kto miał.

Konrad także zajrzał do swéj flaszki, i napiwszy się z niéj, postrzegł jasno jak na dłoni, że *Cazità* bardzo się gniewać nie mogła, że się może nawet nie gniewała wcale, tylko dla przyzwoitości wypadalo jéj okazać pewne niezadowolenie.

Pod pokładem budziła się i ciotka *Anunziata*, a *Cazità* zastała zadumaną głęboko, już czuwającą, ale jeszcze niebiorącą się do stroju. *Cazità* myślała także, co miało znaczyć to pocałowanie wysłane przez powietrze — czy się niém obrazić wypadalo, czy uważać je za oznakę niewinną więcej niż chwilowego uwielbienia...

— Nie mógł przecię mieć złéj myśli młodzieniec, który mi wczoraj tak ładny różaniec darował?... to widoczne... gniewać się nie ma o co; ale trzeba też trochę być zimniejszą, bo to jakiś gorączka, choć

z chłodnego kraju pochodzi! O! tak! muszę być bardzo ostrożną i baczną, chociaż zrażać go znowu nie ma potrzeby, nie! Takby mi było przykro, gdybym go zraziła! Ale ja to potrafię.

Po główce jéj krzyżowały się myśli różne, tak poplątane potem, tak dziwne, że ich już zwinąć w pasmo jedno nie umiała.

Ciotka żegnała się i modliła, poziewała, zaczynała gderać powoli. *Cazità* czesała długie włosy i wybierała nowe sukienki.

Cała ich paczka leżała przed nią.

Na pokładzie, począwszy od kapitana, wszyscy twarzami obróćeni ku przodowi okrętu stali, sięgając w dal oczyma. Z kilku ust po cichu zerwało się: *Ecco!*

Daleko, daleko, widać było piaszczystą ławę... to Lido, a nad nią, jak wysokie pnie drzew wyrastające proste, smukłe *campanille*. Kapitan rozeznawał już nawet *San Giorgio*, dzwonnice Św. Marka i ledwie dla drugich widoczny biały wierzchołek kopuły *La Salute*. Ale co chwila rozjaśniał się ten obraz, rosły dzwonnice, po nad ławą piasku poczęły wystawać mury.

— *Venezia! ecco Venezia la bella!* zawołał głośno kapitan, i odkrywszy głowę, wital ją ze lzą w oku; drudzy witali uśmiechami.

Statek wszystkie rozpuścił żagle, śpieszył zdyszany, pilno było i majtkom, i sternikowi, i podróżnym.

Nigdy powolniej nie dościgamy celu, niż gdyśmy go już najbliżej. Naówczas zdaje się, że on ucieka, szydząc z niecierpliwości naszéj, przed nami. Na ostatek i *Cazità* wybiegła na pokład z powitaniem „dzień dobry“ dla ojca, choć już nie pierwszemu na ustach. Tego dnia zapragnęła być zupełnie inną niż wczoraj —

dla czego? to tajemnica kobiety. Ubrała się całkiem czarno, nie włożyła klejnotów, nie powieszała łańcuszków, tylko bursztynowy jeden złożył się na suknie różaniec. I włosy zwinęła prościęj, a była w istocie tym strojem do niepoznania zmieniona i znowu dziwnie piękna a znowu całkiem inna — czarownica!

Wczorajszy trzpiotek nabrał powagi i spokoju, choć z po za ułożonych poważnie ustek, młodość zachczajona uśmiechała się figlarnie. — Przytuliła się do ojca.

Widać już było Lido. Kapitan z dala rozeznawał swój dom stary, murowaną kamieniczkę u brzegu morza, oplecioną winną latoroślą.

Żałował, że wprost przybić tam nie mógł; trzeba było opłynąć w okolo, i stanąć naprzeciw nieubłaganój Dogany.

Na statku, jak zwykle przed wysiądzeniem, ruch się zwiększył, pakowali się wszyscy: Turcy swoje towary, żony, kilimki i poduszki, kupcy ormiańscy i greccy tłomoki, Żydzi węzłki, majtkowie porozrzucane rzeczy. Węgrzynek i pan Konrad stali i patrzali jedni nie robiąc; nietyle im było śpieszno co innym, a daleko dziwniej. Chłopak już był tój, którą nazywał półdyablęciem weneckim, zapomniał, bo miasto owo wyrastające wprost z morza, zdające się pływać po nióm, całe go pochwyliło. Kiwał głową, załamywał ręce, ruszał ramionami i co chwila się żegnał.

— A! Święty Antoni! wołał: to już chyba dyabeł budował nie ludzic. Jakże my tu żyć będziemy mogli, kiedy ja pływać nie umiem?

Konradowi gdy statek stanął, gdy już na ląd się potrzeba było wybierać, zrobiło się dziwnie smutno, i pomyślał sobie:

— Już więcej może tój cudnej nie zobaczę towarzyszki... a póki życia jój nie zapomnę! Otoż to los człowieka: mignie mu słonko i zachodzi chmura, i znowu ciemno a ciemno na wieki.

Ani się domyślał, że Cazità szeptała ojeu na ucho, aby koniecznie podróżnego Polaka na rybę do siebie zaprosił. Nigdzie tak ryb nie przyrządzano morskich jak u cioci Anunziaty, a potrzeba się było pochwalić przedziwnym ich smakiem przed tym wędrowcem z daleka. To było koniecznością, obowiązkiem, a za różaniec wypłatą długu.

Ojciec był trochę zazdrosny, trochę się lękał; ale trafiła na dobry humor. Powracał do kraju z korzystnej i szczęśliwej podróży; jakże było pieszczonemu odmówić dziecięciu?

— Co on tam sobie o nas pomyśli? rzekł do córki; gotów posądzić, że my go łapać chcemy, żeś ty płocha zalotnica, a ja podstępny awanturnik.

— A! ojeze! ojeze! jemu widać z oczu, że podejrzliwym nie jest.

— A ty czytasz w oczach jego?

— Jak w otwartój drukowanej księdze. Napisano w nich, że jest poczciwy, a poczciwi o niepoczciwość drugich nie posądzają.

— *E vero!* rzekł z uniesieniem Zeno, całując ją w głowę; zostaw to mnie.

— Bo ja go zobaczyć muszę! dodała stanowczo choć zarumieniona dziewczyna; pokażę mu moje piękne Conchille, a jeśli ma matkę lub siostrę, dam mu z naszego morza różaniec dla siostry lub matki.

— Albo dla żony! dodał śmiejąc się kapitan Zeno. Dziewczę stanęło jak rażone tym domysłem; ale pocałunek posłany z rana wnet rozproszył podejrze-

nia. Była pewna, że żonaty nie byłby śmiały jój pośląć tego rannego całusa.

— O! on nie jest żonaty! zawołała śmiejąc się.

— A zkadże ty to wiesz tak pewnie? spytał ojeiec.

— No, wiem, odparła śmiało; dosyć, że wiem.

Musiał ojeiec spełnić uparte żądanie córki, ale ostrożniejszy od niej, chciał to uczynić niby sam z siebie. Odprawił ją do izdebki, chodził długo, narazcie jakby przypomniawszy sobie coś, zbliżył się do Konrada i podał mu rękę.

— Otoż i nasza wspólna ojczyzna, rzekł wskazując na miasto, mamy się nią prawo pochlubić: wydarliśmy ją morzu i uczynili panią jego, a podziwem świata. Zabawicie tu pewnie, nie zapomnijcie i o domu kapitana Zenona. Każdy gondoler tę starą kamieniczkę naszą łatwo wam pokaże. Będziemy wam z serca radzi! Ciotka Anunziata obiecuje dla was zgotować rybę taką, jakiej drugi raz w życiu jeść nie będziecie!

Mówił, a Cazità z daleka oczyma mu dała do zrozumienia, że należała do spisku, że wiedziała, o co proszono. Konrad skłonił się, szczęśliwy bardzo, ona go pożegnała uśmiechem i niedostrzeżonem skinieniem głowy... a tuż, tuż, i zamęt wylądowania się poczynął.

— Gondola! signori! gondola! krzyczeli w czerwonych czapkach przypluwający przewoźnicy.

Czarne łódki, podobne do jaskółek z lotu i kształtu smukłego, okrążały statek. Zrzucano pakunki, spuszczały się pilniejsi po wschodkach i linach. Przed podróżnymi roztaczała się w całej swój wspaniałości słońcem ozłocona Wenecya, naówczas jeszcze pani Adryatyku, choć już podupadająca, pałac Dożów, Salute, Kanał Wielki, pałace, wieżycy, kopuły, ko-

ścioły... I krzyki ludu dochodziły od Riva dei Schiavoni aż tutaj. Roilo się przy Piazzecie.

Nasi podróżni z podziwu nad tym cudem prawie o sobie zapomnieli; węgrynek odmawiał: *Pod Twoją obronę*, gdyż zdawało mu się, że pierwszej nocy, pierwszej burzy, całe miasto morskie wody pochlonać muszą.

— Co dziw, to dziw! — szemrał w duchu, — ale wolałbym ta siedzieć doma... nie najadłbym się tyla strachu! Ano pełniasienko ludzi, ta i co robić... może się to zbędziemy strachem, ale doma było siła bezpieczniej...!

Pan Konrad miał sobie wskazaną *antica locanda* na wybrzeżu; zwała się ona *Croce di Malta*, ale nie ta była co dzisiaj.

Gospody też ówczesne w ogóle do terażniejszych nie były podobne; sztuka przyjmowania i odzierania podróżnych empirycznie, instynktowo się wykonywała, i nie miała jeszcze tych form pewnych, systematycznych, jakie przybrała dzisiaj. Dawne *locandy* i *osterie* były to jeszcze niby domy gościnne, a nie najemnicze zajazdy. To też zaledwie się nastęrczył podróżny, gospodarz zaraz starał się go poznać, ocenić, wymiarkować, i wchodził z nim w poufały stosunek, a był zwykle pokorny, zapobiegliwy, przyjacielski, serdeczny i niezmiernie usłużny. Słynęli oberżyści z bystrości umysłu niepospolitej, zwłaszcza w sposobach korzystania rozlicznego ze swych gości. Przymiotu tego nie stracili i dzisiaj, różnica jest w tém tylko, że dawniej odzierali kłaniając się, a dzisiaj dra i lają. Postęp widoczny.

Locanda Croce di Malta, acz dosyć nawiedzana, nie była bardzo wspaniała, ale ówczesny jój wła-

ciel signor Beppo Zanaro, słyszał z tego, że umiał każdemu dogodzić, każdego poznać, przypochlebić mu się i w potrzebie wmówić, że było w *Croce di Malta* lepiej niż w raju.

Beppo Zanaro, którego gondolierowie zwali poufale *il gran ladrone*, był mężczyzną olbrzymiego wzrostu, tuszy odpowiedniej, czerwony, błyszczący, wesołej twarzy i wyparzonej gęby. Dawniej znakomity kucharz, dziś ograniczał się zwierzętnym tylko nad kuchnią nadzorem, mając wiele ważniejszych spraw na głowie. Dobry humor i uśmiech na ustach, jak klucze u pasa, należał do atrybucyj jego stanu.

Zaledwie gondola przybiła do brzegu, a z niej ukazał się kołpaczek z czaplím piórem, Zanaro, który czatował we drzwiach gospody na podróżnych, nadbiegł aż do wschodków z czapką swą ponsową w rękę. Jednym rzutem oka poznał w przybywającym znakomitego, a zatém i majątnego cudzoziemca, był więc szczęśliwszy, weselszy, grzeczniejszy niż kiedykolwiek.

Podał rękę wysiadającemu.

— Eccellenza! zawołał z zapalem, mam się za szczęśliwego, iż tak znakomitego patrycyusza pierwszy w Wenecyi powitać mogę... Dom mój, osoba, wszystko jest na wasze usługi... Nie chwale się — dodał trzepiąc bez ustanku, — nie ujmuję drugim ich zalet, ale niech powie Wenecya cała, niech poświadczy Rzeczpospolita, niech sława mojego domu głośna po świecie, dowiedzie waszój ekscelleneyi, iż lepiej trafić nie mogliście. Przyjmujemy samych tylko najdostojniejszych gości, i to nie w widokach podłego zysku, ale dla honoru zbliżenia się do ich osób, dla przyjemności służenia im... Witam was,

witam, i proszę! proszę za mną! najlepsze pokoje! najwykwintniejsza gondola... najtroskliwsza usługa...

Konrad milczał, uśmiechając się; węgrynek poגיadał z ukosa na tego wyginającego się w łamanych ukłonach olbrzyma, czerwoną jego szlafmycę i błyszczące oblicze.

Na skinienie oberżysty, niesiono już rzeczy do Croce di Malta, a ile paczek, tyle obdartusów się znalazło do posługi: szereg był wielki, od wschodów do drzwi ciągnął się nieprzerwany, każdy coś pochwycił i niósł, aby mieć udział w zarobku... Ostatni dźwigał w tryumfie kawał podartój rogoży...

— Bądźcie spokojni, mówił gospodarz poprzedzając gości z odkrytą głową: nie tu nie zginie, ja ręczę... Jak się stanąć podoba w ekscelleneyi? w sali i oddzielnym appartamencie, czy w kilku pokojach wesołych, lepiej jego incognito zachować mogących?

— Jak najskromniej, rzekł wreszcie Konrad, którego włoszczyzna zdziwiła Zanara.

— Wszystko na rozkazy! pojmuję miłość ciszy, spokoju i zacisznego kąta!! w ekscelleneya masz gust, którym i ja się szczycę! Ale pozwolicie spytać, z jak dalekich krajów szczęśliwie wiatry tu tak dostojnego dały nam gościa!

— Jadę z Polski! rzekł Konrad.

— Z Polski! w dłonie klaskając zawołał Zanaro, udając zachwycenie. O! jakżem szczęśliwy! z oblicza to waszego odgadywałem, na tém ezole maluje się szlachetność waszego narodu, który ja kocham i wielbię! Pozwólcie, abym kraj szaty waszój ucałował. Eccellenza...

— Ale choć Polak, dodał z uśmiechem Konrad — jestem zarazem Włochem i Wencyaninem; familia moja pochodzi...

— O Boże wielki! oburącz uciskając piersi, krzyknął Zanaro: a to cud! a to szczęście niewysłowione! Pozwólcie, bym wam się przypatrzył, bym się nasycił wami, bym niegodnymi usty imię wasze wygłosił.

— Lippi de Buccelis, rzekł Konrad.

Gospodarz łzę otarł wzruszony, już mu tehu brakło.

— A! rzekł ciszej — tylko patron mój, oblubieniec Maryi, mógł mi tak wielkie i rzadkie dać szczęście... Widzicie uczucie, jakiego doznaję... Rodzinę Lippich, główny ród Buccelich znam, znam z dawna, wiem ich zasługi i dzieje, nowym się one blaskiem na ziemi polskiej okryły.

Skłonił się.

— Dość, rzekł: nie chcę was utrudzać wyrazem uczuć moich; cieszę się, że tak dostojna osoba trafiła pod dach ucziwego człowieka... Oddadzą mi też sprawiedliwość w Wenecyi, żem tu pośród tysiąca szalbierzy i oszustów sam jeden czysty jak szkło naszej fabryki w Muranie... Speczniście eccellenza! dodał, wprowadzając go do pokojów pierwszego piętra dosyć wspaniałych, choć nieco obrukanych. Dom cały, ja, rodzina moja... na usługi wasze... sam zajmę się ins-tallacją.

Węgrzynek stał oglupiały, pewien będąc, że trafił szczęśliwie albo na krewnego, lub na starego przyjaciela domu. Konrad był zmieszany... Gospodarz już czuł się panem, ale chciał okazać się łaskawym, i po chwili usunął się nieco, przyrzekając tylko obiad godny samego Doży.

Jakoż w godzinie obiadowej nadszedł sam zapraszając eccellenzę, i dając do wyboru albo samotny positek w pokoju lub honorowe miejsce u swjej *tavola rotenda*.

— Eccellenza może być przekonany, dodał: że nie śmiałbym wzywać go do naszego stołu, gdybym nie był pewien, że towarzystwo, jakie się zbierze, powinno mu być miłym... Mam tylko znakomitego lekarza niemieckiego powracającego z Padwy, który zapragnął *miraviglia* grodu naszego oglądać, i signorę Boecatorta, sławną śpiewaczkę, jadącą na dwór cesarski, dokąd została wezwana, razem z kawalerem Gerardim, który jej w drodze towarzyszy... Będę też miał przyjemność przedstawić ekscellencyi waszej żonę moją i córkę Magdalenę...

Spodziewając się, że wyjść będzie musiał, pan Konrad był już przybrany jak należało, miał na sobie żupanik wiśniowy atlasowy i kontusik czarny aksamitny, pas siatkowy złoty i bogatą karabelę na rapiach jedwabnych karmazynowo ze złotem przerabianych. Do tego czapeczkę karmazynową z piórkiem, w której mu było bardzo do twarzy...

Trzeba przyznać, że i malowniczo i pańsko się prezentował Lippi, tak, że we własnej ojezyźnie trudnoby go kto był poznał za Włocha; krew polska i życie nasze już go na innego przerobiły człowieka. Na płótnach Weronezyusza tylko coś podobnego do niego z twarzy w dawniejszych czasach znaleźć było można. Wenecya ówczesna znacznie już podupadła, a upadek każdego narodu nawet z fizyognomii jego wyczytać się daje.

W salce na dole zgromadzeni już byli goście signora Zanara, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zaj-

mowała niesłychanie strojna panna Zenobia Boccator-ta, Włoszka, rodem z Medyolanu, brunetka słuszną, wspaniałej postawy, dumnego wejrzenia, pogardliwej minki, ale w istocie zachwycającej piękności. Był to raczej piękny posąg niż kobieta, w którejby się na pierwszy rzut oka rozkochać można, lecz niepodobna było nie dziwić się jej olśniewającemu blaskowi. Włoszka wiedziała snadź o tem dobrze i pyszniła się sobą... Po za nią stał towarzysz i stróż tego skarbu wiezionego na dwór cesarski, cavaliere Gerardi, dobrze dobrany, aby zazdrości ani podejrzenia nie wzbudził, mały, garbaty, z twarzą od ospy oszpeconą, w razu zimnego i złośliwego.

Daliej trochę doktor Niemiec, człowiek młody, przy-stojny, ożywionej twarzy, uśmiechał się grzecznie do signory Zanaro, gospodyni domu, osoby już niepierszej młodości, z pięknymi czarnymi wąsikami, podwójnym podbródkiem i tuszą wspaniałą, po za której rob-rozem kryło się pisklątko domu, córka jedynaczka Mag-lalena, biała, rumiana, ni ładna, ni brzydka, ale we-solęj twarzyczki i filuterych nad wiek oczu.

Wszystkich wejrzenia zwróciły się na wchodzącego Polaka, nawet signora Zenobia obdarzyła go dosyć pogodnym skinieniem główki, a Magdusia nie spu-szczała go z oka tak się jej — strój (jak mówiła) po-dobał.

Zasiedli do stołu, na pierwszym miejscu śpiewaczka, kawaler Gerardi, nasz Polak, dalej reszta towarzy-stwa. Gospodarz acz miał krzesło, nie siedział, aby bzuwać nad kuchnią i podawaniem potraw... Nie-wiele też mógł jeść, bo mu się gęba od gadania nie jamykała. Miał mówić o czém, o Wenecyi, o Polsce, o porze, o dostojnych przybyszach, o historii grodu

i historii domu. Konrad mało się odzywał, był mil-czący. Niemiec, który doskonale się był w Padwie wyuczył po włosku, Zanaro i gadatliwa Magdalenka śmieli się i zabawiali wszystkich w czasie biesiady, która wcale zła nie była, ale dla cudzoziemca dziw-na trochę.

Każdy mniej więcej tłómaczyć się musiał, zręcz-nie wyciągnięty na słowo, z powodów przybycia do Wenecyi; czynili wszyscy mniej więcej szczerze wy-znania, których snadź signor Zanaro na coś potrzebo-wał. Gdy kolęj przyszła na Polaka, opowiadał otwarcie o pochodzeniu rodziny, o tęsknocie, która go z kraju wygnała, i o zamiarze udania się do Ziemi Świętej.

Usłyszawszy to gospodarz, począł bardzo głową kiwać i ramionami ruszać.

— Niech mnie Bóg uchowa, abym ja, człek poboż-ny, katolickich rodziców dziecię— rzekł powoli— miał waszą eccelenzę odwozić od tak pobożnej myśli; mam sobie wszakże za obowiązek oświadczyć wam, że podróż ta ani jest łatwa, ani konieczna dziś, gdy tych samych odpustów dostąpić można zwiedzając inne kościoły.

— Ale cóż może zastąpić widzenie Palestyny? rzekł Konrad — poznanie ludzi i krajów nowych?

— Zapewne, odparł gospodarz: młodość ma takie pragnienia; lecz ja com się napatrył już w życiu dużo na odjeżdżających z promieniącymi twarzami, a wracających żółtych i tęsknych podróżnych, nikogo sumiennie na niebezpieczną tę wędrówkę namawiać nie mogę... Nie liczę tych, których pożegnałem u brzegu a *rivederei*, a których chyba na innym świecie zobaczę.

To mówiąc, westchnął z miną bolesną, i znać było, że nadzieja wypróżnienia podróżnego mieszka polskiego uśmiechała mu się, a boleśnie dla niego było dać go na łup niewiernym.

— Nikt z was o podróży do Jeruzalem—rzekł Zanaro—lepiej objaśnić nie potrafi nademnie, com już se-ciny wyprawiał; tędy z Europy ciągną niemal wszyscy, z wyjątkiem Francuzów, co się z Marsylii wyprawują. Pora właśnie po temu—mówił dalej, — wiosną zwykle pielgrzymki się przedsiębiorą, a na Boże Ciało przybywają do nas mnodzy pątnicy z całego świata. Jest też o tym czasie naw dosyć do wyboru, które ztąd płyną do Cypru, Aleksandryi w Egipcie, Aleksandryi Syryjskiej czyli Aleksandretty, lub do Trypolisu... A choćby kto tu i okręt, i kapitana sobie wybrał, w czémby ja mu mógł być pomocą, któż zaręczy, że w Aleksandryi, Cyprze, Aleksandrecie, gdzie się drugi Zanaro nie znajdzie, równie trafi szczęśliwie?

— Dość powiedzieć, dodał gospodarz cicho: iż kotołwiek się w tę drogę wybiera — bez testamenta nie jedzie. Z Turkami i Maurami nie ma żartów, a choroby i wypadki po ludziach chodzą nie po kamieniach... Żegna się ze światem, kto na okręt siada... spowiedzią i wiatykiem opatruje.

— O! rzekł Niemiec doktor, uśmiechając się niedowierzająco, przecież tyłu przynajmniej powraca ilu gienie, signor Zanaro?

— A może więć ginie niż wraca! odparł znacząco *il gran ladrone*. Ale ponieważ zacząłem już o tém, spodziewam się, że mi dokończyć dacie, jeśli signorinę—grzeecznie zwracając się do Zenobii dodał—nie nudzi ten przedmiot.

— Owszem, i ja jestem ciekawa, odpowiedziała Boccatora; mówcie.

— Najprzód tedy podróżny musi się ztąd o pozwolenie wyruszenia w pielgrzymkę starać u legata Stolicy Apostolskiej; jest bowiem anathema rzucone na tego, kto by wyjechał nie dopełniwszy téj formalności.

— A toż z jakiego powodu? zapytał Niemiec.

— Powód bardzo ważny, rzekł Zanaro: bo legat najprzód potrzebuje, aby mu okazał podróżny najmniej sto czerwonych złotych. Trafiało się bowiem, że się zapędził ubogi, za którego kks. Franciszkanie musieli potem w Jerozolimie i Ramie opłacać haracz należny... a są to księża z jalmużn żyjący i wielkim to dla nich bywało ciężarem.

— A! zawołał Niemiec.

— Dalej następuje—mówił Zanaro—ważna, nader ważna sprawa, w której bez gospodarza ruszyć się nie można: wynajęcie statku do Cypru, lub Aleksandretty. Nie obmawiam nikogo — szeptał zniżając głos, — ale kapitanowie trafiali się i tacy, co nabrawszy dobry ładunek ludzi, potem go niewiernym sprzedawali, będąc z nimi w zмовie i jakby przez korsarzy napadnięci wśród morza...

— O! przerwał cavaliere Gerardi — toby było ohydne.

— To w istocie okropne, szkaradne, niegodne imienia chrześcijańskiego! dodał Zanaro; ale tyle poczwar chodzi i pływa po świecie!... Jeśli się téj tragedyi uniknie — mówił dalej wzdychając, — poczucie się tedy zdzierstwo w Jaffie, dla różnej starczyzny tureckiej, dla Mucharów, i w Ramie, w Je-

rozolimie, poczną przyczepki, zasadzki, niebezpieczeństwo moru, klótni, napadu... a za nieże liczyacie długą nawigacyę i życie nędzne na statku?... O tém przy stole zamilczę, dokończył Zanaro. Nie chciałbym też, by dostojny mój gość szczerze interesowanie się jego losem, i poszanowanie, jakie za pierwszym wejściem obudził we mnie, fałszywie mógł sobie — uchowaj Boże — tłómaczyć.

Konrad skłonił głowę; uśmiechały mu się w tej chwili młodziuchna Magdusia figlarnemi oczkami dościsnąć zepsutego dziecka, i misterniej a ostrożniej, ale niemniej wyraziście, majestatyczna signora Zenobia...

Ale te dwie napaści kobiece na jego serce, ten tylko sprawiły skutek, że mu przypomniały przesłiznaną ową towarzyszkę podróży Cazitę Zeno, córkę kapitana.

— Nie lękałbym się wcale tej podróży, — odrzekł pod wrażeniem wspomnienia, — bośmy w ojczyźnie naszej przywykli niczego się nie obawiać; a niebezpieczeństwa pociągają nas więcej, niż odstręczają — gdyby mi się też trafił tak poczciwy i dobry kapitan statku jak ten, który mnie tu przywiózł z Tryestu...

Zanaro podniósł głowę zaciekawiony.

— Eccelenza pozwoli spytać o jego imię? rzekł żywo.

— Był to wracający ze Stambułu właściciel *Padre Antonio*, kapitan Zeno.

— Zeno! Zeno! powrócił więc! zawolali razem gospodarz, żona i córka. Kochany, zacny, nieoszacowany Zeno... Szczyć się jego przyjaźnią, gorąco rzekł Zanaro. Znam go jak brata, kocham jak rodzonego. Mój dom na Lido, stary dom, stary, ale krzepki statek, starą siostrę Anunziatę, i śliczny kwiatusek, córkę.

Tu Zanaro pięć złożonych palców ręki do ust przyłożył, i pocałował je, cmokząc.

— Cudnej piękności Cazitę...

Mimowolnie Konrad się zarumienił, czuł, że mu twarz jakby ukropem zapłynęła; obawiał się nie bez przyczyny, aby tej wywieszonej chorągwi obłąconego serca nie postrzeżono. Zanaro przelotnie spojrział nań i filut domyślił się wnet wszystkiego, ale udał, że nie wie.

— Czyście czasem nie jechali razem z ciotką Anunziatą i piękną Cazitą? rzekł niewinnie: bo, jeśli się nie mylę, miały na niego czekać w Tryeście.

Konrad kraśniał jak dojrzewająca wiśnia; zmieształ się.

— Tak, rzekł w końcu odważnie: płynęliśmy razem.

— Więc się już nie dziwuję, że w. excellencyi tak miłym wydał się kapitan Zeno, tak dogodnym jego statek, i tak krótką zapewne podróż na nim. Ha! ha!

Magdalena i signora Zenobia spojrzwały trochę z ukosa na Polaka, który oczy spuszczał jak winowajca na uczynku schwycony.

— Zaprawdę, nie ustając paplać, mówił Zanaro: Wenecya ma krocie piękności i nigdy w nie ubogą nie była; ale Cazitą...

— Cóż to znowu? przerwała urażona pani Zanaro: co to pleciecie? Cazitą jest ładna ruda myszka, a kto ma szczęście przy swym stole przyjmować taką piękność, jak signora Zenobia, której równiej nawet na obrazie nie znaleźć... no, i komu Bóg dał tak niesześciwłą córkę jak wasza, ten...

Zanaro uderzył się szybko z jedną i drugą stroną po twarzy i wypoliczkował, uznając swój występki.

— Winienem, rzekł; ale nie zaprzeczycie, że Ca-zita... śliczna. Cóż wy mówicie eccellenza? waszego jestem zdania ciekaw nadewszystko?

Konrad, któremu tak wprost strzelono w piersi tém zapytaniem, znowu się zapłonął i zmieszał.

— Są—rzekł powoli, wykręcając się—różne piękności niewieście, których jedną miarą mierzyć się nie godzi; oblicza obudzająco uwielbienie (skłonił głowę przed signorą Zenobią, która mu się tak wdzięcznie uśmiechnęła, że cavaliere Gerardi, aż usta zakąsił)... są twarze budzące braterskie uczucia... (spojrzał trochę ku Magdusi, która skrzywiła usta)... są wreszcie i niezbyt pięknych może rysów, a straszliwie niepokojące człowieka i niezapomniane dla niego twarze...

Spuścił oczy na talerz, kobiety spochmurniały, gospodarz chrząknął, nastąpiło głuche milczenie.

— Mam cię kawalerze, powiedział sobie w duchu Zanaro: już mi się nie wykręcisz... a że do Jerozolimy nie pojedziesz, za to ręczę.

Czas tedy było wstawać od stołu, i ruszyli się z przesy. Signora Zenobia głośno mówiła, że będzie w teatrze, prawie zapraszając do swój łoży Konrada. Magdusia bąknęła, że pojedzie na Lido.

Lido to, kilkakrotnie powtórzyła znacząco.

— Jeśli pojedziesz na Lido, dodał gospodarz, to wytrzymacie, abyście nie odwiedziły ciotki Anunty i Cazyty. Klaniajcie się im odemnie.

Konrad odchodził powoli.

— A od was? spytała figlarnie Magdusia Zanaro od was eccellenza?

— Nie śmiałem was o to prosić, signorino, rzekł Lippi; ale jeśli łaska, proszę pokłonić się wszystkim odemnie także.

— Wszystkim? cicho spytało dziewczę. Jam myślała, że tylko téj wieczny niepokój budzącej twarzy?

Konrad nie miał odwagi płać się więcej; uśmiechnął się, nisko uklonił i poszedł z gospodarzem, który go nie odstępował. Dopytywał, czy nie potrzebuje gondoli, czy nie zechce oglądać miasta, czy nie weźmie przewodnika na plac Św. Marka i piazzę; a w istocie do dna badał i usiłował poznać gościa. Nie przyszło mu trudno prostodusznego usidlić człowieka...

Następne dni przeszły szybko na oglądaniu miasta, które dożywało razem z Rzeczpospolitą dni swoich i świetności stariej... Dla cudzoziemców z daleka, z téj jeszcze ziemi, na której sztuka nigdy z nieustannie wzbierającego pęczka nie miała czasu zakwitnąć — wszystko tu było dziwem i cudem... wszystko nauką nowego jakiegoś i niezrozumiałego życia. Konrad wprawdzie przygotowany był czytaniem i myślami do pojęcia swój drugiej ojczyzny; fizyognomia jej nie była mu obcą; ale między opisem a rzeczywistością tyle się wciska niepochwycionych rysów...

Gość był z węgryniem, który, jakkolwiek grał tu rolę podrzędną, jakkolwiek prosty Maciek, nie może nas nie obchodzić. Węgrynek bez języka, bez przewodnika i tłumacza, choć go Konrad wszędzie z sobą woził, aby się chłopcyski nie nudziło, był jak na niemieckim kazaniu ciałem. Trudno mu było w tym objaśnieniu całą tę niepojętą dla

niego zjawisk wyklądać. Maciek z otwartemi usty patrzył, podziwiał, ale nie rozumiał ani krztu.

— Już to ja, proszę jegomości, mówił drugiego dnia wieczorem — to tak jestem ciągle bezsenny, że mi się czasem zdaje, że to wszystko, na co człowiek patrzy, mara jakaś... Ale co osobliwości, to osobliwości, proszę jegomości; co rarytne, to rarytne... Aż strach aby tego morze nie pochłonęło której nocy; bo nie wiem, czy pan zważał, ale dalipan, tu żadne domowstwo i żadna wieża prosto nie stoi... gdyby pijane to na tę stronę, to na tamtą niby się wała... no ale z dopustu bożego do czasu to stoi... A i — z pozwoleniem pana — kobiety, niech je wszyscy dyabli wezmą! — młode, by anioły piękne, a stare brzydsze od dyabłów... Czy to może być, żeby z takich pięknych panien wyrastały tak srogo szkaradne baby! Chyba ztąd kobiety młode gdzie wywożą, a stare...

Nie dokończył machnąwszy ręką, i widząc, że pan się śmieje, sam też śmiać się począł.

Wezwał pan Zanaro wedle zwyczaju eccellenze do stołu, a węgrynek, który już był się posiłił i dobrze wina napił, sam pozostał.

Było mu zalecono pilno, ażeby stancyi strzegł, i z domu się sam, dla nieumiejętności języka, nie oddalał. Ale węgrynkowi robiło się nudno, a ruch na *Riva* wyzywał go i nęcił. Przed oknami kuglarz właśnie hecę z małpą wyprawiał, i olbrzymia kobieta grała na bębnie. Jak tu było wytrzymać?

— A co mi się ma stać jak wyjdę? rzekł do siebie; jużćie bez rozpytania nazad do gospody potrafię, bo i wiem, że się Malta zowie! A tuć nie nie ukrad-

nę, bo trzosiy gdzieś na przechowanie oddane, a drzew się dobrze zamykają... Pan nie zaraz powróci...

Jak rzekł, tak uczynił; ale się węgrynek nie rachował dobrze z następstwami wycieczki. Ni zszedł z piętra po cichu, kuglarz i olbrzymka znikli, lud się rozszedł, na placyku nie było już co robić i na cò się wyszczerzyć. Węgrynkowi świerzbiali pięty strasznie.

— A no, pójdę przed kościół Ś. Marka, rzekł do siebie: to się podziwię tym złoistym obrazom, bom takich jak żyw nie widział.

Drogę znał trochę, i przez placyk pociągnął bardzo przyzwoicie na sam plac, przeżegnał się przed kościołem, zdjął czapkę, Zdrowaškę odmówił, a począł się przyglądać, a przyglądając się i dumał.

— Po co to oni cztery konie na kościele postawili? Chyba to te, któremi Ś. Marek przyjechał przez morze,—odpowiedział sam sobie i westchnął.

Tłumaczenie własne uspokoiło go co do koni. Wpastrywszy się w jeden z mozaikowych obrazów, mocno się zgorszył i znów okrutnie zadumał. Spostrzegł na nim doskonale wyobrażonego świeżo zabitego wieprza*). Tyle razy po Bożem Narodzeniu i przed Wielką Nocą oglądał podobne na folwarku, myśląc o przyszłych kielbasach, że nie mógł się omylić. Nie znając gendy, nie rozumiejąc co tam wieprzowina robiła na kościele, Maciek posmutniał...

Odszedł zgorszony od kościoła, a tu go zegar ze swemi sztukami bijący właśnie zatrzymał. Tuż przez bramę widać było ciasne uliczki na *Merceryach*. Gdy

*) Weneccyanie wykradając ciało Św. Marka, odcygnęli je z przowina, aby odstręczyć od ściślejszego przegladów granicznych. Jeden z obrazów na kościele to

zegar przestał bić i sztuki wyprawiać, Maćkowi się okrutnie zachciało wejść tam w głąb tych ciasnych szyj, obstawionych sklepikami.

— Kieóżbym licha nazad nie miał trafić! rzekł wdychu,—a no pójdę, zajrzę.

A miał na sobie jak przystało odzież nowiusienką z węgierska, z cienkiego sukna całe ładną, i pasik kowany, i czapeczkę, magierkę piękną, i wyglądał bardzo przystojnie; ludzie się też na niezwykle strój poczęli trochę gapić. Szczególniej jeden jakiś wielki drab, ponuręj twarzy, krok w krok za nim ciągnął, a z oka go nie spuszczał.

Ale Maćkowi nie było to w głowie, i nie spojrzał nań nawet. Zaraz za bramą, która od Prokuratorji prowadzi w ciasne uliczki Merceryi, węgrynkowi wpadły w oko sklepiki jeden dziwniejszy nad drugi... Rupiecie tam były wszelakie, których on użytku zrozumieć nie mógł. Gdy się tu zagapiwszy stoi, ów drab pchnął go mocno. Maćkowi krew buchnęła do głowy, bo był gorączka, więc też pięścią oddał. Drab zaraz przystanął, a tuż i do noża. Maciek odstąpił nieco zuchwało, choć do boju, ale bezorężny, ino wkroczony, coby pochwycić, aby garść nie była próżna.

Ale Włoszyszko zmiarkowawszy, że chłopaka nie w kaszy, zamiast się do niego porwać, jał okrutnie hałasować i krzyżeć. „*Ladroni... canaglia...*“ i gorsze jeszcze wyrazy posypały się gradem. Maciek też usta otworzył, i w długu nie chcąc zostać, nuż go po polsku bezcześcić. Na ten wrzask, tłum ze wszystkich sklepików jał się zbierać, gromadzić, oblegać, tak, że ciasne owo przejście wcale się wnet ludźmi zatkało.

Na brzoń wreszczał drab wywijając nożem, tém

Maciek też serdeczniej mu dopiekał. Obaj się ni zumieli, ale doskonale domyślali się, że to nie byłoby by błogosławieństwa.

Już się na to zbierało bardzo, że zbiry obywateli więzienia pochwycić mieli, gdy w pośrodek po zwaśnionych weisnęła się osobliwsza figura.

Był to mały, błądy garbusek, z głową ogoloną a łysą jak kolano i błyszczącą, przyodziany dziwnie, bo w koszuli tylko, spodeńkach letnich, z bosi nogami w pantoflach, i w skórzanym od pracy swęcącym a założonym fartuchu... Na nosie miał okulary mosiężne, a że te widać tylko do niego mu służyły, patrząc na świat spuszczał głowę, wyżej nich nagiemi oczyma mu się przyglądał, w też i głowę osobliwszym sposobem wykręcał. Z fartucha wyglądało mu godło rzemiosła jego, kopy drewniane, a w ręku (ręce miał żylaste i olbrzymo mimo niewielkiego wzrostu) trzymał sztyl i

Garbus zerkając z za okularów na obie wciąż jedno ucho ku Maćkowi nastawiał, a doleciało przekleństwo, to się uśmiechnął; na jakby zniecierpliwiony przypadł do Maćka, pojął za rękę żylastą dlonią, i pociągnął wlokąc za do małego sklepiku, którego drzwi zatrzasnął.

W ulicy wrzawa była ogromna, ale szewcucha słuchał jój, obrócił się do węgrynka i — o mało z podziwienia nie struchlał — po polsku ofuknął.

— Czegoż to się tak samopas po ulicach wlecie w mieście? he?

Węgrynek ręce złożył.

— A! Matkoż ty Boża! zkadże wy po polsku wicie?...

— A tobie co do tego smyku! rzekł szewc. Mów! to zrobił? z kąd idziesz? i po coś tu wlaź w to nie gniazdo?

— Mój dobrodzieju, panie szewcze, odparł Maciek: m se na przechadzkę wyszedł z Malty... drab mi pierwszy dał racyę, tom-ci mu oddał pięścią, jak się patrzy, a ta bestya zaraz halasu narobiła.

— Czyżżeś ty jest? zapytał szewc żywo.

— A pana Lipińskiego z Robnina.

— I jakież was tu licho przyгнаło.

— No, to-ć do Ziemi Świętej jedziemy.

— Siedźże trutniu eicho, a czekaj! odparł gospodarz, i otworzył drzwi.

Przed progiem tłum jeszcze i ów drab cisnęli się krzyczeli okrutnie. Szewc na górnym schodku stanawszy poważnie, wyglądał jak na kazalnicy. Skinał głowę. Umilkło wszystko. Odchrząknął...

— Czego chcecie? próżniaki, mazgaje, trutnie, psy Najświętszej Panny! he? czego? Lenardo, ty będziesz wisieć będziesz, jeśli ci pod czerwonym słupem na Piazzecie łba nie utną. Zaczęłaś niewinnego chłopaka, sługę możnego pana polskiego, który ci tego płazem nie puści... Ja przeciwko tobie sam świadczyć będę... Pierwszyś go kulą uderzył... Chciałaś odrzeć, lub klótnię wykupnem skończyć, a ja cię osadzę w więzieniu, ja, ja, jakem Jacopo Nani, he! słyszysz?

Poparł tę mowę, jak przystało obyczajem włoskim, ogromnemi ruchami rąk żylastych, a w końcu tak się pięścią w piersi grzmotnął, że mu się aż okulary zsuwać zaczęły niebezpiecznie zjeżdżając; poprawił je

został bez skutków, bo drab mruząc wszyl się w tłum a ciżba powoli rozplywać się poczęła.

Dopiero Jacopo Nani zwrócił się do węgrynek z uśmiechem.

— To twoje szczęście chłopcze, rzekł, że się ta awantura stała przed sklepem moim, bobyś z niecało nie wyszedł, i alboby cię odarto, albo zbito. Gadajże mi teraz, z kąd wy tutaj?

— A! mój dobrodzieju! odparł węgrynek zmieszany: gęby nie otworzę, dopóki się nie dowiem, jakim sposobem wy po polsku umiecie? toż... to...

Szewc siadł powoli na stołku, ręce opuścił i z okularów spojrzal na chłopaka z uczuciem; w oczach wienionych powiekach kręciła mu się łza... głos miał też drżący.

— Hej! hej! zawołał—dziwno się wam zdało na szą mowę posłyszec z takiego rozbitego jak ja garnka; ależ i mnie, i mnie, com jój tyle lat nie słyszał. mało serce nie pękło...

Szewc otarł czoło i oczy...

— Toście wy też z Polski? spytał węgrynek.

— A jużć! odpowiedział szewc,—alem nie o dziś wywedrował, a wypchnęło mnie nieszczęście. Z którychże wy to stron?

— Od Poznania.

— A jam od Krakowa, moje dziecko... od tego starego dziaduszka naszego, nad którym Wawel n straży stoi, kędy mogily Wandy i Krakusa... jużć ja tu lat dwadzieścia na tych Włochach, i mowę zmienil, i wrosłem tu, i nawykłem, a gdy zasnę, to mi się śni Hejnał z maryackiej wieży i śpiewa w duszy... aż płaczę... Oj! nie daj Boże włóczyć się po obcych i cudze kąty wycierać!

Maciek stał i słuchał, i jemu to znowu jakby nem się zdawało... byłby się też zasluchał może nie wiedzieć dopóki, gdyby nie przypomniał, że pan od tołu powrócić może, i jego i klucza nie znaleźć.

Przyznał się tedy zaraz panu Jakóbowi, który kolka wzięwszy starą wytartą aksamitną, spłowiałą kurtkę, rzekł:

— Choćbyś i trafił do Malty, ja cię na Rivę przeprowadzę, aby znowu nie opadli te zbóje... A pilnuj ię mi chłopcze, i sam nie chodź, bo cię tu co złego potka.

Domawiał tych wyrazów szewe, gdy przez drzwi głębi wyjrzała kobieca główka. Węgrzynkowi się oczach zaćmiło, taka była piękna. Nic nie widział, jedno parę czarnych źrenic ogromnych, i śmiejące się iałemi zębami usta, ale te zębki go od razu za serce pochwyciły.

Szewe jak tylko spostrzegł ciekawą, tupnął nogą począł łajać po włosku.

— A nie pójdziesz ty mi precz! szatanie ty jakiś! czego to tu wyglądasz? a co tu ciekawego? Schodź ty mi się zaraz, a prędko, bo kulakiem napęczę.

Maćkowi serce mdlało, a wpatrzył się w nią i ona niego tak, że Jacopo nierychło potrafił przepędzić iebożatko.

— O mój dobrodzieju! krzyknął Maciek, gdy znikł: a cóż to za śliczne dziewczątko! a cóż to za mawana twarz!

Szewe milezał niby głuchy.

Niestety! była to córka jego Marietta, o którą ciąglem był i tak niepokoju. Przybyło mu kłopotu. Czuł, że to spotkanie bez kozery nie będzie.

— Co ty tam po kątach patrzysz? zawołał; co ci tam po dziewczętach, he? jeszcześ wása nie dostał; of zabieraj się ze mną.

— Ale proszę pana majstra, kto to taki? nalegał Maciek.

— Kto? odparł szewe, podnosząc na niego oczy: królowna neapolitańska... a teraz chodź!

I wyciągnął go na ulicę milezący, a doprowadzwszy do placu, chciał porzucić.

— Mójże zbaweo kochany! wstrzymując go i całując w ramię, rzekł Maciek: ja was nie puszcę, że byśmy się nie widzieli; to-ć i wam miło być musi swoich zobaczyć?

— Jeszcze my się spotkamy, chmurno odpowiedział szewe; ale ty mi na Mercerye się nie włócz, bo cię dyabli wezmą.

I odszedł. Maciek spuściwszy uszy po cichu, jak zwyty, wrócił do Malty. Szczyściem, że tu nie postrożono jego wycieczki, bo Konrad, poszedłszy do stołu, jeszcze był nazad nie wrócił.

A były powody ważne, dla których się tak opóźnił..

Ci sami goście, co dnia pierwszego zebrani byli w pokoju, gdy *gran ladrone* wprowadził eccelenzę, jedna im tylko nowa przybyła postać, nieobojętna zdaje się dla signorý Zenobii, chociaż ona go niby nie znała, a on na nią ani patrzył. Udawanie jednak tak było w obojgu widoczne, że tylko *cavaliere Gerardi* mógł się na nióm nie poznać. Przybysz był bardzo pięknym mężczyzną, lat zaledwie trzydziestu, strojnym wytwornie, i jak ze stroju wnosić było można, wielkim panem lub wielkim w odegrywaniu państwa artystą.

Zanaro po cichu szepnął Konradowi, iż dostojny gość jest Principe Alessandro di Ponte-Vecchio, krewny Papieża nieboszczyka, bogaty Rzymianin, jadący z ważną missyą na dwór cesarski, o czém wszakże najgłębsze milczenie zachować wypada.

Principe tym razem podsiadł Polaka i znalazł się po drugiej stronie signory Zenobii, która wciąż od niego głowę odwracając tego dnia, ze szczególną uprzejmością rozmawiała z cavalierem Gerardim. Za to przy Konradzie znalazła się Magdalenka Zanaro ze swym filuternym śmieszkiem, którym obdzielała doktora Niemca, Polaka, a rada była obdarzyć i księcia, ale ten patrzył dziwnie jakoś wciąż na sufit, choć sufit nie był złożony i malowany jak w pałacu dołów.

Zanaro też tego dnia z osobliwą pieczołowitością zajmował się cavalierem Gerardim i traktował go eccellenzą za każdą łyżką.

Signora Zanaro miała tego dnia minę poważną kobiety bardzo przyzwyczajonej, a zmuszonej wiedzieć o intrydze, której jéj domyślać się nie wypadało. Mówiła o rzeczach obojętnych, o osyebaniu Canal Grande, o Bucentaurze, o blizkiem święcie Bożego Ciała i jego wspaniałościach...

Principe di Ponte-Vecchio był zadumany i obojętny.

— Ledwie skończyli *brodo*, na którego pochwały wysilił się sam gospodarz, bo w istocie on sam tylko mógł je chwalić, Magdalenka pochyliła się ku Konradowi i szepnęła:

— Nie byliście na Lido?

— Ja! dotąd nie...

— Czekają was tam z rybą... zaczęła się śmiać — ciocia Anunziata...

Konrad się zarumienił.

— Kapitan Zeno! dodało dziewczę.

— Szczerzem im obowiązany.

— I nikt więcej! zawołała Magdzia.

— Al rzekł Konrad.

— Tak! tak! ktoś trzeci to się może na was gniewa.

— Na mnie? spytał Lippi: za co?

— Ja to tam tego nie wiem... szepnęła dziewczyna.

I zamilkli — a po chwili znowu Magdusia się ozwała:

— Widziałam śliczny różaniec...

— O! niepiękny, przerwał Konrad pomieszany...

— Jakże wicie, kiedyście wy go widzieć jeszcze nie mogli? odparła żywo Magdalenka, zaczynając się śmiać... Mylicie się, mylicie... to różaniec z koralami morskich i koralami przeznaczony dla kogoś; ale nie wiem dla kogo...

— Filut dziewczyna! pomyślał Konrad.

W téj chwili mimowolnie oczy zwróciwszy dostrzegł jak signora Zenobia, która bardzo żywą wiodła rozmowę z cavalierem Gerardim, ręką w tył zwróconą od księcia di Ponte-Vecchio, patrzącego zawsze na sufit, brała wciąż jéj nader zręcznie bilecik. Przypomniało mu to, że był w kraju intryg i zdrad niewieścich, i postanowił się mieć na baczności, ale to nie przeszkadzało nader ostrożnie po południu popłynąć na Lido.

Sądził, że tego obowiązku grzeczności względem kapitana Zenona dopełnić wypadało.

Magdusia, której oko manewr bilecikowy dostrzegło także, poczęła się bardzo śmiać, chwyciwszy chusteczkę do ust; ale śmiech złożyła na przypomnienie jakieś niewczesne.

— Spodziewam się, szepnęła sąsiadowi— że pan nie wydasz tajemnicy?

— A wy? odparł Konrad.

— Jaby to może zrobiła, gdyby... gdyby mi się to na co przydać mogło, szepnęła po cichu; ale muszę czekać dwa lata. Tak mówi ojciec i matka, mam dopiero czternaście... ale skończonych... więc coż mi to szkodzi!

I puste dziewczę popatrzała na Konrada, kładąc palec na ustach.

Zanaró gadatliwszy był jeszcze niż kiedykolwiek; dziwne wyplatał historye. Nie wiedzieć jak rozmowę wprowadził na kapitana Zenona.

Snadź dla tego, aby uwagę Polaka odwrócić od tej pary, która była na pozór dla siebie obojętna, jak w istocie blizka myślami i sereami. Oczywiście przygotowywało się coś tajemniczego, do czego służyła i serdeczność signory Zenobii dla cavaliera Gerardiego, i gadatliwość gospodarza, i przybrana powaga młodego księcia di Ponte-Vecchio.

Nie wiadomo, jak się to stało, ale ku końcowi obiadu książę w bardzo żywój i serdecznój był rozmowie z cavalierem, posłannikiem cesarskiego dworu. Signora Zenobia z dosyć kwaśną minką patrzyła na to. Komedia odegrywała się z prawdziwie włoskim do intrygi talentem.

Od *tavola rotonda* rozchodząc się goście, rozmaite potworzyli projekta. Cavaliere z księciem pojechali razem gondolą. Signorę Zenobię głowa bolała. Kon-

rad nie mówiąc nic nikomu, nie zaglądając nawet do mieszkania powierzonego straży Maćka, wysunął się na wybrzeże, skinął na gondoliera, i szepnął mu na ucho:—Lido.

Na Lido bywały zawsze najlepsze kąpielę, gondolier się nie zdziwił, a nikt więcej nie słyszał. Magdusia tylko filutka domyśliła się, i wyszpiegowawszy kierunek, w jakim posunęła się łódka, z okna plasnęła w dłonie. Konrad ani dostrzegł jój, ani uszu jego nie doszedł śmiechek w pół dziecinny.

Dzień był wiosenny, prześliczny, ciepły; lekki wiatr marszczył zaledwie wód powierzchnię, błyszczącą od pomarańczowych promieni zachodzącego słońca. Kanaly pełne były czarnych gondoli zwijających się na wszystkie strony; z dala dochodziły urywane śpiewy młodszych przewoźników, powietrze pełne woni, wesela, świeżości, życia. Oddychając niemi, wciągało się ochotę i siłę do życia, spokój i ufność jakąś, rozwianą po nad światem w tej chwili jego wiosennego rozkwitu.

Dziwnie też piękną, uroczą, jasną wydała się Wenecya Konradowi, w którego duszy jakby przypomnienie rodzinne praojcowskie odzywało się; czuł, że to wszystko gdzieś w przedświcie znał, widział i ukochał.

Po krótkiej przejażdżce, gondola przybiła do piaszczystego, pustego prawie wybrzeża na Lido... Wyglądało ono smutniej, dzieziej niż samo miasto; domki były stare, niskie, niepokaźne, ludności prawie nie widać, z po za dachów domowstw sterczały maszty łodzi drzemiących pod wyspą... Poobalane mury, ogródki, na których zieloność się wila bujna, gdzie niegdzie ucepiona górą winna latorośl przy drzwiach rosnąca,

obrazek Madonny wyglądający nad drzwiami, rozsełały nieco dość opuszczoną ławę piasku i morskich kamyków.

Nietrudno się było dopytać o domek kapitana Zenona, pierwszy przechodzień z wiosłem na ramieniu pokazał go Konradowi... Stał on w prawo nad samym morza brzegiem i snadź nie od dziś rozpoczął życie; kilka pokoleń lepilo tę budowę tém piękną właśnie, że niespodzianie przedstawiała linie, załomy, wyskoki, dające jęj niezmiernie malowniczą powierzchowność.—Dokoła opasywały ją wschodki, poczepiane słupki, galerye, winne gałęzie i rozpięta na jednej ze ścian cytryna, której pień stary żenił się z suchą latoroślą winną, i liście się mieszały razem. Z pośrodku gęstej zieleni, do której i bluszcz pasorzył się przymieszał, tu i owdzie wyglądało okno, wychylały się drzwi ciemne, przez które sięgnąć było można do głębi dziwacznie skleconego domowstwa. Gość przychodzący musiał się dobrze namyślać, kędy wniknąć do środka, kilkoro bowiem równouprawnionych drzwi z obrazkami Madonn i Świętych zdawały się go wyzywać zarówno, a nie głównych nie oznaczało. Byłby też może Konrad w niepewności pozostał, gdyby go u muru otaczającego ogródek nie spotkała miła niespodzianka... spostrzegł oslonioną kapeluszem słomkowym dobrze sobie znaną z Padre Antonio twarzyczkę Cazyty, która mu się uśmiechała wdzięcznie.

— A! przecieżeście sobie przypomnieli obietnicę waszą! zawołało dziewczę; ale przychodzicie właśnie, gdy ojca mojego nie ma w domu... Co za szkoda! jak będzie żałował! Szczęściem spodziewamy się go pewnie przed wieczorem, pojechał tylko do Scola di San-Rocco na radę, doczekacie się go pewnie... Dam

zieloność, ogródek, a obróciwszy się widać morze... nasze lazurowe morze... Tylko w zimie, gdy burza ryczy, domek się nasz trzęsie i fale biją o mury prawie, i noc całą słycać zagniewaną wodę mrużącą i rozbijającą się o wybrzeże, ale myśmy do tego przywykły... Ja usypiam wśród tego szumu spokojna, bo oko boże czuwa nad nami... Nie myślcie też — mówiła prawie nie ustawając — żebyśmy tu na Lido zawsze tak pustelnicze wiodły życie; kilka razy do roku mamy *fiera*, cała Wenecya zbiega się na Lido, przekupnie, garkuchnie, kuglarze, muzyka, tańce... o! i jest bardzo wesoło. — Ale nam dużo szkody w ogrodach narobią zawsze.

— Więc tu cały rok żyjecie? spytał Konrad.

— Ojca najczęściej nie ma w domu, odpowiedziało dziewczę: ojciec musi zarabiać na morzu ze statkiem, a gdyby i mógł spocząć, to już tak przywykł do téj włóczęgi po wodzie, żeby nie wytrzymał. Czasem gdy dłużej posiedzieć mu przyjdzie, znać już po nim, że się nudzi; a gdy odpływa, to choć mu ciężko się rozstać z nami, twarz jego zaraz promienieje inaczej... Naówczas, gdy żagle statku „Padre Antonio” znikną nam z oczu, zaczynamy się z ciotką modlić o jego powrót szczęśliwy i czekać, aż się nam znane jego żagle pokażą znowu... Czasem odwozi nas ojciec do Tryestu do krewnych, i tam czas jakiś przesiedzimy; ale zwykle ja, ciocia i stary sąsiad Pietro, którego opiece jesteśmy powierzone... pilnujemy domu... Ale nie myślcie, byśmy się nudziły: jeździmy do miasta na odpusty, na regaty, na muzykę, na plac Marka, mamy dużo znajomych.

— A! prawda, przerwał Konrad: wszak i rodzina

Zanara z Croce di Malta znajomą wam jest także a Magdalena jest przyjaciółką waszą.

— Dobre dziecko! odparła Cazità,—ale dziecko jeszcze; ja więcej niż o rok przecię jestem od nie starsza! — Wymówiła to z pewną dumą. — Zanaro wielki filut, dodała Anunziata. Nie powiadam żeby był zły lub nieuczciwy człowiek, ale bardzo przebiegły i ze słabości ludzkich nawykł korzystać.

Konrad wspomniawszy ranek, uśmiechnął się.

— Magdzia będzie kiedyś ładna, dodała Cazità nie prawdą?

— I pewnie nie ustąpi ojcu w przebiegłości, dodał Konrad; z oczu jej patrzy... większa nad wie dojrzalność.

— O! to prawda, potakiwała ciotka Anunziata; ale w gospodzie między obcymi niepodobna się jej być długo dzieckiem uchować.

I pomruczała coś niezrozumiale ciotka, ruszając ramionami.

— Cóż to szkodzi, że trzpiotowata, wesola i przebiegła? przerwała Cazità. Wszyscy nam ciągle mówią że jesteśmy przez mężczyzn oszukiwane; to lepij, się ma na baczności i gotuje do obrony.

— Czyż wszyscy mężczyźni—spytał Konrad—złą u was sławę mają?

— Ja nie wiem; przynajmniej naszego kraju nowie nie odznaczają się enotą wierności, i ciągle ma ciotka powtarza, ażeby się ich strzedz, bo wielcy oszuści.

— O! o! nietylko nasi, moja kochana, dodała ciotka: wszyscy oni jednacy z końca w koniec swata, i wszyscy czyhają tylko na zgubę naszą.

— Muszę się też ująć za pleć moją, odezwał się Konrad. Nie wiem jak tu w Wenecyi się dzieje, ale u nas w Polsce myśmy dobrymi mężami i stałymi wielbicielami. Nie słyhać u nas tych skarg i żalów na mężczyzn, więcej może na rodzaj niewieści.

— Oto słowo w słowo jak wszędzie, rzekła Anunziata. Kobiety na mężczyzn, mężczyźni narzekają na niewiasty, a słabsze my, zawsześmy pokrzywdzone.

— Konrad się uśmiechnął. W czasie, gdy ciotka sobie gderała, oczy młodych, niepamiętne przestrogi siwizny, grały scenę z odwiecznego miłości dramatu, prolog ów czarowny poznania, cichą rozmowę pierwszą bez słów a tak wyraźną. To ona, to on, spaszczali żrenice; to ona wybiegała niemi gdzieś w dal, udając obojętność, to on patrzył w stronę, nie chcąc być natrętnym, a potem powoli wracali do siebie, i usta się uśmiechały, i wejrzenia badały, i sprzeczały znowu, i godziły drżące a bojaźliwe.

— Wyście mnie obdarzyli kosztownym i pięknym upominkiem z waszego kraju, odparło dziewczę; ja nie mogę zostać dłużną, i choć ubogim datkiem muszę się wam wypłacić. Mam i ja—rzekła—rózaniec dla was, ale skromny, z konek naszych morskich, ubogi. Wszak macie siostrę? dodała rumieniając się.

— Tylko jedną siostrę, rzekł Konrad, jakby zrozumiał pytania znaczenie,—tylko siostrę jedną, ani matki, ani z kobiet nikogo; ale my Polacy mamy zwyczaj i mężczyźni modlić się na koronkach.

Ciotka Anunziata milezała. Cazità dobyteła swój rózaniec z morskich muszelek drobnych, i zawstydzona podała go Konradowi, który pochwycił jej rączkę, i mimo, że mu się wyrывała trochę, ucałował ją ustami gorącemi. Pocałunek ten pełny poszanowania, był

arazem tak pelen ognia, iż dziewczę sięś musiało, ak się nim poruszoném uczuło. Cała jój twarz obala się rumieńcem, ale oczy były wesołe, choć nie ak już śmiała jak przed chwilą.

Szczeniłem wśród téj chwili zakłopotania, głos powracającego z narady Bractwa Ś. Rocha kapitana Zenona dał się słyszeć na wschodkach. Rozradowane dziewczę podbiegło naprzeciw niemu.

— Ojcie! ojcie! zawołała: mamy gościa.

— Już wiem, rzekł kapitan.

— Jakim sposobem?

— Na drodze spotkałem Zanara, a Zanaro wie o wszystkiém, nawet dokąd plynie gondola jego gości, choć nikomu o sobie nie mówi... Witam was, rzekł, wstępując na próg,—witam! ale ciocia Anunziata nie dopisze nam z rybą dzisiaj.

— Jużemy się ułożyli, podchwyciła dziewczyna: że Polak nasz musi na rybę przybyć raz drugi, i to rano.

— Jużcięby się ryba znalazła, odpowiedziała ciotka; ale ani ladajakięj, ani ladajako dać nie mogę cudziomcowi, który może ją raz tylko w życiu jeść będzie. Cheiałabym, żeby smak jój powiózł z sobą do kraju, i całe życie go pamiętał.

— Nie potrzeba ryhy na to, żeby mi gościnność wasza nigdy z pamięci nie wyszła—odpowiedział Konrad ciocie, ale patrząc na siostrzenicę,—nie zapomina się obcemu przyjacielsko podanej dłoni, i tak milego jak wasze przyjęcia.

Cazità wejrzała smętnie na niego.

— A cóż z waszą dalszą podróżą? zapytał kapitan; macie-li już statek?

— O! nie, jeszcze, nawet ani pewności, że pojedę; wszyscy się uwzięli mnie straszyć.

— No, to już i ja dodam moją radę, rzekł Zeno. Wiem z najlepszego źródła o morowém powietrzu w Jaffie wybuchłém; pójdzie ono karawanami po całym Wschodzie. Nikt teraz nie popłynie z Cypru do Aleksandryi, ani do Tripolis. Potrzeba wędrówkę po bożną odłożyć na raz inny.

— Ale czyż to rzecz pewna? spytał Konrad.

— Tak pewna, że ja, com zamierzał znowu na Wschód płynąć, dalej niż do Cypru nie sięgnę, rzekł Zeno. Nie chcę ani ludzi tracić, ani sam na pewną niemal śmierć się narażać—i wy zostańcie w Wenecyi. Na Boże Ciało, karawana pielgrzymów nie wyruszy jak zwykle, bo odstraszy ich powietrze... Potém, już nie ma zwyczaju wybierać się do Ziemi Świętej, i nie ma tak dobrych zręczności; posiedzicie chyba do drugiej wiosny.

Konrad posmutniał, spuścił głowę.

— Sam jeszcze nie wiem co zrobię, rzekł; pojedę do Padwy, poszukam czy mi tu jacy choć dalecy krewni nie zostali, zobaczą choć ten dom, w którym się pradziad mój urodził i wychował, a potém...—spojrzał na Cazitę ukradkiem — zobaczymy! Trzeba też będzie i do domu powracać!

— Tak prędko? spytał Zeno: tak prędko? a po cóż było jechać? musicie przecię poznać *Venezia la Bella*, swoją dawną ojczyznę, a jeżeli zechcecie tylko obejść kościoły, podziwić się obrazom, przypatrzeć ludziom, pokłonić pięknościom, obejrzeć cuda... dużo na to czasu będzie potrzeba.

— O Wenecya! prędko przerwała Cazità: gdybyście weszli tylko na wieżę San Giorgio, albo Ś. Marka, gdzie tak wygodnie bez wschodów można tańcząc zabiedz, dopierobyście zobaczyli jaką rozległą jaką

audowna, ile kościołów, placów, a wszędzie pamiątki, ao krok osobliwości. Wszystko przecież obejrzyć musicie.

— Będę się starał, rzekł Konrad, — i nie zbywa mi na ciekawości, ale mi smutno, że się do Ziemi Świętej nie dostanę.

— E! życie długie! przerwał Zeno: nie teraz, to potem... Wyście młodzi, zresztą rok upływa szybko, szczególnie w Wenecyi i w waszym wieku... na przyszłą wiosnę o morze słyhać nie będzie. Tylko dałbym wam jedną dobrą radę... dodał kapitan, ale się zawałał.

— Proszę o nią, rzekł Konrad.

— Jeśli dłużej tu pobycie macie, zniżając głos dodał Zeno: czy koniecznie w gospodzie przebywać musicie? Zano jest zapewne wśród oberżystów dobry jeszcze człowiek, ale nikt od niego z nieopóźnioną nie wyszedł kieszenia. Poczciwy, ale filut. Nie chciałbym mu krzywdy czynić, pozbawiając tak dostojnego i pożądanego gościa, jednak wolę wam niż jemu uczynić przysługę.

— Znacież gdzie lepsze miejsce? zapytał Konrad....

— O! ja... nie, ale później, gdy się z miastem obeznacie, nad Canal Grande pełno domów pustych, a w domach rodzin zubożałych, znajdziecie łatwo do najęcia kątek i stół tanięj niż u poczciwego Zanara, który przywykł trochę ze skóry odzierać.

Konrad ścisnął za rękę kapitana, uśmiechając się...

— Dostrzegłem ja to już sam, szepnął, ale obcemu w miejscu nieznanem, trudno sobie dać rady...

— To się obeznacie, odparł kapitan, jakby się nag-

le pomarkował; zresztą niepilno to jeszcze... a Zano was nie puści łatwo...

Gdy ojciec to mówił, twarzyczka Cazyty to rumieniła się, to bladła: spodziewała się podobno innego końca rozmowy... ale ojciec surowo spoglądał na nią i nagle przerwał...

Ciotka Anunziata wyprowadziła Cazytę na jakąś naradę, zapewne względem ryby i zaproszenia Polka na śniadanie, aby już raz się go pozbyć, a Zeno dodał, obejrzwawszy się, gdy zostali sami:

— Nie chciałem tego mówić przy córce, ale Zano nie darmo zowią gondolerowie *il gran ladrone*; i to szczwany, a wyście młodzi; pełno u niego pięknych twarzy, gdy takiego jak wy majątnego gościa potrzeba przytrzymać... miejcie się na baczności. Nawet córki się popsuć nie obawia... stary wygł... ale... dość...

Weszła Cazyta z ciotką.

— Otożemy uradziły, zawołała, na przyszły piątek będzie doskonała ryba. Pietro weześnie ją zamówi u starego poczciwego rybaka... więc prosimy cała valiera na piątek przed południem.

— Tylko się proszę nie spóźnić, bo ryba zła będzie, zawołała ciotka Anunziata; a już ją sama muszę przyprowadzić, bo mi chodzi, aby była taka, jaką aniołowie tylko jedzą w niebie.

— Jeśli w niebie jedzą! rzekł uśmiechając się Zeno.

— A jużci! ofuknęła na to niedowiarstwo ciotka: spodziewam się, że muszą, jeśli gdzie, to tam być z postem i rybą!!

Pewna będąc, że obroniła religijnego dogmatu, cio-

a przybrała minę surową... Cazità uśmiechała się zwinnie, Zeno spuścił oczy.

Nasz gość spojrział przez okno; widział, że wieczór szybko nadchodził; jemu oddalić się wypadało, a tęskno, przykro było ten cichy kątek i tych pocziwych ludzi, i te oczka co mu tyle mówiły—opuścić.—Wziął za kołpaczek...

Cazità spojrzała, i dużo tam coś przez wejrzenie jej skromne weszło do jego serca. Nie było to dziś wo trzpiotowate, wesołe dziecko, które pierwszy raz takiem *brio* wyskoczyło na pokład okrętowy; jakąś mgłą zamyślenia zachodziły czarne jej źrenice, czoło powlokła zaduma, a choć usta się uśmiechały, to jakby tylko ze starego nalogu. Ledwie dosłyszane westchnienie z pod warg koralowych się wyrwało.

Konrad żegnał do piątku. Zeno wziąwszy swą donową czapkę czerwoną wenecką, odprowadzał do gondoli, a z okienka z pomiędzy zielonych liści cytryny i winnej latorośli twarzyczka na niego patrzyła. Cazitą, to się chowając, gdy się ojcowskiego wejrzenia spodziewała, to błyskając oczkami, gdy mogła go uniknąć, a spojrzeć jeszcze na piórko u kołpaczka...

— O! niegodziwy, rzekła sobie w duchu: niegodziwy! nie klęka, nie zaklina się, nie płacze, nie mówi, prawie nie patrzy, a czaruje mnie oczami! I tak po nim tęskno, jakby już w niebie Madonna nasze pierścionki pomieniała.

Konrad rzucił się w głąb gondoli na czarne poduszki i doświadczył po raz pierwszy jak w tej łódce marzyć dobrze kołysanemu falą, niesionemu wiosłami szybkimi.

Ani się spodział, gdy go wysadzili na Rivie, na

przeciw tej Croce di Malta, która razem ze swém otoczeniem po małym domku na Lido, wydała mu się niemal brudną, a nadto gwarliwą i nieznośną gospodą.

W progu stała śmiejąca się Magdalenka szpiegując powrotu, a Maciek zamysłony, z kluczami, oparty o uszak, oczekiwał także na pana, medytując nad swoją przygodą. Dziewczę z tego niemego Polaczka młokosa śmiało się i rade było z nim pofiglować, ale Maciek tym razem był poważny, jakby wrócił z cmentarza. Myślał o szewcu... a co gorsza o dyabelskich czarnych oczach tej królowy neapolitańskiej, którą widział na progu sklepiku u szewca.

— Co pan dasz, spytała Magdzia wracającego: jeśli zgodzę gdzie byłeś?

— Niewielka sztuka, odparł Konrad; gondolę widać z daleka, a panienka jesteś tyle grzeczną, że rozumiesz, iż będąc winien wizyte, oddać ją musiałem.

— *Poverino!* litując się rzekła Magdusia — biedaczek! musiał! prawda! Jak spehnienie tej powinności drogo kosztowało! nie prawdaż?

I poczęła się śmiać.

— Za co mi dokuczasz? spytał Konrad w dobrym humorze—ojcu się poskarżę.

— Znać, żeś nie Wenecyanin, dodało dziewczę figlarnie, bobyś nie skarżąc się nikomu, czternastoletniej dziewczynie dał naukę, ale teraz to już z tego nie będzie, bo ucieknę...

Uśmiechnęła się, wyciągając szyjkę ku niemu, i już jej nie było.

— Nie wieszysz temu, kto na jej białe ząbki wpadnie! rzekł do siebie Konrad.

Ale wtém zobaczył stojącego na pokucie Maćka,

posmutniałego widocznie, i spytał go po polsku, lekko zakręciwszy za ucho:

— Cóż ci chłopcze? czyś chory?

— A! gdybyć chory! proszę pana, toby to jeszcze nie, rzekł Maciek: człekby się wódki z pieprzem napił albo co, toby i przeszło; ale tu w tém mieścisku, to człek z rozumu zejdzie.

— No! co ci tam nowego?

— A cóż proszę jaśnie pana, tać to i ja miałem już awanturę!

— Ty? awanturę?

— Jużci się przed jaśnie panem taić nie będę; jeszcze mi się we łbie kręci.

— Cਾਲys wyszedł? spytał troskliwie Konrad.

— E! no, jeszczeć mi nie, tylko po głowie świdruje.

— Gadajże co to było?

Maciek wziął klucze, i prowadząc pana do mieszkania, tak począł:

— Jak jegomość poszli na obiad, przyznając się, że mnie skorciłał troszkę sobie wyjść na powietrze, zwłaszcza że pod oknami drab baba w bębenu była, a jak żyw nie widziałem takiej okrutnej kobiety i jeszcze z bębniem; tak ja myślę sobie: wyjdę ino na próg. Ale nimem się z tych przeklętych wschodów stoczył, już nie było kobiety ani bębna. Nudno mi się zrobiło, myślę sobie: pójdę przed Ś. Marka, Zdrowaškę zmówię, co mi ma być? Ta i poszło się... Popatrzałem na kościelisko, straszecznie bestya piękna, ino nie rozumiem dla czego na nim świnię namalowali, otoczywszy złotem?...

Konrad się począł śmiać.

— Ano, to tam fracha ta świnią, z przeproszeniem pańskim, ale proszę-no posłuchać co dalej... Stanąwszy ja przed kościołem, myślę sobie: gdyby człek trochę się po ziemi przeszedł, bo aż nogi pozakłękały, tylko się ustawicznie pływa a pływa... A co mi się ma stać, jak pójdę w uliczkę króciusko i nazad powrócę? Zegarzyno było, a figurki na niem tańcowały, gdyby w szopce; nacudowawszy się idę, ta idę, patrzę drab okrutny jakiś za mną. A co mi tam do niego? myślę: on idzie, ja idę, idziawa we dwóch, ta i po wszystkim... A no czegoś idąc bestya pryca, a ociera się blisko, widocznie szuka racyi. Trzeba jegomości wiedzieć, że ja mu temu chłopu daj Boże brodę do pasa dostać, tak wyrosło niepoczciwe jakieś zielsko... Ale, myślę ja sobie: żebyś ty był jak ta wieża, to ja cię się nie zlekne... Idę w uliczkę, a dziwuję się lachmanom i ciasnocie, bo co brudno to brudno. Kiedy ja sobie najspokojniej się gapię, ten mnie pod bok, i jak zacznie krzyżeć a lajać, a wydziwiać! Jezu Maryo! prawda, że rozumiał tylko jedno *Cuniglia*, ale jam tego do siebie nie brał tylko do kanałów, ale też go nie poszczędziłem, i jak pocznę sypać mu od kpów albo jeszcze lepszego, tak tylko co do bójkii nie przyszło... Ale drab noża dobył, a przy mnie i kozika nie było; myślę sobie: aby co złapać, to mu cisnę w chrapy... A tu jak się pocznę obdartusów ciżba, dzieci, bab, różnego luda cisnąć, tłok, tak ani się ruszyć. Widzę, że będzie źle, bo gromada na jednego, toć pewnie swój za swoim pociągnie, i już tylko patrzę, gdzieby się przyprzeć, aby z tyłu mnie nie wzięli, aż wylatuje mały szewczyzna, stary, w okularach ze sklepiku pod bokiem. Ino po-

patrzył, a kiedy nie schwył mnie i cisnął do kramu, a drzwi zatrzasnął. Pomiarkowałem, że tu już był bezpieczny... Dopierom też odetchnął... Widać Pan Bóg się ulitował, że mi tego starowinę zesłał... Stary, słyszę tylko, ode drzwi jak pocznie sam łajać, lud mu się zaraz ustąpił. Kiedy powrócił do izby, proszę jegomości, o mało na wznak nie padłem: wszak pó polsku do mnie zagadał!...

— Co pleciesz? krzyknął Konrad: sz ewc Włoch pó polsku?

— A toż to jest, proszę jegomości, że Włoch a nie Włoch, nie przymierzając jakby to sam pan co Polak, a nie Polak, tak i to, bo z Krakowa rodem.

— Czy ci się śni?

— Ale ba! kiedy mnie aż tu przyprowadził i dobrze nałajał, za com się sam z domu ważył... A com jeszcze u niego widział!... dodał ciszej.

— Cożeś ty tam zobaczył jeszcze? spytał Konrad.

— Ano, taką dziewczynę, z pozwoleniem pańskiem, że jak żyw jeszcze podobnej nie śniłem nawet... ino że to nie dziewczyna, a on powiada, że królowna neapolitańska.

— Zwaryował, rzekł poważnie, z politowaniem Konrad, przystępując do niego; zwaryował, albo się upił.

— Nie, proszę jegomości, odparł smutnie Maciek; jeśli to waryacya, to nie wiem, ino mi się nie zdaje... ale co wina tom nie tykał!

— Gdzież? co? jak?

Maciek począł na nowo.

— Co ja tu z tobą będę balakał! zawołał Konrad, biorąc kołpak: trafisz do szewca?

— A jakby nie! porwał się chłopak, choć pó noy.

— Prowadź! rzekł krótko Lipiński.

Nie tracąc chwili, wyszli z gospody. Węgrzynek biegł przodem, oglądając się na pana. Minęli wieżę i bramę, weszli do Merceryj, ale tu już trochę zmierzchało. Gdzie niegdzie błyszczały lampki zapalane pod obrazami Madonn. Maciek z daleka poznał na wschodkach siedzącego swego szewca, a po za nim o stopień wyżej przecudowną czarnobrewą Maryettę.

— Otoż i on, i królowna neapolitańska! krzyknął do pana.

Ale za ledwie ją mógł dojrzeć Konrad, szewca, który chłopaka poznał, skinął na córkę, aby uszła, i dziewczę musiało się skryć w głąb domowstwa, przez szparę tylko posyłając ku przybyszom wzrok ciekawy.

— Panie majstrze! krzyknął Maciek: oto i mój pan.

Szewca wstał, zdejmując czapeczkę.

— Przyszedłem wam sam podziękować za to, żeście mi chłopca nie dali stłuc na miazgę — alem z razu całej historyi mało wiary dawał.

Jakób skinął, aby weszli. Niespodzianie przystąpiwszy do drzwi, zetknął się z ciekawą Maryettą, która do drugich uciekła. Tymczasem goście weszli do sklepiku, gdzie już lampka tłała przed N. Panną i Ś. Antonim. Tu dopiero gdy za sobą zamknął od ulicy, do kolan się schylił pan Jakób przybyłemu, a czule i z serca. Od wielu lat stroju i twarzy swojej nie widział, nie słyszał mowy, na raz odzywało się w jego duszy co dawno miał za umarłe, i lży mu powoli ciekawoty z powiek, ale ich za okularami nie było szczęś-

ciem widać. Start fartuchem stołek i posadził na niego pana Konrada... Głosu mu brakło z razu na powitanie.

— Bóg wam zapłać, rzekł wreszcie, że ubogą dziurę moją chcieliście nawiedzić. Chłopiec nie skłamał, Polak jestem, ino dawno ze swojej się ziemi wyszło, a długo po obcych włóczyło, dużo biedy na jadło i biedzie jeść dało, aż tu wiatr przypędził na tę smrodliwą uliczkę, na stare lata; ale to mój dobrodzieju swoja już chata, po nieboszczce żonie, po której rój mi ino ten muru kawalek i córka została...

Szewe mówił i płakał, język mu się plątał z radości, że swoją mową się mógł odezwać, a co chwila za kolanem ścisnął Konrada.

Tymczasem Maciek stojąc w kącie, dopatrywał szpary we drzwiach, a w szparze czarnego oka, i tak był do niego pobożny, jakby się obawiał utracić jego wejrzenia. Odbywało się to w sekrecie: szewc był zajęty gościem.

Z szewca nietrudno było dobyć jego przygody, po długim odpoczynku język mu świerzbiał, jał więc opowiadać, i jak z Krakowa uciekał, i jak na Szlachtę się bawił, i jak potem podniemczawszy, do Wiednia się dostał, a koniec końców zawieruszył się aż do Wenecyi. W historyi téj w istocie wiele było biedy, trzęsień, i funków, ale coby najosobliwsza, że niepozorny szewc, na znalazłszy służbę u wdowy pani majstrowej Nani, naostatek ją poślubił, a ta mu kamieniczkę, prawdziwą tylko o dwóch oknach od ciasnej uliczki, zostawiła razem z córką. Od ożenienia swego, Nanim się narodził, i tak go tam już ludzie ochrztili, a zwłosem i przywykł do swojej budy, tak, że tu już czekał, ręką mu wybije ostatnia godzina...

Jedyną troską była córka Maryetta, i nadto piękna, i niezmiernie, jak ją nazywał, *ciekawka*.

— Toć to pewnie ta, rzekł ciszej Konrad, co mi ją Maciek nazwał królową neapolitańską.

— A cożem mu miał powiedzieć? odparł szewc: tak mi ją oczyma jadł, żem musiał go czémś odpędzić.

Nuż tedy rozpytywać, nuż w gawędę; a szlachcie jak się stęskni do swoich, czemu by i z szewcem pogawędzić nie miał? Dosyć, że tak poszło do nocy. Tylko że w Wenecyi zwłaszcza wiosną, nocy nie znają, rychlej we dnie zasną. Maciek przez szparę okna drzwi patrzył ciągle, mało nie ośleplł.

Powiedział też i szlachcie majstrowi, jak i po co przybył? co go tu sprowadziło? i jakie miał nadal zamiary?

Nani głową pokręcił.

— Do Ziemi Świętej ani myśleć, kiedy wam tu już prawią, że mór panuje, rzekł powoli; ale i tu wam trzeba ostrożnie, bo miasta nie znacie, a choć ja sam w niem jak swój już, ale straszniejszej jamy dla cudzoziemca nie ma, dodał, niż Wenecya. Świeci się to światło, a wesoło wygląda; mało kto jednak bez płaczu ztąd odjechał. Kobiety — wyjąwszy moją żonę nieboszczkę, a daj Boże, córkę — istne dyabły... młodemu człowiekowi chyba z zawiązanymi chodzić oczyma.

Konrad się uśmiechnął i westchnął razem.

— Gospodarza też z pod Krzyża Maltańskiego — mówił szewc — znam dobrze... a no! i o témby dużo gadać jeszcze. Zabić nie zabije, jak to się tu w tych Włoszech trafia często; okraść nie okradnie; ale z kieszonki wyłudzić i za poly różnemi sposoby w domu przytrzymać potrafi. Więc się jegomość strzeż, chcesz-li na czas i cały do domu powrócić, dodał szewc.

— No! a wy? toć pewnie też myślicie kiedyś na swoją ziemię wrócić także?

W milczeniu podniósł głowę Nani... Izy mu płynęły ciche po faldach wyżółkłej twarzy.

— Marzyło się to — rzekł — dawniej, niegdys, marzyło, z dnia na dzień odkładało... ale mój dobrodzieju postaw, postaw ino człowieka na jakiej chcesz ziemi to jak drzewo do niej przyrośnie, już go potem chyba wichur wyrwie z niej. Jeśli się zateskni, to się obraca jak słonecznik w tamtą stronę, z której wyszedł, ale oderwać się... nie ma sposobu... Mnie tu i dziecko, i ten kawałek muru przykuł; co jabym robił z tą dziewczyną, jakbym ją na suchy ład wyprowadził?... Onaby zmarniała, a ja z nią. I po co tam iść? ino groby... A ktoby tam człowieka poznał? Gdyby w zadusznym dzień ludzie wstawali, to jeszcze...

Spuścił głowę stary, okulary mu spadły, podniósł je i otarł milczący. Panu Konradowi zrobiło się też czegoś smutno; a że mu się różne rzeczy po głowie snuły, znalazł się na języku i kapitan Zeno.

— To wy zapewne znacie już tu całe miasto, od tylu lat mieszkając?

— Tak, prawie jak całe, bo człek — rzekł szewc — należy do bractwa, do cechu, do gminy, to się tam różni ludzie spotykają.

— A z innych wysp? spytał Konrad.

— Gdzie niegdzie jaki znajomy, odparł Nani; ale kogoż pytać chcecie?

— Tak, dla ciekawości, o kapitana Zenona.

— O tego, co ma ładną córkę! dom na Lido! nie znalazłbym go, odpowiedział szewc, ale koło jego domu zawsze się jarmark sadowi co rok, a ja mojej Maryetty byle jarmark i odpust nie utrzymam i na lat

cachu... Samój nie puszcze, muszę się z nią stary wlec, boby to przepadło między ludźmi, gdyby człek nie pilnował. Otoż jak znam i kapitana i Cazitę! Ej! ej! dodał — już tam wasze oko padło, ot i bieda!

— Nie posądzajcie, bo nie ma ani co, ani dla czego! zawołał Konrad; prosta to ciekawość, przybyłem tu na jego statku.

— I z córką, jakbym się patrzył, szepnął szewc: nie chybi...

Konrad się uśmiechnął; Nani patrzył z politowaniem jakimś.

— O! mily Boże! zawołał, toście wy przepadli...

— Nie bójcie się, nie bójcie, począł się bronić Konrad... nie się złego, uchowaj Boże, i nie stało i nie stanie... Cóż mówią o kapitanie Zenonie?

— To poczeiwy człowiek, rzekł jakby mimowoli Nani; nie nie mówią, bo złego nie mogą ludzie, a dobrego mówić nie lubią... Tylko to wiem jedno, dodał po chwili: że stara ciotka Anunziata ma krewniaka, wielkiego zawadyakę, który gdzieś mieszka na ładzie niedaleczko... i tego chce z Cazitą ożenić...

Konrad nie odpowiedział, ale mu się zrobiło jakoś przykro.

— A co mi tam do tego! zawołał: niech ich sobie żeni kiedy chce.

To mówiąc wstał.

— Bóg wam zapłać, rzekł, żeście mi chłopaka ratowali. Gdybyście co odemnie przyjąć chcieli...

Szewc skoczył jak oparzony.

— Stój! paneczku! stój, nie rzecz słowa, którémbyś mi popsuł radość widzenia Polaka. Choć chudo-pocholsko wyglądam, ale...

Uderzył się po boku...

— Jest tam cekinów para... Chcecie mi dowieść dobrej woli?

— A no i owszem, — o to chodzi, rzekł Konrad.

— Więc mi się dajcie odziać ino i nie powstydzcie się przyjąć moich zaprosin; wypijemy razem *fiasccone* dobrego wina, które ja tu znam pod Prokuratoriami u starego Castigliona? no, co?

— Zgoda! zawołał Lipiński, który choć staropolski szlachecie, na cudzej ziemi już się czuł bratem, choćby szewcowi Polakowi!

Inaczejby było może w Polsce, ale w Wenecyi...

Szewe pobiegł, a tak chyżo, że dopadłszy drzwi nim Maryetta od nich pierzchnęła, odkrył wielką jej zbrodnię: oczkowanie nieprzyzwoite z Maćkiem; był gniewny, ale popędziwszy dziewczynę, odłożył gderę na jutro, a sam się co rychlej przystroił...

Wyglądał tak na Wenecyanina, żeby go nikt w świecie nie poznał, iż się nad Rudawą gdzieś rodził, a włożył suknie od niedzieli, aksamitne, z guzami, i czapkę nową zwieszistą, i bóty nowe, aby ziomkowi wstydu nie zrobić...

Maćka zaraz z rozkazem pilnowania domu odprawił Konrad, a sam z majstrem pełnym poufalego uszanowania poszedł pod Prokuratorie. Znaleźli wiechę starego Castigliona, który im przy stolicku na placyku Ś. Marka naprzeciw swojego domu wystawił owo *fiasccone* wina...

Noc, bo już się było późno zrobiło, prześliczna, gwiazdzista, księżycowa, pół-przeźroczyta, orzeźwiająca, wywabiała z domów co było na placyk Ś. Marka. Roil się ludem jak nigdy we dnie; strojne kobiety, kawalerowie, podżyłe damy, duchowni wszelakiej barwy, mnóstwo cudzoziemców w strojach malowniczych

snulo się po marmurowych posadzkach placu, który na tę ciżbę wydawał się za mały.

Wszystko się rozbudzać zdawało dopiero do życia: kuglarze pokazywali sztuki, muzycy próbowali głosów, niewiasty o złocistych warkoczach wabiły oczyma, śmiechy, gwar, rozmowy, śpiewy rozlegały się dokoła, a Ś. Marek osrebrzony księżycowem światłem patrzył na swe dzieci staruszek z za kandelabrow, w których zwinęte dawnych posiadłości drzemały sztandary. Tu dopiero życie ludu weneckiego poznać było można, charakter jego, wesołość, przebiegłość, i enotę, i zepsucie. Bo też jednej i drugiej było zarówno.

Patrycyusze ocierali się o gmin, urzędnicy o niedarzy... wieczór, chłód i wesele na chwilę równały wszystkich. Nani był doskonałym tłumaczem dla cudzoziemca. Wiedział on historję niemal wszystkich zninowanych patrycyuszów, którzy po nocy jeszcze wyglądali na magnatów, a za którymi nie widać już było dawniej ciżby klientów; nazywał po imieniu tych, co niedawno wкупili się do złotej księgi za sowitą opłatą; pokazywał kobiety sławne z wdzięków i zalotów; opowiadał dziwne przygody młodych i starych; usta mu się nie zamykały, zwłaszcza gdy trochę je wino w żywszy ruch wprowadziło.

Konrad słuchał... Było to dla niego nowe i po trosze zastraszające, nie podobnego w kraju o uszy się jego nie obilo; dumał nad tym ludem tak jakoś inne, szumne i niebezpieczne życie wiodącym... Szewe paplał, ale mówiąc z po za okularów, rzucał oczyma na wsze strony tam i sam, i snadź coś dostrzegł, co uwagę jego zwrócić musiało, bo się parę razy wzrok jego pod ciemnymi galeriami Prokuratorji zatrzymał i poszedł, a śleził kogoś, i wracał niespokojny.

Konrad zajęty widokiem placyku i zabawy, nie uważał na to i nie zobaczył też signora Zanara, który z za kolumny ostrożnie palcem wyraźnie parę razy nań wskazał młodemu, słusznemu, przystojnemu mężczyźnie... Nieznajomy ten, płaszczem okryty, z kapeluszem na oczy nasuniętym, zdawał się uważnie wpatrywać w Polaka, i począł po chwili dokoła stoliczka, przy którym siedzieli, krażyć. Ale zobaczywszy widać, że Konrad nie był sam, usunął się w tłum i zniknął.

Nani widział wszystkie jego ruchy, choć za właściwe uznał udawać, że wcale nań nie patrzy; ale gdy po chwili nieznajomy przepadł... zapomniał o nim prawie...

Choć noc już była, nie chciało się odchodzić, tak wesoło tu było na placu Ś. Marka. Zmniejszył się wprawdzie tłum, powoli część jego na Piazzettę do gondoli na Mercerye i w małe uszła uliczki; zostało jednak pod Prokuratorem przy latarniach gwarzących par i gromadek dosyć i snujących się jeszcze postaci samotnych lub po kilka pozbieranych. Ale *fiat scilicet* skończono, Konrad postanowił odejść, pożegnał uprzejmego szewca, i skierował się ku Krzyżowi Maltańskiemu...

Nani powoli ciągnął ku swojej uliczce; niespokojny był prawdę rzekłszy, zawsze o Maryette, a tym razem ciężył mu jeszcze gniew niewygodny na sercu.

Ledwie kilka kroków postąpił ku kościołowi Ś. Marka Konrad, gdy w blasku księżycowych promieni niespodziane zatrzymało go zjawisko...

Ciocia Anunziata szła pod rękę z Cazitą; Cazita go poznała z daleka i prosto ciągnęła ku niemu... uśmiechnięta, wesoła... Ciotka zdawała się oburzoną tym zachowaniem, ale oprzeć mu się nie mogła. Mimo wysil-

ków widocznych i targania na bok, Cazita już rzuciła: *Buona sera!* w powietrze, Konrad je pochwycił, i rozmowa się poczęła. Na twarzy Anunziaty malował się gniew płomienisty, ale milcząco...

Poczęli przechadzać się razem...

— Nie prawdaż, że na całym świecie nie ma tak szczęśliwego i wesołego ludu? poczęła Cazita.

— A! śliczności! odparł Konrad zachwycony, nie umiając się już powstrzymać (włoskie na niego znowu działało powietrze). Ale mi się to wszystko dopiero teraz tak cudownym wydaje, gdy was tu zobaczył.

— O! kłamać niepięknie!

— Skłamałbym, mówiąc inaczej; grzeszyłbym, gdybym milczał.

— O! o! przerwała Anunziata: w waszym to kraju, jak widzę, umięją kobietom pochlebiać.

— Myślałaś pani, że nam serca pozamarzały?

— Nie, zawołała ciotka ale; myślałam, że się powolniej otwierają, i że więcej szanujecie i uczucia, i kobiety.

— Sroga nauka! rzekł Konrad trochę urażony — więc milezę.

Cazita spojrziała na niego, placąc mu wejrzeniem cioteczne połajanie.

— Nie gniewajcie się, szanowna pani, dodał gość grzecznie: czasem się słowo wyrwie jak ptak z klatki.

— Nie trzeba drzwiczek mu odmykać, to nie poleci, rzekła ciotka poważnie; a co szkody narobić może!!

Potrząsa głową.

— Ej! ej! pusta z was młodzież, nie tak to za naszych czasów bywało. Mój nieboszczyk, świeć Panie nad duszą jego, pięć lat patrzył na mnie, słowa się nie ważył powiedzieć.

— Szanowna pani, odparł Konrad: niewszycy mają tak dobrze zamknięte usta. Ale raczcie mi powiedzieć, przez te pięć lat czyście nie domyślali się nic? czyście go nie rozumieli tak dobrze, jak gdyby codzień wam jedno powtarzał?

Ciocia uderzyła go z lekka wachlarzem po rękę.

— Cichoż! psotniku jakiś! cicho! balamucie, gerszys mi dziecko.

Ale czy ją wspomnienie nieboszczyka rozczuliło, czy łagodność Konrada znalazła w jej sercu fórtkę do wyrozumiałości, dosyć, że nie zważała prawie, iż Cazità po cichu śmiejąc się szeptała coś do Polaka, a Polak jej żywo, gorąco odpowiadał.

Ciotka zamyślona patrzyła na niebo gwiazdziste, szukając w niem może swojego nieboszczyka.

Rozmowy tego rodzaju gdy spisywać przyjdzie, należałoby notować jakimiś osobnemi znakami, tak je trudno ująć w słowa, określić znaczenie, które im uśmiech, głos, ruch nadają. Zostają one nawet w pamięci dwojga ludzi, jak jakaś muzyka, której się pomni melodyę na zawsze, nie wiedząc z czego się składała.

Ciocia nareszcie przypomniała oczekującą u brzegu na Piaziecie gondolę, a Konrad odprowadził je aż do łódki. I gdy wiosła odniosły na kanał gondolę, zapatrzył się na posrebrzone wody, na świecąca ognikami jak gwiazdkami Giudecę.

Stał tak a patrzył, gdy go ktoś uderzył po ramieniu z lekka.

Odwrocił się—przed nim był płaszczem okryty, w kapeluszu na oczy nasuniętym, słusznego wzrostu mężczyzna, z postawy sądząc, młody... nieznajomy...

— Przepraszam, rzekł: pan mię nie znasz, ja zaled-

wie wiem, żeś cudzoziemiec i kto jesteś; ale jeśli to panu zbyt przykrości nie zrobi, prosiłbym go o chwilę rozmowy.

Konrad nie był ani podejrzliwym, ani tehorzem, jakkolwiek noc była późna, a plac się opróżniał, miał swą szablę u boku. Nie uląkł się więc bynajmniej dosyć podejrzanego zaproszenia.

— Służę panu, rzekł; ale mam ten zwyczaj, że lubię wiedzieć z kim mówię, i chcę być znanym temu, kto mnie zaczepi. Jestem szlachcie wenecki i szlachcie polski Konrad Lippi de Buccellis... do usług.

Skłonił się.

Nieznajomy zdjął kapelusz z głowy, i odkrył twarz piękną, młodą, mężką, ogorzałą, rysów szlacheckich...

— Ja także — odparł — imienia się swojego nie wstydzę, ani ukrywać lubię. Jestem Gabryel Antonio Sabrone; nie szlachcie, ale obywatel wenecki i posiadacz kawałka ziemi należącego do Rzptėj.

— Czemże służyć mogę szanownemu panu? zapytał Konrad.

— Rozmową tylko; przejdziemy się jeno chwilę po tym placyku, który świeżo przebiegałeś pan w tak miłym towarzystwie. Rozmowa nie potrwa długo; jam wieśniak i człek otwarty.

— Słucham, rzekł Konrad.

— Ciocia Anunziata—odezwał się Sabrone—jest moja krewną po dziadzie; signora Cazità daleką moją powinowatą. Los i dobre imię ostatniej, jak się łatwo domyślicie, wiele mnie obchodzi. Wyraziłem się dosyć jasno?

— Dla mnie zupełnie dostatecznie, odparł Konrad. Nie znam dobrze obyczajów waszego kraju, choć do

niego należą; ale w czymże mogłem losowi signoriny lub jej dobrej sławie zagrozić?

— Gdyby już groźnego co było, zawołał Sabrone—mówilibyśmy inaczej. We Włoszech, wy wiecie, lub domyślacie się, nietylko usta, w ostateczności i noże mówić umieją... Nic jeszcze nie grozi; ale... signore Corrandino—szerzerze... nie balamucicie wy mi kuzynki?

— Nic miałem i nie mam tej myśli, odparł Polak. W naszym kraju, w mojej przybraną, drugiej ojczyźnie, w Polsce, mężczyzna stara się poznać kobietę, jeśli mu się podoba, zbliża się do niej przyjęty poszanowaniem; jeśli ją pokocha, oświadcza się; jeśli kochanym jest, żeni się. My innych balamuctw nie znamy.

Wyrzekł to z pewną dumą i zapalem. Sabrone poprawił kapelusz.

— To co innego, rzekł; jesteście więc na jakim punkcie tej ciekawej historii polskiego kochania?

— W przedmowie, odpowiedział Konrad.

— A gdy się dzieło nie podoba, myślicie je porzucić? he?

— Signore Sabrone, zawołał Konrad: jak się u was żenią? z zawiązanymi oczyma?

— Słuchaj polski szlacheciu, kładąc mu rękę na ramieniu, odpowiedział Antonio: jam wieśniak i nie dowcipuję; powiem ci wszystko od razu... ja kocham Cazite, i chcę się z nią żenić.

— Dopowiedzże mi, rzekł Konrad: czy ona...?

— Ona! ona! szepnął ponuro Antonio: o toż nie wiem; ale ja sam będąc, mogę mieć nadzieję... Jestem młody, trochę piękniejszy od dyabła... i na Madonnę! dodał gwałtownie, ja ją kocham, ona mnie nie dziś, to jutro pokochać musi.

— Signore Sabrone, tej raeyi nie rozumiem, z przekąsem trochę rzekł Polak.

— A ja ją rozumiem tak dobrze, szybko dorzucił Wenecyania,—że jeśli mi się kolo niej płaćć będziecie...

— To co? spytał Konrad.

— Domyście się.

— Nie chcę się domyślać niczego, wy waszej czei uwłaczało. Sądze, że mnie wyzwieć i rękę... no! to się bić będziemy.

— Jak? na szable? na rapiry? na szpady? na pistolety? zapytał, szydząc Włoch.

— Jak zechcenie.

— A! nauczeź się wcześnie bić na noże, bo ja inaczej nie umiem, i walczyć nie będę. Signore Corrandino! tak! my się nie bijemy inaczej! Ręka obwija się płaszczem, w drugą bierze się nóż, i...

To mówiąc, z za pasa dobył żelazo, i przed oczyma Konrada błysnęła klinga krótkiego, ostrego sztyletu. Nie myśląc i nie zastanawiając się, Polak już miał w mgnieniu oka dłoń na szabli; sama mu ona wyskoczyła z pochwy i świsnęła ku górze.

— Stój! gorączko! rzekł, nóż chowając Sabrone: to była tylko lekcyca *coltellaty*. Schowaj szablę do pochwy, aby cię zbiry nie ujęły. Bić się dziś jeszcze nie będziemy, ale pamiętaj!... do zobaczenia!

To mówiąc, oddalił się tak szybko niktąc w galerii pałacu Dożów, od którego stali niedalekó, że gdy schowawszy żelazo do pochew Konrad się obejrzał, był już sam jeden, a wiatr od morza chłodnawy rozplamienioną twarz mu głaskał, jakby go chciał za niegrzeczność tego napastnika przeprosić.

Drżąc jeszcze podwójnem wrażeniem, rozmowy

z Cazitą i z signorem Sabronem, Konrad powoli skierował się ku Rivie i swój gospodarze.

Wrota jej niezbyt oddalone, pełne jakoś były ludźmi... pochodni, zgiełku... Widocznie niezwyčajnego coś się tam trafić musiało. Konrad sądził, że signor Zanaro przwi...ał pewnie najmniej jakiegoś udzielnego księcia

Ludzie... gali żwawo, głosy się rozlegały, pośpiech jakiś i niepokój był widoczny. Trochę przytomniejszy, byłby Konrad poznał, że tu nie chodziło o przyjęcie nieczyje, ale widocznie o przygodę nieszczęśliwą, bo z pośród zgiełku słychać było wyrzekania i przekleństwa, jęki i szlochy, krzyk gospodarza, płacz gospodyni, głośnie łajania i swary...

— Cóż to się tam stać takiego mogło? śpiesząc, pytał sam siebie Konrad.

Gdy się o kilka kroków do gospody zbliżył, mógł już rozemnać w pośrodku tłumu złożonego z całej niemal ludności domu, zwiększonej parkanem przechodniów od ulicy, kawalera Gerardego z najokropniejszym gniewem wybuchającego przeciwko panu Zanarowi, który z założonemi na piersiach rękami, cierpliwym, wspaniałomyślnym, wielkim majestatem spokoju, znosił krwawe miotane na niego obelgi... Po za nim stojąca żona, podparta w boki, gniewna, szarpała na sobie suknie, a Magdusia rada, że na coś przydać się może, czynnie walczyła z napastnikiem. Doktor Niemiec i Maciek należeli do spektatorów razem ze służbą i mieszkańcami gospody. Na uboczu stał błądy stronę kawalera trzymający widocznie principe Alessandro di Ponte-Vecchio, ale mało się mieszał do waśni.

Nie widać też było Signory Zenobii Boccatorra, przyszlęj śpiewaczki, *prima donna assoluta* cesarskich teatrów...

— Nie myśl stary szalbierzu, wołał kawaler Gerardi,—aby ei tym razem bezkarnie ujsć mogło... Wiedziałeś niezawodnie, mam dowody, żeś pomagał do ucieczki Zenobii z Polakiem... Złapiemy ich oboje... pomścimy się zniewagi cesarskiego posła, upomnimy się u Rzeczypospolitej... Natychmiast wysyłam skargę do doży, do rady dziesięciu, kuryera do Wiednia, szpiegów na wszystkie strony, dopędzimy, dostaniemy ją z pod ziemi...

I kawaler Gerardi tupał nogami, skakał w miejscu, łamiąc ręce.

— Wpan wiesz, że za signorę Zenobię zapłaciłem długów trzy tysiące talarów bitych, że dałem jej na ręce dwa tysiące cekinów na garderobę... a podróż... a moja powaga... Gdyby nie współnictwo wasze, nigdyby zdrajczyni nie mogła nawet pomyśleć o ucieczce! Ale to nie ujdzie bezkarnie! to nie przejdzie ci lekko, mospanie Zanaro! ani damnemu temu Polakowi, który tak dobrze grał rolę niewinnego i obojętnego!!

W chwili, gdy Gerardi mówił o Polaku, Konrad przebił się przez tłum i ukazał oczom wszystkich... Kawaler Gerardi poskoczył ku niemu zajadle z razu, ale widząc go spokojnym i zdziwionym tylko, obejrzał się w koło i wstrzymał.

— Gdzie jest signora Zenobia? zawołał nieco zmieszany do Konrada; pan musisz o tém wiedzieć.

— Ja sądzę, że panbyś to raczej wiedzieć o tém powinien, odparł Polak bardzo spokojnie.

Zanaro wzięwszy się za boki, począł serdecznie

się śmiać... Gerardi wybuchł nowym gniewem i przyskoczył do niego.

— Ty! ty mi odpowiesz za wszystkich!

Niektórzy z otaczających poczynali się śmiać także, co nadzwyczaj jątrzyło małego garbusa, niewiedzącego już co począć. Zwrócił się znowu do Polaka.

— Gdzie jest signora Zenobia?

— Bardzo mi przykro, że panu na to odpowiedzieć nie umiem; ale z jakiego powodu sądzisz pan, że ja o tém wiedzieć mogę lub powinienem?

— Wszystkie pozory są na pana! oddalenie się jego... tajemnicze poróżnienia!

— Moje? kiedy? z kim? spytał Konrad.

— Oszalał! wołała tymczasem gospodyni—oszalał! A czemuś kobiety nie umiał pilnować! ha! stary sopranista, którego za stróża dają pannom dojrzałym! Czemu swego obowiązku nie pełnisz jak należy, chodząc pod patynkiem swój belli?

— Ta kobieta mnie znieważa! krzyknął porywając się do szpady, której nie miał u boku Gerardi.

Magdusia powtórzyła jego ruch, szukając niby także szpady u swego boku, i stając w gotowości do pojedynku... Śmiech homeryczny rozległ się do koła.

Principe del Ponte-Vecchio, który mileżąco przypatrywał się téj scenie, widząc, że przyjaciel jego Gerardi o mało nie dostaje konwulsyj, ujął go za rękę powoli i odprowadził na bok, starając się uspokoić, szepejąc mu coś do ucha.

W istocie Gerardi usłuchał jego rady, i z wolna z nim razem wysunął się z téj kupy ludzi, widocznie bardzo dla niego nieprzyjaźnie usposobionój.

Zanaro stał jeszcze w komicznej swój postawie

obrażonego na honorze człowieka, z dumą znoszącego obelgę, która go dotknąć nie mogła... Magdusia szydziła, jejmość za ich dwoje się gniewała, słudzy żartowali i śmieli się.

— Na Boga, cóż się stało? czego chciał odemnie ten człowiek? zapytał Konrad; co to jest? co to znaczy?..

— Eccellenza! zawołał patetycznie oberżysta, to znaczy, że signor cavaliere Gerardi jest szalona palaka, i że ludzie zawsze są niewdzięczni, a sami będąc winni, grzech swój na cudze radzi zwalają barki... Signora Zenobia Boccatorra znikła; posądzano pana, żeś ją uprowadził, bo pana jednego brakło. Znikła nie tylko osobą swą, ale z garderoba, cekinami i całym mieniem, należącym po części pono do wystawca i szkatuły jego cesarskiej mości. Interes brzydki! ohydny, a do tego niebezpieczny. Lecz, że się to trafiło na terytoryum najjaśniejszej Rzeczypospolitej, nie idzie za tém, by cesarz wydał nam wojnę... Kawaler Gerardi sopranista, jak moja żona powiada dowcipnie, dodany za stróża, źle spełniał swe obowiązki; dał się Cerberem będąc, uwieść słodkim słówkom panienki, pozwalał jej samą jeździć, kędy się podobalo... Zaszły zapewne znajomości, i ktoś, co sopranem nie śpiewał nigdy, porwał jejmościankę i uwiózł... kędy? to wiedzą tylko gwiazdy przyświecające ich podróży.

To mówiąc, Zanaro chytrze się uśmiechał; znać było, że w téj ucieczce, która z tłumokami tak cicho się spełniła, i on udział mieć musiał potajemny, ale zapłacony, mileżał.

Najmniej Gerardi posądzal księcia di Ponte-Vecchio, a przecież... co znaczył bilecik przy stole?

Z drugiej strony, jakim sposobem, gdy Zenobia znikła, ów książę spokojny pozostał i towarzyszył jako pocieszyciel obżałowanemu kawalerowi?

Były to tajemnice weneckie, intrygom onych czasów i tego miejsca właściwe, których Kourad w prośocie ducha ani się nawet siłił odgadywać.

Posłano po farmaceutę i cyrulika, aby przerażonego kawalera uspokoił lekarstwami, a według metody włoskiej i krwi mu przedewszystkiē upuścił. Nikt tak starannie nie chodził około nieszczęśliwego, jak ów zący książę di Ponte-Vecchio, który sam go wyręczył w porożysłaniu depesz, kuryerów, doniesień i nie położył się spać, aż ujrzał nieco uspokojonego posła cesarskich teatrów, błogim snem po malēj dozie opium odpoczywającego.

Naówczas rzucono łłomoczek jego do gondoli. Zanaro odprowadził do brzegu; widziano, jak coś cħwał do kieszeni—a zręczni wiosłarze popędzili przez Canal Grande i mniejsze uliczki wodne w jakiś ciemny z nim zakątek.

Mówiono, że nazajutrz przez Padwę przejechało bardzo szczęśliwych młodych ludzi dwoje, których śmiechy wesołe słyħać było na staje od wiozącego ich weturyrna.

Ale przebudzenie kawalera Gerardego było nader smutne. Spał wprawdzie blisko do południa ciężkim snem zmorzony; lecz gdy oczy otworzył, pierwszą rzeczą, którą ujrzał, były depesze i listy powyprawiane, jak sądził, spokojnie na stole leżące. Służący, którego zawołał, domagając się swego przyjaciela księcia di Ponte-Vecchio, oznajmił mu, że ów książę jeszcze wczoraj wieczorem niewiadomo dokąd odplynął, list tylko zostawiwszy. Rzucił się na to jed-

no chęiwie Gerardi, ale jakże okrutnie zdziwić się musiał, czytając w liście:

„Najszanowniejszy Panie!

„Signora Zenobia Bocatorta i ja, składamy ci najpowinniejsze dzięki za wszelkie ułatwienia, jakie niezręcznością swą i łatwowiernością nastęrczyłeś nam do podróży. Zaopatrzeni szcħodrze w pieniądze, garderobę, potrzebne papiery, udajemy się razem spędzić wesoło kilka miesięcy czasu tam, gdzie nas najdluższa ręka wasza doścignąć nie potrafi.

„Uchybilbym sobie i Waszēj Ekscellencyi, gdybym zawdzięczając Jego zaufanie dla mnie, nie przyznał mu się, iż tytuł księcia nosilem tylko na scenie; w życiu zaś powszedniē byłem i jestem *primo inamorato*, chudym pacholkiem i szcħerym signory Zenobii wielbicielem, w chwilach, gdy innych wielbiceli nie miewa.

„Racz wasza Ekscellencya przyjąć od nas obojga zapewnienie szcħerēj wdzięczności i wysokiego szacunku, z jakim i t. d.

Paolo Gaetani,

pospolicie zwany

Povera Canaglia,
artysta dramatyczny.“

Po przeczytaniu tego listu, musiano raz jeszcze wezwać cyrulika, aby kawalerowi miskę krwi popsutēj upuścił. Panowało bowiem naówczas we Włoszech i trwa poniekąd do dziś dnia przekonanie, iż wszystko złe z człowieka z krwią odchodzi.

Zanaro, którego zupełna niewinność ku wieczorowi była dowiedziona, przebaczywszy winy poryweze-

mu kawalerowi, pilnie strzegł jego łoża. Oderwał się jednak od niego na chwilę piątego dnia, aby odwiedzić nieco smutnego Konrada, który zamyślony chodził po swym pokoju, pogładając kiedy niekiedy na stojącego w kącie z nosem spuszczonego biednego Maćka.

Wszedł, mimo olbrzymiego ciężaru, jaki na sobie dźwigał, na paluszkach, drzwi zamknął po cichu, jakby były watomane, odchrząknął miękko i łagodnie, aby nie nastraszyć, a gdy wzrok Konrada padł nań, znalazł na twarzy wyraz ujmującej słodyczy i łagodności.

— Mógłbyś zapytać o zdrowie? rzekł z melodyjną intonacją gospodarz. Wasza ekscellencya wydajesz mi się zadumanym, smętnym! nie mógłbym spytać o pobudki téj posepności, na którą, spodziewam się, wesola nie zasłużyła Wenecya?

Konrad popatrzał nań długo, a przez ciąg tego wpatrywania się, Zanaro starał się wydawać aksamitnym, aby wzrok gościa spłynął po nim, jak najmiłsze zostawiając wrażenie.

— Nie spodziewam się, rzekł Zanaro, rękę kładąc na sercu, śpiewnym głosem, szukającym drogi do duszy, że zdołam na wasze zaufanie zasłużyć, najszlachetniejszy panie; ale gdybyś mi chciał otworzyć głab serca twojego, jeżeli się nie mylę zranionego, możeby biedny Zanaro znalazł jakie na utrapienie lekarstwo?

— Zkądże wnosicie, że mam utrapienie? spytał Konrad.

— Oblicze waszój ekscellencyi, nieprzywykłe do tajenia uczuć, które wewnątrz się zakradły, zdradza niepokój. Gdybym śmiał odgadywać jako człowiek

doświadczony, a wziął na wagę wiek wasz, gotówbym się domyślić nawet, iż niepokój przyczyną jest ładna twarzyczka kobieca. — A co, *non è vero?*

Konrad się uśmiechnął poważnie.

— Kochany panie Zanaro, rzekł: wy w swoim kraju przywykliście do łatwych i płochych miłości; my tylko do poważnego kochania raz w życiu!

— Tém-ci gorzej, odparł Zanaro: co u nas jest chorobą lekką, u was grozi śmiercią. Tém-ci gorzej; potrzeba prędkiego i skutecznego ratunku.

— Ale ja nie jestem wcale zakochany, mówił dalej Konrad.

— Suchotnicy także, wedle opinii powszechnój, nie czują się nigdy dogorywającymi, na godzinę nawet przed zgonem.

— Ponieważ chcecie mi radzić, a ludzi znacie dobrze, radźcie signor Zanaro.

Gospodarz w tył założywszy ręce, dyskretnie na palcach się zbliżył, nastawiając ucha.

— Płynąc do Wenecyi na statku „Padre Antonio,” rzekł Konrad, poznałem w istocie piękną i zajmującą córkę kapitana Zenona.

— Cazität! anielską Cazität! kręcąc głową, rzekł zasmucony widocznie gospodarz.

— Zaproszony byłem zaraz do nich na Lido; a że ryba, którą mnie uczęstować cheiano, nie nadeszła, mam drugie na dziś zaprosiny. Widzieliśmy się raz jeszcze i mówiliśmy z sobą na placu Św. Marka. Oto wszystkie grzechy moje. Signora Cazität podobała mi się bardzo; ale my Polacy nie zwykliśmy, nawet gdy kobieta serce nam porwie, zdawać się jój na łaskę. Jesteśmy żołnierze, walczymy do końca.

— Z kobietą nawet? spytał zdumiony gospodarz.

— Nie, z sercem własnym, rzekł Konrad. Signora Cazità podobała mi się, powtarzam, ale to młodzieńcze uczucie, to kwiat, z którego może nie będzie owocu.

Na te słowa signor Zanaro ręką sobie usta zataił i począł nie wiedzieć czego prychać. Konrad poważny nie zważał na ten śmiech niewczesny.

— Wyznaję, mówił dalej: że bliżej i lepiej chciałbym poznać córkę kapitana... Tymczasem dowiaduję się, że ciotka jej chce ją wydać za jakiegoś krewniaka, który mi już grozi żelazem, jeśli się do niej zbliżyć będę starał. Krewny ten...

— Zowie się Sabrone! dorzucił Zanaro.

— Z jednej strony—rzekł Konrad—jestem z tego narodu, który niebezpieczeństwa przynęca się, nie odstrasza; z drugiej, nie chciałbym nikomu czynić przykrości i wstrętu, sam nie będąc pewien, czy to, co mi się wydaje miłością, nie jest płochym głowy zawrotem... Cóż mi radzicie signor Zanaro?

— Żelazo jest ostre, rzekł gospodarz, oczy niewieście przeszywające, ale miłość jest potrzebą i darem bożym. Z tym Sabronem mogłyby zajść układy pewne, w najgorszym razie; Sabrone nie jest nieśmiertelny...

Gospodarz chrząknął, dając do zrozumienia to, czego Polak przypuścić nawet nie umiał.

— Mam więc pojechać na rybę, czy pięknym listem się wymówić?

— Piękny list jest czasem wyborym posłem i doskonałym w sprawach serca pośrednikiem, ale... oczy

mówią lepiej jeszcze... Sabrone może o téj wyprawie nie wiedzieć.

— Zdaje mi się, że o niéj wie.

— Delikatna materya? spytał Zanaro; co mówi serce?

— Iść, bądź co bądź!.. zawołał Konrad. Toż samo wi mi szabla u boku, a tém szlachetnym żelazem, nany panie Zanaro, mogę ściąć najmocniej na rynku siedzącą głowę... Dalo ono tego dowody, i dłoń, co je trzyma, także.

Zanaro kwaśno na szablę brzęczącą w pochwach szerokich popatrzał.

— A znacie wy prawa nasze? zapytał.

— Nie dobędę szabli nieprzymuszony do tego, ale jej nie schowam suchéj. Pijaczka jest, i lubi krew ludzką.

— Smutne przypuszczenia, nedorzeczne, rzekłbym... odezwał się Zanaro,—gdybyś nie wasza excellencya występował z niemi. Do tego nie przyjdzie. Na rybę pojedziesz wasza wielmożność i ości nie połkniesz, spodziewam się. Znam Sabronego, wiem gdzie staje, gdy do miasta przyplywa, uprzedzę go, lub zatrzymam.

— Nie, powiedz mu wpan tylko, dodał Konrad—że krzywdy jego krewnej ani myślą, ani wejrzeniem nie uczynię, a sobie też wyrządzić jej nie dam. Odstręczać jej od niego nie chcę, niech lepiej płynie ze mną. Poszléjcie po niego.

Zanaro spojrział na szlachetnego młodzieńca, skłonił się i wyszedł powoli.

W pół godziny wszedł wiodąc z sobą owego przystojnego nieznanego, co się jako Sabrone na placu Ś. Marka Konradowi przedstawił.

Lippi podał mu rękę, którą tamten przyjął i ścisnął z razu się wzdragając.

— Signor Sabrone, rzekł: jestem zaproszony na Lido; nie chcąc być niegrzecznym, popłynę, ale przesyłam ci was na świadka rozmowy i współzawodnika. Jedźmy razem.

Włoch był pochmurny.

— Po co? zawołał; nowi ludzie w oczach kożamskich zawsze są lepsi od starych... Nie chcąc nawet, bym cię mucił, ja będę z wami.

— Za jakże płochą ją macie!!

— Masz słuszość, winienem, jedźmy! odparł z powagą Sabrone; służę wam...

Nie mówiąc do siebie słowa, siedli razem do gondol. Dzień był wietrzny, woda nawet w zacisznym kanałku dąsała się i rzucała, łódka z nią skakała srebrnymi obrzucana bryzgi; ale słońce świeciło jasno i wesoło... Konrad muskał węża, Sabrone patrzył na niego i chwycił się za pas co chwila, źle mu jakoś było.

Dobili nareszcie do brzegu, przyciągniono łódki i wyskoczyli oba.

Z okna domku dawno już widać było główkę zloczystymi włosami okrytą i parę czarnych oczu na anielskiej błyszczącej twarzy, która zdawała się to kryć, to znów ciekawie wyglądać. Dwie białe małe dłonie podniosły się do góry... i uderzyły jedna o drugą... znikła...

W progu domku powitał ich kapitan w wykwintnym stroju marynarza włoskiego owych czasów, z dosyć wesołym obliczem; ale gdy poznał zbliżającego się Sabronego, zasępił się nieco... Podali sobie ręce w milezieniu... Ciocia Anunziata z patelnią w dłoni wyjrzała oknem, zobaczyła niespodzianego gościa

i głośno śpiewać poczęła. Cazyty długo nie było widać.

W najparadniejszym pokoju nakryto już było do stołu, stały opłatane flaszki, śliczne murańskie kielichy z kręconego dwukolorowego szkła, talerze fajansowe malowane, dzban z wodą, cytryny i *frutti di mare*.

Kapitan zawołał Cazytę, która wyszła poważna, ale widocznie nadąsana, spojrzała na kuzynka pogardliwie, na Polaka gniewnie, na ojca podejrzliwie, główką im skinęła i przy oknie usiadła, nie znalazłszy nic lepszego do czynienia, patrząc sobie na dalekie morze.

Sabrone najodważniejszy, pierwszy się do niej przybliżył.

— Cóż to pięknej kuzynce? spytał: czy nie moja przytomność taką chmurą pokrywa jej twarzyczkę?

— Moglibyście być prorokiem, tak doskonale zgadujecie, szepnęła mu po eichu.

— Ale ja mam wymówkę... Signor Polacco, którego przypadkiem poznałem na placu Ś. Marka właśnie tego samego wieczoru, gdyście go tak miłą upoił rozmową, sam mnie zaprosił na rybę cioci Anunziaty...

— A! a! ozwało się dziewczę. Moglibyście wyśmienicie pójść na rybę do kuchni... Ciocię Anunziatę tam zastaniecie nad patelnią, będzie wam lepiej rada może niż ja...

Posłuszny, choć z gniewem na twarzy, Sabrone skłonił się i poszedł do kuchni, wprost do cioci Anunziaty.

Z kuchni daleko rozedził się i zapach smażenia

ny i głos stariej poczciwej kobiety, która chciała nócic, tak była w dobrym humorze.

W progę spotkała swojego ulubieńca śmiechem i dygiem.

— Antonio! jakież ty rozumny! czy cię patron twój natchnął, żeś dziś właśnie tu przybył?

— Nie, ten Polak przywiózł mnie z sobą.

— Polak? spytała: znasz go?

— Zanaro mi go pokazał, trochęśmy już pogadali z sobą... dodał, uśmiechając się znacząco — znalazł on bezpieczniejszemu mieć mnie za świadka...

Ciotka zamyśliła się, pokręciła głową.

— No, to się wiem czego obawiać! rzekła, — a byłam w strachu! przynaję ci się. Jakże cię przyjęła? spytała po chwili.

— Jak zawsze... jak psa... ciciu Anunziato.

— Najlepszy znak! rzekła stara.

— I odprawiła mnie precz do kuchni.

— Nie lepszego! zawołała Anunziata: tyś młokos. Z tych małżeństw łatwych a gorących zawsze prawie biedy i nieszczęścia; trwale przywiązanie rodzi się tylko z kłótni. Ja mojemu nieboszczykowi takem nieraz podrapała twarz... do krwi... a wierzaj mi, pokochałam go potem szczerze...

Sabrone się uśmiechał... Ciotka Anunziata krzątała się około ryby.

— Chciałem Polaka nastraszyć nożem, rzekł cicho; ale to mi się nie udało. Zanaro powiada, że mu się zwierzył, iż jednem cięciem swój szabli był ścina.

— Polacy są bitnym narodem, to pewna, rzekła ciotka; alem nigdy nie słyszała, żeby głowy tak łatwo chrześcianon z karków strącali... zawsze potrze-

ba z nim być ostrożnie... i nie tak się znowu obawiać jego miłości. To błyskawica, co przeleci po niebie, nie zapali i zagaśnie... Dziecku się podobała nowa twarz... niech się przypatrzy, a dostrzeże, że mój Sabrone i najładniejszy, i lepiej na męża stworzony...

To mówiąc, nieco zatłuszczoną dłonią uderzyła go po twarzy.

— Przypominasz mi czasem nieboszczyka! westehnęła. Ale idźże precz, bo rybę przysmałę. Święta Panno di Salute! umarłabym ze wstydu, gdyby mi się nie udało. Idźże precz Sabrone!

Antonio zniknął za drzwiami.

Na górze po odejściu jego zaświeciła pogoda, uśmiechnęły się czarne oczęta. Kapitan nie przeszkadzał rozmowie; poszedł był po pewne stare wino, od którego sam miał klucze, bo je przed laty szczęściu przywiózł był sam z Grecyi i strzegł jak oka w głowie...

— Po coście mi przywieźli Antonia? spytała dziewczę.

— Ażeby nie myślał, że się boję z tém, co tu czynię i mówię.

— Ależ powinniście wiedzieć lub domyślić się, że ja go nie lubię.

— Za co, signoro Cazito?

— Za co? ale za to, że mi go ciotka Anunziata stręczy na męża, a ja męża chcę sobie wybierać sama.... Mówiłam to ojeu dawno, a ojciec dobrze wie o tém. Przytém Sabrone mnie kochać nie może; ja wiem tylko czemu...

Zamilkła, patrząc na morze...

— Powiedz mi pan, spytała po chwili, zmieniając rozmowę: to morze, które wyrzuca śliczne owe kam-

ki, zlociste, z jakich się składa mój różaniec, jestże tak piękne jak nasze?

— Jam je raz widział tylko, odparł Konrad: nie mamy go jak wy wiele; w jedném miejscu brzegu wykrawek. Mówią, że dawniej mieliśmy drugiego brzeżek... Nasze morza nie mają lazurowych barw ani błysków Adryatyku, bo u nas inaczej świeci słońce i inne niebiosa zasklepione są nad ziemią.

— A powiedzisz mi, bom bardzo ciekawa, jak wygląda ta ziemia wasza? Prawdaż to, jak mówi ciocia Anunziata, że straszne okrywają ją puszcze, że pełno w nich potworów dzikich, że lasy szumią straszliwie, a w lecie, gdy niemi wiatr kołysze, trąc gałęzie, zapalają się, i naówczas pożarem płoną przestrzenie niezmierne, a ludzie i zwierzęta giną w płomieniach?

Konrad się uśmiechnął smutnie.

— Nigdy o niczem podobnym nie słyszałam, rzekł. Palą się puszcze, ale w nich człowiek, ani zwierzę żaden jeszcze życia nie stracił. Te lasy nasze są piękne, zielone, wonne, a wyglądają jak szerokie ogrody szmaragdowemi poprzerzynane łąkami. Płyną śródkiem srebrne rzeki i mruczą cicho, lata ptactwo wesołe z piosnką na dziobku. Cicho na tamtej ziemi... a z lasów wyszedłszy, to złoty łan pszenicy lub żyta jak fala się kołysze. Niejeden raz żyła nim i Wenecya głodna.

— A macie piękne kwiaty? spytało dziewczę.

— Cudowne! wonne, śliczne, mówił Konrad. Prawda, że na kilka miesięcy w roku natura u nas zasypia, śnieg okrywa wszystko jakby białym rąbkiem jednym. Naówczas zamiast liści, drzewa się stroją w brylantowe perły zamarzlą wody, rzeki

okrywa lód zielonawy, ptactwo odlatuje, zwierzę zasypia w norach; człowiek tylko czuwa, czekając wiosny. Ale jakże cudna ta wiosna, gdy jej godzina wybije! Jednego poranka wiatr ściga z niebios szarą chmurę zimową, odsłaniają się błękity, słońce z nich wygląda obmyte, dyamentowe, śniegi w potokach zbiegają z gór i uciekają oplókując rdze zimy, myjąc łąki, rzeźwiąc ziemię uspioną; tryska z niej w oczach zieloność, kwiaty otwierają się nie czekając na liście, tak im śpieszno wiosnę powitać; drzewa pękają, powietrze wonią życia się przejmując i ptactwo stadami powraca. Nie zna wiosny, kto jej u nas na północy nie widział; u was ona przychodzi leniwo, i już jest zeschła i gorąca, gdy ledwie świtać poczyna. Nasza płaci nam miesiące ciemności i ciszy.

— Ale możecież wy żyć, nie słysząc szumu fal, nie patrząc na morze? spytało dziewczę. Nie tęsknicież wy do tego głosu bożego, który mówi do nas przez rozhukane wody i ciszę morską?

— U nas odzywa się On szumem lasów i półszelstem, niebem i chmurami, a drobne rzeczułki nasze gwarzą też małym głosem o tym samym wielkim Bogu!

Cazita spojrziała na lśniące fale Adryatyku.

— Zdaje się, rzekła po cichu, że jabyśmy nigdzie indziej niż tu żyć i oddychać nie mogła. Czyż upaja i rzeźwi tyle powietrze wasze, jak te słonych wód wyziewy?

— Mnie, odpowiedział Konrad, patrząc na nią — nawet tu tęskno do naszych borów i zapachu świeżej roli, podobnego do woni jakby świeżo upieczonego chleba... Ja tu nawet śnię o zieleni, o kwiatkach i o szerokich polach...

— Tak! to musi tak być! odparła smutnie dziewczyna: każdemu to najmilsze, co tuliło jego dzieciństwo, co rozkołysało młodość. Nie! nie! jabym umarła gdyby mi Adryatyk pacierz swój wiekniasty do serca podawać przestał.

I spuściła głowę mileżąca.

— A wy? zapytała po chwili.

— Ja nie wiem, rzekł Konrad.

— Wyście przecię dziecko Wenecyi i brzegów tego morza.

— Tak, ale wykołysane w lasach i u cichych brzegów jeziora... a wiercie mi, szumu i plasku jego wód słodkich nigdy uszy nie zapomną.

— Nawet tu nad Adryatykiem? pytało dziewczę.

— Nawet tu, przy oczach twoich, odparł żywo, zrywając się z siedzenia Konrad, bo mu stanął w pamięci nagle jego dwór stary, wizerunek ojca i matki, gdakanie zegaru, co im policzył godziny życia, i szum drzew ogrodowych, i dźwięk kaplicznego dzwonka, i chrapliwy a serdeczny głos starego Dalifura, i szepkanie nawet podwórzowego przyjaciela domu, który poważnie swej straży powierzone państwo całą noc obchodził, warezając a niekiedy nawołując.

Gdy błyskiem przeleciało mu to wspomnienie po głowie, a potem obejrzał się dokoła i zobaczył twarz dziewczęcia promienną, sine morze, gałąź winną w oknie, a kapitana z butelką i kluczami w rękach, ciotkę Anunziatę z półmiskiem ryby wchodzącą tryumfalnie, i Antoniego Sabronego, który jój towarzyszył— zdało mu się, że marzy we śnie.

Dwa te światy tak były różne, tak od siebie dalekie, tak mu się zdały nieprzejeđnanemi i nie pogodo-

nemi, że nawet wejrzenie czarnych oczu Cazity nie spoiło ich z sobą.

Lza stoczyła się z pod meźkiój jego powieki... Wszyscy ją dojrzeli, bo nie krył się z tą świętą rosą serca.

— Co ci tę lżę wycisnęło? spytał Zeno.

— Wspomnienie mojej ziemi, rzekł Konrad.

Długie nastąpiło milczenie. Cazita patrzyła w niego jak w tęczę; jeszcze jak żywa, nie widziała nigdy płaczącego mężczyzny, sama nie wiedziała, czemu serce jój bilo, i nie umiała sobie wytłómaczyć, dla czego z tą lżą wydał się jój silniejszym, większym, prawie świętym. Wszystka płocha zalotność uleciała na tój lże gdzieś daleko; stała się nagle poważną i zamyśloną. Sabrone, ciocia, wszyscy prócz kapitana Zenona wydali się jój karłami przy tym człowieku, co się zapłakać nie wstydził, co kochać umiał... martwą ziemię aż do żywej lży.

— Ciotko Anunziato, szepnął jój na ucho Sabrone: albo ja mu *cottellatę* sprawię, albo mi on leć utnie, bo Cazitę mi pochwycił... spojrzcie na nią...

W istocie, oczy dziewczęcia wpatrzone w niego jak w obraz cudowny, ogniem niezwyceżonym paliły... Sabrone uczuł dreszcz przechodzący mu po ciele...

— Cicho! zawołała Anunziata: nie bądź głupi! Wszystkie młodych dziewcząt oczy tak są mówiące jak i te. Giulia nie ma domku na Lido, ale ma dobry kawał ziemi około Belluna i winnice, i zakopanego coś grosza, a ja cię z nią tak pewne ożenie, jak że żyję... i będziesz szczęśliwy... Cazita krwi chrześciańskiej niewartę, jeśli się na tobie poznać nie umiała.

Gdy tak szepcza, kapitan nalał wina i wywił zdro-

wie gościa. Sabrone kieliszek pełny postawił przed sobą gniewny i tknąć go nie chciał; okiem wyzywającym zmierzył Konrada. On mu się uśmiechnął tylko, pokój dziwny miał w duszy...

— Antonio! szepnęła ciotka trącając go łokciem: wypij głupcze, lub się pogniewamy; pogorszasz sprawę.

Posłuszny Sabrone chwycił szkło, połknął napój, ale zarazem w białych zębach zgniół cienki wyrób murański...

To zgrzytnięcie obudziło uwagę kapitana.

— O! o! psujesz mnie kieliszki a sobie zęby, rzekł śmiejąc się. Nie tak ogniście, kuzynku Sabrone...

Cazità na niego spojrzała i zarumieniła się.

— A czémże teraz moje wypijesz zdrowie? zaapytała...

— Niewiele dbacie pewnie, czy ja je wypiję, odparł chmurno Antonio...

— Owszem, bardzo.

Anunziata trąciła go łokciem...

— Pij, czém chcesz.

Antonio poszedł po rozum do głowy, oczyma szukał dokoła, nie wiedział czém się wyratować.

— Signore Antonio, śmiejąc się zawołał Polak: u nas często piją kobiet zdrowie, ale my go też kielichami nie pijamy, jest zwyczaj inny...

— Czémże? spytała Cazità.

— Nie będziecie się gniewali? i pozwolicie mi je tak spełnić jak u nas, jeśli odkryję tajemnicę? spytał Konrad.

— Cóż to być może takiego?

Kapitan nachylał niespokojny...

— Pani, rzekł Konrad, nie obrażaj się obcym zwyczajem... u nas, zdejmują kobiecie trzewik z nóżki ten za kielich nam służy.

Kobiety krzyknęły zawstydzone... Antonio mrużąc, kapitan się śmiał dobrodusznie.

— Po starszeństwie, rzekł: ciociu Anunziata dawaj trzewik, wychylimy. Cazità śmiać się także zaczęła niezmiernie.

— Pierwszy co wychyli trzewik cioci, będzie naturalnie winowajca Antonio.

Antonio cały pokraśniał. Myśl wychylenia dosyć sporego i dobrze zachodzonego trzewika cioci Anunziaty, mimo przywiązania do niej, wcale mu się nie śmiechała... Cazità plaskała w rączki.

— Ciocin! wołała: dawaj nam swój trzewik.

Stara prawie się już gniewać poczynała, ale kapitan pogodził wszystkich, skoczywszy do szafy i niósąc z niej kubek srebrny stary, który za zdrowie kobiet napelnił i podał kuzynowi.

— Spróbuj-no na nim zębów, rzekł; a zobaczymy, czy ei pryśnie w nich jak pierwszy...

Rozweselili się jakoś twarze, zgodniej uderzyły serca, i weselsza dalej szła skromna uczta po większej części z ryb i jarzyn złożona. Rozmowa zwróciła się ku Wenecyi, jej wspomnieniom, potem z Antonim przeleciała na ład stały... Konrad i Cazità najchętniej się do niej przyczyniali: ona była zadumana, jakby już z siebie zrobiła ofiarę; on spokojny, jakby tą lżą wielki ciężar z serca mu spłynął.

Antonio posępny siedział podparłszy się lokami, a niekiedy z pod czarnej brwi błysnął białem oka zapaleczywie to na Cazitę oglądając, to na Konrada.

Ciotka Anunziata właśnie wychodziła po drzwi do kuchni półmisek, nie chcąc nikomu powierzyć urzędzenia ostatecznego swój smażeniny, gdy Sabrone porwał się pod pozorem, że jój chce dopomóc i nią zbiegł do kuchenki.

— Nie! zawołał: ja tego nie wytrzymam; ten człowiek i ta kobieta w oczy bezwstydnie szydzą na mnie; ja się muszę na nich pomścić, ciociu Anunziate!

— Głupiś, kochany Sabrone! zemsta twoja poprowadzić cię może, co najdalej pod pałac Dożów, do czerwonego słupa. Pluń na głupią dziewczynę; daj ci Giulję... Giulia nie jest tak delikatna, ale jój z oczu patrzy, że gdy pokocha, da życie za swego kochanka i męża.

— Ale i ta może mnie nie zechce? rzekł smutno Antonio.

Ciocia uderzyła go po ramieniu.

— Nie masz chyba oczu; tałam przed tobą, chcąc ci dać Cazitę, ale Giulia szaleje dla ciebie.

Antonio zapłonął cały, porwał rękę ciotki.

— Doprawdy! A! więc się pomszczę na tój wzgardliwej dziewczynie, jutro się oświadczę, zapłacę ci zechcą, a ślub będzie w niedzielę, i was poproszę. Cazitą pozna co straciła...

Ciotka kręciła głową.

— Nidosyć na tém, zawołał Antonio: ja nie mam tym nieuleknionym Polaku także zemsty jakiego szukać muszę, ja mu nie przebaczę... On bałamutnie dziewczę, ale się z nióm pewnie ożenić nie może, potrzeba go wpędzić...

Anunziata spojrziała.

— Czy to będzie zemsta? spytała.

— Godna Wenecyanina... tamten się bierze na słachetność wielką, o toż i my potrafimy się odegrać. Pokręcił węża, ale ryba się przypalać zaczęła, ciotka nie chcąc go słuchać, pobiegła do swój pacjenta z krzykiem lając kuzynka, że jój przeszkadza. Sabrone nie czekając reszty, bo wiedział z doświadczenia jak niebezpiecznie jest kobietom przeszkadzać w wielkich zajęciach uroczystych dni życia; powoli nadumany powrócił na górę.

Srebrny kubek na pół opróżniony stał przed nim, kapitan zachęcał do wypicia.

— Wypiłbym, rzekł Antonio, — gdyby tak jakieś dobre trafiło się zdrowie.

— Naprzykład?...

— Szukam właśnie, mówił z wolna Sabrone: zdrowie kuzynki Cazity piję codzień, nawet wodę do ust przytknąwszy, bo mi jój piękne oczy z myśli nie wychodzą; wasze panie kapitanie także dla mnie nie nowość; waszego gościa zdrowia ani choroby pić nie mam powodu, za nadto znam go mało; a ciociu Anunziate już wychyliłem...

— Wypij pan zdrowie przyszlęj narzeczonej swojej, uśmiechając się rzekła Cazitą; a ja i my wszyscy wychylimy je z chęcią.

— A! zawołał Antonio do wchodzącej właśnie ciotki z półmiskiem w rękę: słyszycie co tu się święci? Cazitą chce pić zdrowie méj narzeczonej! Nie dość, że tą narzeczoną sama być nie życzy, — przebac kapitanie Zeno, dodał, wiecie, żem się ze staraniem nie tał, — ale żartuje sobie jeszcze z odepchniętego biedaka!

Antonio uśmiechał się szydersko, mrugał ku ciotce.

— Czy ręczycie?

Zrozumiawszy o co idzie, stara dała głowę i potakujący.

— No, więc dobrze, podchwycił Sabrone: wujemy zdrowie narzeczonej mojej pięknej Julii... a zarazem twego narzeczonego, kuzynko Cazito, a krzywdy nie było? he?

— Wiecie, że ja go nie mam.

— A! i ja przed chwilą narzeczonej nie miałam a znalazłem przecię i nie cofnę słowa; poszukajcie i wy też narzeczonego, aby się nie wstydzić.

Cazita zapłonęła jak granat na to zuchwałe wzywianie; obrażona była, ale spuściła oczy czarne w których kręciła się łza, i milczała.

Wtém Konrad wstał, wziął za rękę kapitana Zeno i rzekł głośno:

— Kapitanie, signorino Cazita, przyjmujecie mnie za narzeczonego?

Cichość jakby anioł przeleciał, panowała chwila. Cazita oczy podniosła łzawie na Konrada. Zeno był smutny, ale ścisnął dłoń jego i nie przeciwił się. Konradowi głos zadrżał; czuł, że stawil w tej chwili los całego życia na głowę dziewczęcia, ale zarazem że to było nieuchronném.

Cazita milczała jeszcze, Konrad przyklęknął.

— Przyjmujecie mnie?

Podala mu rękę patrząc na ojca... Zeno milcząco także głowę pochylił.

— Kuzynie Sabrone, pijże zdrowie narzeczonego Cazity! zawołał Konrad.

— I niech Bóg błogosławił niech Bóg błogosławił dezwał się głos od progu, w którym niespodzianie pokazał się stary Kapucyn. Ale dajcież i mnie kielicha, dodał wesoło.

To niespodziewane oświadczenie, przyjęcie, błogosławieństwo nawet przebywające tak w porę, wszystkich jakoś przestraszyło. Stało się to nie wiedzieć jakim sposobem, i przed chwilą nikt o tém nie myślał, niktby tego nie przypuszczał. Konrad dziwił się swęj odwadze, Cazita swojej śmiałości, ojciec wewnętrznemu głosowi, który mu podyktował zgodę, Antonio sam nie pojmował, jak tego dokazał, i chmurny był z tej zemsty, którą szczęście dwojga ludzi zapewnił. Ciotka stała osłupiała, a ryba stygła.

Kapucyn jeden wychyliwszy kielich, pobłogosławiwszy narzeczonych, nie tracił czasu i wziął się do ryby.

Nikomiu się też jeść już nie chciało.

Konrad drżąc, zdjął kosztowny pierścień matki z palca, i zbliżył się do zapalonego dziewczęcia.

— Pani moja, rzekł poważnie: ten pierścień zaręczał dziada mojego i ojca, matka nosiła go do śmierci, przekazała mi go umierając. Niechaj on nas zaręczy w imię tych cnot domowych, których był świadkiem. Ojcie Serafinie! pobłogosławcie raz jeszcze.

Cazita zdjęła też obrączkę z palca.

— Jest to skromny pierścionek matki mój także, rzekła,—tęj, po której dotąd ojciec mój płacze. Na progu nowego życia mieniamy wspomnienia rodziców.

To mówiąc, oddala mu obrączkę i poszła rzucić się w ramiona ojcu, który płakać począł. Serafin mruzczał modlitwę. Antonio poglądał z kąta, ręce złożwszy na piersiach.

— A! gdybym była wiedziała, na co tę rybę smażyć, szepnęła ciotka Anunziata,—i co ten głupi Antonio zrobi... wolałabym ją była przypalić.

Późno w noc Konrad sam jeden w gondoli rozmyślając, wracał do Maltańskiego Krzyża. Był szczęśliwy, a jednak niepokój jakiś serce mu przygniał. Wspomnienia kraju, domu, lzy Cazyty wylane na samo przypuszczenie opuszczenia Wenecyi, troskami go poily o przyszłość. Spędził błogosławionych kilka godzin życia, mówił z nią poufale, chodzili długo razem z sobą nad brzegiem morza, i nikt im teraz nie broił długiej sam na sam rozmowy. Cazyta przyznała mu się, że go kochała z każdą godziną więcej; on jój, że od pierwszego wejrzenia poczuł się niewolnikiem... ale ilekroć chcieli mówić o dalszej przyszłości, zamierały im słowa na ustach. On nie pojmował życia, tylko na swojej ziemi; ona nie rozumiała szczęścia, tylko u brzegów Adryatyku. Kapitan Zeno słuchać nawet nie chciał o tém, by mu jedyną, ukochaną jego córkę pochwyć miano, i uwieźć gdzieś za góry, w północne chmury i śniegi.

Konrad nie wiedział co uczyni; nakoniec pomyślał „Co Bóg sam począł, niech kończy.”

I zatopił się w marzeniach o śliczném dziewczęciu, które zapowiedziało, że na niego oczekiwać będzie, i że razem dzień spędzą cały.

Nieznajomi sobie prawie a narzeczeni, tyle do mówienia mieli.

Naostatek łódka przybiła do brzegu. Kruczkiem przytrzymał ją stojący na kamieniach żebrak, i rękę suchą po datek wyciągnął. Konrad rzucił mu srebrną monetę całą, i polecił do gospody.

W progu stał Zanaro ciekawy i niespokojny; ale ujrawszy go z dobrą miną, poweselał.

— *Eccellenza!* bawiliście długo; wieczór być musiał wesoły?

- Pówinszujecie mi, gospodarzu.
- A cóż się stało?
- Jestem zaręczony z piękną córką kapitana.
- O! a Antonio?
- Zaręczył się z ideałem jakimś, którego imię tylko dosłyszałem.
- Niepodobna!
- Tak jest.
- *Cosa stupenda! Eccellenza!* Zaręczony! Byćże to może?

I Zanaro udając szczęśliwość wielką, widocznie niezupełnie rad był wiadomości; powieść dla niego jakoś się za prędko i za nagle skończyła. Pojąć nie mógł, jak się obeszło bez intryg, przeszkód, bitew, wykradania, do którego miał dopomagać, i za które spodziewał się, że mu zapłaci, bo plan był już osnuł stosowny.

— *Cosa stupenda!* powtarzał kwaśno, przemyślając już na prędko, jakby na nowo szyki pomieszać, wodę zamącić i wędkę na ryby zapuścić.

Ale tymczasem wymowném powinszowaniem, w którym gwiazdy, słońce, księżyc, Św. Antoni Padewski i Jupiter zarazem, bogowie i anioły mieszały się w najpoufalszym stosunku, odprowadził go aż do drzwi mieszkania, śpiesząc wnet z nowiną niepomyślną do żony i córki.

Konrad wszedł, i pobożne chłopię upadło na kolana, aby się przed podróżnym obrazem Częstochowskiej Matki pomodlić.

Był to stary, na blasze złoconej malowany obrazek, z jednej strony Chrystusa na krzyżu, z drugiej Matkę Bożką wystawiający, który nie opuszczał nigdy jego ojca: był z nim w boju na piersiach, zgiął

się od kuli, od której go ocalił, a teraz słuchał modlitwy pierwszej narzeczonego, strwożonego szczęściem swoim.

Nie wiedział sam, jak długo trwało to nabożeństwo, gdy kilkakrotne westchnienie, w którym poznał głos Maćka, obudziło go nareszcie.

Wstał raźniej na nogi i obrócił się do chłopaka, który za progiem pokoju przechadzał się z założonemi na piersiach rękoma, widocznie smutny i jakby na kogoś oczekując. Zaledwie ujrzał swego pana wolnym, począł odehrząkiwać, dając znać, że ma coś do powiedzenia.

— No, a co ci tam Maćku? zawsze tak źle w tej Wenecyi?

— I czegożby miało być źle? odparł Węgrzynek, ono to dobrze, ale człek sobie różnie myśli.

— O czémże, Maćku?

— A o czémżeby jaśnie panie, gdyby nie o swę biedzic?

— No! o jakiejże?

— Człek zwyczajnie sierota; ta przemyśla różnie, co z sobą dalej będzie robił?

— I ty więc myślisz już o przyszłości?

— A czemużby nie, proszę pana?

I stęknął, widocznie nierad, że rozmowa jakis obrot brała nie po myśli jego.

— Gdybyś ty mi, mój kochany, powiedział od razu czego chcesz, a nie wybierał się jak czajka za morze?

— Proszę jaśnie pana, schwycił się Maciek: ja bym se chciał do rzemiosła jakiego.

— Ty? do rzemiosła? gdzież? co? dla czego?

— Anoby człek chleb miał zawždy w swoich ręku.

Popatrzał na niego długo Konrad, pokręcił węża, coś mu się to wydało podejrzanem.

— Bałamucisz, rzekł; co do ciebie przystąpiło?

— Ale proszę jaśnie pana, coby miało przystąpić? ino człekby się rad ratował.

— Alboż ci źle?

— A nie! uchowaj Boże!

— Czegoż stan chcesz zmieniać?

Maciek zamilkł, tylko obyczajem prostych ludzi po głowie się raz i drugi podrapał, jakby sam na siebie się gniewając, i znów srodze wzdychać począł.

— Gdybyś gadał po ludzku, tobym cię może w końcu zrozumiał, rzekł Konrad.

Maciek schylił mu się do kolan.

— To ja jegomości kochanemu wszystko powiem. Dalipan oszalałem za tą niegodziwą czarnobrewą szewcówną, bo to nie jest, jako żywo, żadna królowa ani królowna neapolitańska.

Konrad się rozśmiał; chłopiec nabrał ducha i odwagi.

— Dalipan oszalałem, mówił po cichu i jakby zawstydzony: bo proszę pana, gadać z nią nawet nie umiem; ale kiedy człowieka oczyma tak przewierci na wylot, do kości, że potem oszaleć trzeba! Niech tylko stanie, uśmiechnie się i weźmie temi oczyma cisnąć w duszę, tak i rozum się traci; choćby święty był, toby do dna piekiel zaprowadziła.

— A po cóż chodzisz pod te oczy? he?

— Otoż to, proszę jaśnie pana, w tém sztuka, że od pierwszego razu, gdyby wędka, jak chwyciła, tak już i pokoju nie mam. Człowiek się boryka, opiera, a musi iść i tego utrapienia szukać. Już ja wiem, że z tego cało nie wyjdę... Myślę sobie: przystanę do

szewca; niech się dzieje wola boża... to ją przecię wysłuchę. Tak wczoraj rozmyśliwszy się, poszedłem do niego. E! z razu mię przyjął mało nie pociągaczem, ale jakim go zaczął reflektować: żem terminować gotów u niego, że będę mu służył jake za Rachelę, byleby mi córkę choć obiecał przyrzec, tak się starowina rozdobruchał i powiedział, że byle pozwolenie pańskie, weźmie mnie na próbę do roboty, a potem... e! potem! ino żebym się do domu dostał, to już ja pewien swojego... nie wykurzy mnie on niezem.

— Byleś tylko ty sam nie uciek! dodał Konrad.

I chciał robić uwagi chłopakowi, że zbyt pośpiesznie się rwał, nie znając dziewczyny, do żeniaczki; ale mu na myśl przyszło, że i sam lepszy nie był.

— Młody bardzo jesteś, rzekł powoli,—ale masz, lub powinieneś mieć swój rozum. Ja ci w drodze nie stanę... uważaj jak lepij. Jeśli stary zechce cię wziąć na naukę, próbuj szczęścia... nie uda się, znajdziesz u mnie zawsze przytułek i chleba kawałek. Niech Bóg błogosławi... Ja cię w niewoli trzymać nie myślę... Ale patrz,—dodał po chwili—żebyś tój swój prędkości nie żałował potem. Czy też nie zatęsknisz po kraju, po naszój wiosce, po jeziorze, do ludu swego, do krewnych?

Maciek się zamyślił.

— Kiedy to proszę jaśnie panie i w Biblii stoi napisano, że człek rzuci wszystko, a pójdzie dziewczyną... bo takie na wiek wieków boże przykazanie.

Konrad zaczął się śmiać bardzo z tego osobliwszego wykładu Pisma Świętego, ale nie nie odpowiedział. Wtém z za drzwi ukazała się twarz szewca w swię-

tecznym ubraniu, który ujrzawszy Maćka, trochę się zafrasował.

— A, signor Nani... jakże mi się niewacie?

Maciek podbiegł pocałować rękę starego, który dośyć go przyjął kwaśno.

— Przychodzę się tylko dowiedzieć co u was słyhać, wielmożny panie? spytał stary; jak to tam idzie?

— O tём potem! zawołał Konrad; ale ja tu coś nowego się dowiaduję: wszak to waszmościna córka zbałamuciła mojego chłopca?

— A! uchowaj Boże, ofuknął się szewe: całe przeciwnie, chłopiec jegomości obalamucił mi córkę... przychodzę się skarżyć.

— Sprawy tój podobno obaj nie rozsądzimy, rzekł Konrad; bo zdaje mi się, że tam równe winy z obu stron, a skutek jeden, że Maciek oszalał, i do terminu się bierze. Nie chcę mu przeszkadzać wcale; lecz zważ kochany majstrze, że to siarka nie chłopiec, a wasze rzemiosło siedzące; cóż to z niego będzie za robotnik?

— Już to proszę wielmożnego pana—odpowiedział szewe poprawiając okularów,—ja mogę za to ręczyć, że jak się dostanie w moje ręce i na naukę do mnie, to mu tę siarczystość precz wyżenę, i będzie taki spokojny i miękki jak zechęć.

Maciek się wszakże nie uląkł już nawet groźby, wzduchał tylko, jakby mówił w duszy: „Patrz kobieto, co ja cierpię dla ciebie!“

Klepnął go po ramieniu majster.

— Ty do mnie na służbę; a żeby dystrakcyi w domu nie było, Maryetta natychmiast do Werony do eiotki pojedzie, która jest fórtyanką u panien Franciszkanek. Zamkną ją na ten czas pod klauzurę...

Maciek znacznie z humoru spadł.

— E! proszę jegomości, rzekł: a długoż to tego ma być?

— Dopóki z terminu nie wyjdiesz.

— Naprzykład?

— Różnie! rok, dwa, trzy...

Chłopiec zaczął głową kręcić.

— Widzisz Maćku, odparł Konrad: ciekaw jesteś Pisma Świętego, przypomnijże sobie ile lat za Rachele...

— A! niech go tam i z Rachelą...

— To inaczej nie ma być, zawołał majster—i nie będzie! jak twoja wola! Myślałeś, że cię od razu jak kota... z pozwoleniem, do sadła puszcze... O! o! nie głupim! Nie zrobiłbym ja cię szewcem i za lat dzie sięć, gdybyś przy Maryecie terminował...

Maciek zamilkł.

— A cóż będzie? spytał Konrad.

— Co ma być, proszę jaśnie pana.. czy to dwa lata długa rzecz? to furknie jak skowronek, to ieb i nie ma, kiedy wisieć to wisieć... słowo się rzekło...

Sklonił się do nóg Konrowi, a zawahawszy się, padł całując je.

— Tyś mi był ojcem, rzekł płacząc — pobłogosław, już inaczej być nie może...

Patrząc na tę scenę, szewczyśko otarł okulary i rzekł w duchu: „Musi to być dobre chłopię, więc wola boża...”

— Panie majstrze, oddaję go swam i proszę, bądźcie mu rodzicem łaskawym.

— Nie bójcie się, zawołał Nani, dając poufnie znak głową: nie stanie mu się krzywd, ale nowicyat szewcki odbyć musi, to darmo...

Po krótkiej rozmowie urywaniej i niezbyt wesołej, Nani wyszedł, zapowiadając chłopcu, żeby pana nie opuszczał, dopóki on będzie w Wenecyi, a do Maryetty się zbyt często nie wykradał, bo za wezasa pociągacza spróbować może.

Gdy się za nim drzwi zamknęły, Maciek w smutnej postawie, kiwając głową, stanął przed panem.

— E! panie! zawołał: po co to my do Wenecyi jechali? ano i mnie, i pana... ponoś... schwyciło półdyabłą weneckie !!!

W Robninie stary Pukalo jedną wydeptaną ścieżką chodził dwór przewietrzać, gdański zegar nakręcać o swęj godzinie, i po pokojach przesuując się milczący Zdrowaśki za nieboszczyków odmawiał, ale mu się tęskniło po paniezu!

— Gdzie się to on tam teraz obraca? mawiał z razu do Murzynowskięj. Żeby go tam aniołowie stróże prowadzili i nim się opiekowali!... Co to młode, gorące, trochę dziwaczne, a ten szalawiła Maciek, to mu tam tylko kłopotu przysporzy, nie ulgę sprawić może... Aby go tylko Bóg cało nazad przyprowadził!

Przyszły listy jedne i drugie, i pocieszył się stary choć tém, że z powodu moru już o podróży do Ziemi Świętęj i mowy nie było.

Pukalo rad był się o Wenecyi dowiedzieć, ale krom tego co w staręj książce *Świat przejrany* znalazł, niewiele się o nię nauczył. Prawil mu ksiądz proboszcz różne dziwy, nad któremi serce i fantazyja starea pracowały. Wzdychał i modlił się.

— Co Bóg da, będzie.

Aż tu jednym razem z Poznania przywożą mu pismo długie. Okularów pod ręką nie było, stary je na polu odebrał, a do dworu kawał i posłać nie miał kogo, bo szkła były pod kluczem, klucz przy klódce z innymi, i powierzyć ich nie sposób.

Gorejąc od niecierpliwości Dalifur, posztykował do domu, a że proboszcza spotkał w drodze (który też bez okularów nie czytał, chyba na mszale, który na pamięć umiał), potem Murzynowską około chmielnika, wszyscy troje z tym listem zawlekli się do pokoju Pukały.

Nim się szuflada otworzyła, okulary dobyły, futerał sznurkiem umocowany otworzył, szkła wytarły... co to było domysłów nad długością pisma i jego treścią!!

Naostatek zasiadł tyłem do okna stary i rzucił oczyma po wszech stronicach, a napadłszy kilka wyrazów, aż krzyknął:

— Jezus Marya!

Ksiądz się zerwał, Murzynowska jęknęła.

— Na Boga! co się stało paniczowi?

— Żeni się, jak mi Bóg miły, żeni się! zawołał Dalifur; ot co!

— Gdzie? za granicą? z kimże?

— A no... Panie odpuść, z Włoszką!

Nuż od początku czytać jakoś, i we troje każdy wyraz z listu dobywać. Pismo było dość długie; w niem Konrad uwiadamał o wszystkich podróżnych przygodach, a mianowicie, iż znalazł towarzyszkę życia, młodą, piękną, do której serce jego przemówiło, i z którą już pierścionki zamienil. Prosił o mszę na intencję swoją księdza proboszcza, o wyporządzenie stosowne domu, o zakupienie potrzebnych zapasów; upewniał, że dobrą przywiezie im panią.

W przypisku dodał, że Maciek zostaje u szewca Polaka na terminie w Wenecyi.

— O już jak ja tego bestyę znam! zawołał Pukało: tobym przysiągł, że albo tam jest majstrowa, —czego Boże broń dla zgorzenia,—albo majstrówna.. nie chybi..

Ale o Maćka było mniejsza; posmutnieli wszyscy na tę wesolą wiadomość, bo co do domu polskiego żona cudzoziemka!!

— Skończyły się dobre czasy, szepnął Pukało, powoli składając list, — chociażby ona była najlepsza, już to ani ład, ani składu nie będzie. Przewróci tu młoda jejmość do góry nogami wszystko na cudzoziemski sposób.

Murzynowska łamała dłonie.

— Ani się z nią będzie rozmówić! zawołała — kto zresztą wie co oni tam jedzą?... zkąd ja jój wzięję tych pulpetów i soporów, do których tam jejmościanka przywykła?

— Gdyby tylko choć dobra katolizka! zawołał z kolei proboszcz, ale mnie to pociesza, że we Włoszech wszyscy są w obedyeneyi kościelnój.

— Nie musi to znów być nic wielkiego, córka kapitana okrętu, dodał Pukało — ani familiantka ani bogata.

— Ale! gadaj waćpan zdrow! podchwycił proboszcz: w Wenecyi, gdzie naród cały po morzu żegluje, najwięksi patrycyusze na statkach życie spędzają... i skarby wielkie zyskują, opływając świat...

— Jak tylko jeszcze wielka pani to stokroć gorzej — rzekł Pukało, — bo z państwa rodzą się muchy w nosie, nie z czego.

— Ja jestem prosta kobieta, przerwała z westchnieniem Murzynowska; rodzę się z Grabinkowskiej, a ojciec był podstarościm; aleśmy przez złych ludzi utracili substancję... No! no! dosyć; nie chcę być długą... ale wiedzą ludzie, że nie byłabym do tego doszła, ażeby się po cudzych tulać kątach... gdyby... Ja jestem prosta kobieta, ale wiele widziałam małżeństw takich, czy pańskich, czy chudopacholskich, gdzie żona była cudzoziemka. Zawsze, nie prorokując, szło to koślawo.

— Ale waćpani zapomnialiś, że on sam z weneckiej familii pochodzi, zawołał Dalifur.

— O! o! dziesiąta woda po kisielu!... gdzie to kiedy co było!... A no milczę; niech Bóg da jak naj-lepiej.

Ksiądz powtarzał:

— Tylko żeby była dobra katolizka, bo to wko-biecie grunt; ale o! sęk! jakże ją będę spowiadał, kiedy po włosku nie umiem? chyba po łacinie?

Machnął ręką.

— A jak ją ją spytam, co z młodemi indyczętami robić? zawołała Murzynowska.

— Słowem, że lepiejby było, gdyby się był tu oze-nił, rzekł ksiądz.

— No! a jakby miał znowu marnieć jak marnia! po tój tam wojnie długi czas, rzekł Pukalo, — lepiej niech się żeni... Będzie miał co robić z żoną cudzoziemką; choćby ją po polsku uczył, to się nie zna-dzi i nie zateśkni.

Dopieroż rozpoczęła się narada wielka: kiedy przy-jechać mogą? jak dwór przysposobić? co do spiżarni kupić? czém Robuin, trochę staroświecko wyglądają,

odświeżyć? i t. d. Murzynowska chciała nowych firanek i obié. Pukalo obawiał się o nieco powychylane posadzki. Ksiądz radził, aby tylko spiżarnia i apteczka była pełna.

— No, i piwnica rzekł Dalifur: boć to i Bolesławowie przyjadą, i pani Anna z mężem i dziećmi, i gości naspraszają, a u nas bez kielichów to się nie obejdzie.

— Byle nie nadto, byle nie nadto! wołał proboszcz: *ne quid nimis, pocula necessitatis, sanitatis, hilaritatis, ale nie dementiae.*

— A zawsze piwnicę zaopatrzyć potrzeba, mówił Dalifur. Stare wino, co jest, to ja tu go nie dam, chyba *na stempel*, a na początek młodego trzeba, byle czystego, okseft jeden albo i drugi.

— A tu te indyczęta! a te indyczęta! wzdychała Murzynowska; one mnie zdrowia pozbawią, jak już snu i apetytu pozbawiły. To okropność, *epidemia* (sic) jak zdychają. Już jak indyk wyrośnie, to tam mówią, że bardzo smaczny.

— Z podlewą, dodał eicho proboszcz.

— Ale niechajby go ten hodował co go chwali, jękliwe dodała Murzynowska; taż to z pańskimi dziećmi tyle biedy nie ma! A siekaj im zieleninę, a zaprawiaj, a nie dawaj na twardém, bo głupie dzioby sobie pokaleczą. At! już to nie Pan Bóg indyki wymyślił, rzekła eicho.

Pukalo zaczął się śmiać. Proboszcz uważał to za bluźnierstwo, i ostro spojrzął na klucznicę, która umilkła.

— A co masła zjedzą! dodała: bo pewnie kuchacza jakiego Mondkucha ściagną, co je łyżką na ogień rzuca, choćby śmietankowe.

— W gospodarstwie przerwa wielka... zaczął sobie Pukało. Do ogrodu i koło domu ludzi oderwać muszę, aby zaraz robili. Niby z listu widać, że lada dzień spaść nam mogą... Piasek trzeba zwozić, grodzić, bielić... oficyna całkiem obleciała, kominy czarne jak Cygany...

Wszyscy brali się za głowy, zakłopotani.

— At! at! pocieszał proboszcz, nie trzeba znów nie-szczęścia z tego robić, co Bóg dał na pociechę biednego rodzaju ludzkiego... grzech i to... Jakoś to będzie; Pan Bóg pomoże, aby człowiek dobrze chciał. Niech będzie pochwalony.

I to rzekłszy, wymknął się, brewiarz cisnąc pod pachą, rad starowina, że ich porzucił, bo nie mógł poratować, a stękaniny słuchać niemilo.

Pukało i Murzynowska do północy niemal radzili i kłopotali się.

Nazajutrz wrócił przy pracy i humor lepszy, i weselsze na przyszłość spojrzenie. Krzatali się już jak gdyby państwo młodzi co chwila przybyć mieli.

Ile pobitego drobiu sprzedano, wytrzymawszy do ostatecznego terminu, ile kadzidla wyszafowano we dworze, smolki, skórek od jabłek, trociczek i proszków, zliczyć trudno. Jesień się zbliżała krokami wielkimi, żniwa skończyły, lasy pożółkły, poczerwieniały, poopadały z liści, — nie przyjeżdżali i nie przyjeżdżali.

Listy wprawdzie przychodziły, obiecujące wkrótce przybycie, nieoznaczające terminu. Po każdym z nich z nową gorliwością brali się Pukało i Murzynowska do przygotowań; ale tygodnie i miesiące upływały, a ich nie było i nie było.

Zaczęto już i w piecach przepalać, i olchowemi suchemi drewnkami po kominkach, bo przymrozki brały, gdy jednego poranku, kiedy Pukało był nieubrany, a Murzynowska chodziła około chorego ciełęcia, ni ztąd ni z owąd wsunęła się w dziedziniec landara oblocona, zaprzężona końmi posprzęganymi ze wsi. Chłopiec przybiegł dać znać na folwark, że państwo przyjechali.

— A! dalifur! a kontusz w kufrze! krzyknął Pukało.

— Matko Bozka! to nieszczęśliwe cieło! wołała, biegnąc co tchu po kitajkową zieloną suknię Murzynowska.

W domu nawet od trzech dni, jak na złość, nie przepalano... Był chłód przejmujący po pokojach.

Na progu w ganku nie przyszedł ich nikt z chlebem i z solą powitać... ale Konrad pocałował w czoło młodą swą, piękną, choć smutną i strwożoną małżonkę, przypatrującą się dziwnie temu domowstwu poważnemu a smutnemu, które się zwało przyszłym jej domem.

Po tamtym kraju jakże się tu wszystko wydawało dziwnie, smutno, chłodno, dziko, ludzie jacyś zbiedzeni, niebo szare, kraj płaski, wody ubogie!... a jak na złość nawet w tej porze ani zieleni, ni kwiatu!...

Na jej twarzyczce wdzięcznej znać było walkę, którą odbyła, nim opuściła ukochane Lido, brzeg Adryatyku i pływającą po morzu ojczyznę swoją. Zbladła, osmutniała, tęsknotą była obleczona od stop do głowy.

Jemu radością świeciła twarz, on oddychał raźniej, rozmawiał z każdym kamieniem i drzewem, śmiał się

do ludzi i ścian; ona coraz wyglądała smutniejszą, nie mogąc tej radości podzielać.

Napróżno ścisnął ją, całował, chciał utulić i ruszać, i ujawszy pod rękę powiódł po domu, ukazując jej bogactwa swoje. Niestety! choć dom za możny był, dostatki te ubogo się wydały dziewczęciu, które widziało pałace Contarinich, Morosinich, Cornarów i innych patrycyuszów Wenecyi. Wszystko tu było skromne, szare, niebłyszczące, ciche jak dawne życie wiejskie, aż sam Konrad się zdziwił. To co dawniej wydawało mu się pysznem, znajdował biednem i małym. Nawet rozmiary dworu zdawały mu się czegoś ciaśniejsze... Wszystko postarzało i jakby w ziemię zapadło.

Cazicie jedno z daleka widne jezioro podobało się. Woda przypominała jej ojczyznę, uśmiechnęła się do niej jak do stariej młodych lat przyjaciółki.

Ale nareszcie i Pukało nadszedł zdyszany, w nowym kontuszu ze źle związanym pasem, za którego przecię nieforemny węzeł chłopak po uszach oberwał. Niósł w rękach półmisek z chlebem i solą, która się przewróciła i wysypała. *Omen* był straszny.

Ale Konrad pochwyił starego w objęcia, i całując go płakał, a Pukało też sobie się rozszlochał. *Cazita* patrzyła z dala niespokojna. Nie wiedział stary, jak ją przywitać, pana prosił za tłumacza, a ukradkiem spojrzął jej w czarne oczy, i wydała mu się w tej chwili dobrą i miłą... a dziecięcą... Więc ścisnął raz i drugi za kolana, schyliwszy się, i tak przemówił wymownie, a od serca, że *Cazita* zrozumiała, jeśli nie słowa, to intencję i uczucie.

Tu w kitajkowej sukni zielonej, myśląc zawsze o konającym cieleciu, wbiegła i Murzynowska, mniěj

śmiało. Przypomniała ona pani Konradowej trochę ciotkę Anunziatę na mniejszą skalę, i temu winna była uśmiech, który ją spotkał.

Przyszła jakoś do siebie cudzoziemka, uśmiechnęła się do męża, poszli razem gospodarstwo oglądać do szeleszczącego liśmi ogrodu, na podwórzec... słowem po całym dworze.

Tu biednej *Cazicie* wszystko trzeba było tłumaczyć, i wszystko się jej wydawało niezrozumiałem, mimo pracy, z jaką mąż usiłował ją w nowe wta jemniczać życie. Roztargniona, szukała oczyma — jeziora...

Mimo chłodnego powietrza, uprosiła, że doszli aż do brzegu, i stanęli przysłuchując się szumowi fali, ale po chwili pobladła smutna.

— Słuchaj, *mie caro*, rzekła, to coś okropnego! Ta woda inaczej się odzywa i co innego mówi... głos jej zimny, macoszyn, nie mojej matki *Adryi*... nie... Ja nie rozumiem nie... to język wasz... obey... to woda jakaś inna, smutna... bez smaku...

Zaczerpnęła jej dłonią i rzuciła na ziemię.

— Jak to! zawołała: taka przestrzeń wody bez odrobiny soli!... Mojej fali znam smak ostry i szczypiący... tu... zepsuty, — czy ją mróz wasz wygotował... czy...?

Zamilkła, bo Konrad posmutniał. Uczepiła mu się na ramieniu.

— Cóż robić! szepnęła — to twoja ojczyzna... Chciałaś, bym jej spróbowała, żyć bez niej nie możesz... a ja... a ja... — dodała tuląc ręką bijące serce — ja bez mojej... dla ciebie, spróbuję!

Poszli, już nie mówiąc do siebie. Czasem zbu-

działa go jakim pytaniem lub przykrym dla niego uśmiechem.

— U was wszystko z drzewa, u nas wszystko z kamienia... jak to dziwnie! mówiła. I nie boicie się ognia, wiatru, wody?

— Ale u was ja się więcej jeszcze boję morza, wśród tych stosów kamieni na drżących palach, które jedno wstrząśnienie poobalać może.

— O! zawołała Cazità... wieki to stoi...

— I to stoi wieki, dodał Konrad— a człowiek żyje tak krótko...

— To prawda, szeptała dziewczę, — tu na każdym kroku czuć, że się nie na wieczność budowało.

Ludzie, domy, zwierzęta wszystko ją dziwiło. Przestraszyła się rwących koni, które Konrad ze stajni wyprowadzać kazał; zalała ręce, gdy wsiadł na jednego z nich, aby i jój swą zręczność pokazać, i po długim spoczynku, znowu się ucałować na siodle...

Cazità padła prawie na wschodkach ganku, gdy młodzieniec uniesiony wspomnieniem wojaczki, wypuścił drogą wierzchowca i jak strzała pędząc znikł jój z oczu. Już płakać zaczynała, gdy zawróciwszy w czwał powrócił, osadził konia i skoczył z niego do stop jój.

— A! Corradino! już ja ci chyba nigdy nie pozwolę dosiąść konia. Ty szalejesz! to jest dzikie stworzenie!

— Znać, żeś nigdy innych prócz brązowych wazych na kościele Św. Marka nie widziała, zawołał Konrad, czule ją ściskając. Dla nas koń jest tém, czém u was gondola. Czy słyszałaś, by Weneecyanin wywrócił się i utopił z gondolą? Otoż Polak tak z koniem; bądź spokojna.

Na wieczór przybył proboszcz w nowj sutannie z powinszowaniem i błogosławieństwem domu; i ten się wydał trochę dziwnie Cazicie, ale dobry starowi na wkrótce ją swą łagodną fizyognomią pozyskał.

Tak przeszedł na wpół niezrozumiałej rozmowie długo w noc przeciągniętej, pierwszy wieczór w Robbinie pięknej Weneecyanee. Noc była wietrzna, chmurna, wiatr bił okiennicami do rana, wyl w kominach i dziwnemi głosy jęczał dokoła domu... Choć przywykła do szumu fali, Cazità usnąć nie mogła, siadła w łóżku i płakała.

Z wymówką prawie spojrziała na uspiętego Konrada, na którego ustach igrał uśmiech uspokojenia błogiego. Wstała po cichu, na palcach i poszła pisać do Anunziaty.

A list był smutny, długi i w niejednym miejscu łzami zamazany.

Nad ranem chmury rozpędziła burza, pokazały się gwiazdy, ale nagły mróz, taki, jaki często chwytą niespodzianie późną jesienią, wyiskrzył się, ścinając lodem wszystko, okrywając drzewa wilgotne szronem, bieląc ziemię, i lasy, i wody...

Cazità usnęła znużona. Gdy się zbudziła z czerwonymi jeszcze od płaczu oczyma, Konrad stał nad nią, ramiany od chłodu, z którego wracał, wesoly, szczęśliwy.

— Chodź, zawołał, wyjrzyj-no tylko na ogród okienkiem... Póki wyżj nie podejdzie słońce i nie roztopi brylantów, jakimi noc obwiesiła drzewa, chodź i przypatrz się cudom tój dzikięj ziemi.

Cazità owinięta zarzuconą suknią dała się pociągnąć do okna.

W istocie świat wyglądał jak zaczarowany... przestraszyła się prawie. Gościnną ziemią wystroiła się

dla obcego dziewczęcia, — gałęzie drzew wyglądały jak szklane, najdrobniejszy pączek był obłany brylantem, białe puchy, jakby nowymi liśćmi ubierały krzewy i najcieńsze gałązki. Cazità krzyknęła z podziwu, ale oko jój nieprzywykłe do tego widoku, uciekało strwożone prawie od niego. Wiało chłodem od tych cudów. Ptaszyny z podwórza świergoząc tuliły się pod okno i strzechę, szukając trochy ciepła i drobiny życia.

Cazità o mało im nie otworzyła szyby, aby przyjąć tych jak ona zziębłych wędrowców.

Młodość ma w sobie zapasy siły, któremi wiele przemódz może, gdy zechce, czasem potęgę instynktu, który bezwolnie w człowieku działa, aby go z otaczającym poślubić światem...

Wenecyanka po kilku dniach pobytu w Robniniu, trochę się już z nim i krajem oswoić musiała; ale zawsze jeszcze było to obce i nieswoje; czuła, że tu potrafi tylko tęsknić. Wieczorami przywiezione z sobą widoki Wenecyi rozrzucala po stoliku, i jak dziecko bawiła się temi obrazkami, przypominając Konradowi, gdzie z nim byli razem, opowiadając co tam niegdyś widziała i słyszała. Wesolo zaczynała się powieść, ale głos się powoli zniżał, i w kocu łza ukrywana padła na kochaną kartę przypominającą *Venezia la Bella*. Teraz też ona jeszcze świetniejszą, cudowniejszą wydawała się wygnance zbolelej. Leciła do niej myślą, sercem, szukała ojca po morzach dalekich, ciotki na Lido osamotnionej, nawet tych, których nie kochała dawniej: Antonia i Giulii.

Konrad zaledwie przybywszy do domu, napisał zaraz do siostry i brata, zapraszając ich do Robniniu.

dalsza też rodzina i powinowaci ciekawi byli poznać cudzoziemkę, do której za wczasu mieli urazę, że im niespodzianie serce brata schwycała.

Nie znając jój, wszyscy byli po trosze uprzedzeni przeciwko tój obecj, co im się pod strzechę wkradła, a trochę podszeptowała szlachecka dumka przeciwko może nieszlachciance, a pewnie ubogiej dziewczyninie. Anna, siostra Konrada, nieumiejąca po włosku, Bolesław umiejący niedobrze i niewiele, kłopotali się za wczasu rozmową. Zapominali, że sami pochodzili także od przybysza, wrosli już byli w nowy kraj i do jego obyczajów przywykli. Wszystko to na dzień naznaczony zbiegło się sanna do ośnieżonego dworu, którego kominy pałały i ściany świeciły się od zapalanych świec. Cazità chodziła wystrojona, ale drżąca, czekając na przybycie rodziny; czy się jój kręciły w oczach. Niktby w niej teraz nie poznał owego wesolego dziewczęcia rozpieszczonego, które się z takim *brío* zjawilo na pokładzie statku *Padre Antonio*. Nie zbrzydła Cazità, była szczęśliwa, kochała Konrada całym sercem południowym, namiętnie... a jednak pożerała ją tęsknota, szarpał sercem widok tego świata, do którego nie była stworzona, który ją przestraszał i męczył, nawet gdy chciał ukolysać i przytulić.

Widziała męża szczęśliwym i milczała, ale w sercu i na ustach miała nieustannie jedno: wrócić tam na brzeg Adryatyku, sięść w domku na Lido, patrzeć na lazurowe fale i oddychać słonem powietrzem morskiem. Ale cóż? Tam Konrad znowu tęsknił po borach swych, tam on smutny wałęsał się, oczyma szukając jakichś przypomnień swego kraju. Cazità widziała go ze łzą w oku, podsłuchującego roz-

mów Dalmatów, tych *portatore* i *portatrice d'aqua*, których język miał dźwięki do jego mowy podobne; posyłającego westchnienia ku wschodowi i północy; szukającego na horyzoncie strony, z której wiatr mógł mu przynieść dym kominów jego ziemi. Cazi-tà widziała jak szczęśliwy sechł i chudł z niecierpli-wości powrotu, jak każdy list z domu oblewał łzami i witał serdecznemi śmiechy, jak pragnął choć na chwilę być tam i zaczerpnąć powietrza, coby mu na czas jakiś życie dało.

Ale tu znowu ona dostała téj saméj choroby, tęsk-nicy. Konrad radził na nią, ale lekarstwa nie było.

Serdeczne były powitania siostry i brata. Cazi-tà poczuła się na chwilę obcą, trochę zazdrosną, ale te poczciwe serca objęły ją zaraz ciepłem swoim i nie dopuściły pozostać samotną. Anna miła, gadatliwa, rumiana, dosyć otyła *gospoia*, przywykła do krząta-nia się w domu, poczęła pomagać niedoświadczonéj Włoszce do zajęcia się gospodarstwem; dodała jéj ochoty, śmiałości, wesela... Wszystkiemu poklaskiwa-ła i znajdowała swą uczennicę na podziw pojętną i zręczną; rozmawiały z sobą nie wiedzieć jakim ję-zykiem, ale się pokochały.

Bolesław był szlachcic z kośćmi, hreczkosiéj, do-mator, wygodniś, przywykły do swych godzin, swojej kuchni, twarży, ścian i ludzi. Zrobił wielką dla bra-ta ofiarę, że do niego przyjechał, a choć ten dwór stary jego także młodości był piastunem, już mu tu po jego domu własnym nie było bardzo wygodnie.

Splakał się wprawdzie, ściskając starego Pukałę, ale wprędce zateśknął do swéj kanapki kolbuszow-skiéj, poduszki tureckiéj i komina, na którego ogień

nawykl był patrzeć milczący godzinami całemi, ma-rząc o niebieskich migdałach.

Kochał Konrada, a męczył go Konrad opowiada-niami i pytaniami bez końca... Podobała mu się bra-towa, a wolałby żeby jéj nie było, boby się wy-godniéj mógł przebrać i zrzucić paradny żupan i kontusz, a od pasa się uwolnić.

Przy wieczery jednak i kieliszku wina, chmurki i obłoczki z czoła pozlatywały, wesolość przyplęnęła z tokajem starym, rozmowa się ożywiła. Cazi-tà na-wet objęta jéj wyziewami, poczuła się śmielszą i we-selszą. Ale na nieszczęście Konrad przyniósł do wi-na kielich z pięknego szkła robiony w Murano; Włosz-ka przypomniała Wenecyę, gondole i tę piękną wy-spę szklarzy, i swoje Lido, i żeglującego daleko kapi-tana Zenona. Rozplakała się; musiała uciec od sto-lu. Konrad pobiegł za nią, Anna za niemi także. Bolesław, Pukało i ksiądz proboszcz zostali sami przy stole prawie.

— Co to jest? spytał Bolesław Pukały: czy ją kto obraził?

— Ale gdzie zaś panie... to włoskie jakies fanta-zye... Ona, proszę pana, tęskni tak po téj swojej We-necyi, do szaleństwa prawie.

A proboszcz dodał potakująco:

— Extra dobra osoba, ale znać to, że się w na-szym kraju nie urodziła; całe inny obyczaj. Dobra katoliczka, pobożna... Co za szkoda, że cudzoziemka!..

— No, to się to powoli przerobić może! rzekł Bo-lesław.

— Chyba nie, rzekł Pukało z cicha; ja na to pa-trzę, dalifur, z przeproszeniem pańskiém od samego początku, ale choroba zamiast coby się zmniejszaé

miała, powiększa się jeszcze z dniem każdym, dalifur. To jest *ni fallor* zły znak.

— Pan Bóg odwróci! szepnął proboszcz, przypatrując się winu przeciwko światłu, i znajdując burztynowy jego kolorek bardzo pięknym.

— E! mospanie, odparł Bolesław, aby Bóg dał potomka Konradowi, wszystko to minie... U kolebki dziecięcia matki ojczyzna... przywiąże się... A zatem konsolacyi przyszłej!

I potracili kieliszkami, ale Pukało westchnął.

— Pan wie, rzekł na ucho Bolesławowi: jegomość nasz nie żartem myśli na wiosnę z nią do Wenecyi jechać... To nas zrujnują te wojaże. Prawda, że tam na miejscu mało co życie kosztuje, bo dom swój mają, ale póki się tam dobić...

— A jakże tam z substancją, nie wiesz? zapytał Bolesław: nie mówił Konrad?

— Niewielem się dowiedział, odparł Pukało; nie widzi mi się, żeby to tam wielkie rzeczy być mogły. Cały majątek kapitana statek, a to dalifur, proszę jegomości, byle dobry wiatr może się rozprysnąć, i pójść w deski i trzaski... No, a domek, murowanka, co tam może być wart? Jejmość z sobą przywiozła coś tych cekinów, ale tego ani chce tknąć nasz pan.

— No? przywiozła? spytał Bolesław — sporo? sporo? wszak ci to Konrad, jak orzech zgryść, mógł wziąć w domu spokojniuténko jakie parę kroć, coby sobie był wioskę kupił jaką sam chciał... Jak miarkujecie, co to tam być może?

— A! tego nie wiem, cicho szepnął Pukało, ale szkatuła ciężka...

— No, to taki coś jest... chwala Bogu... rzekł Bolesław; a nie wiecie, czy szlachcianka?

— Pan mówi, że to dom zubożały, ale z wielkich patrycyuszów gałęzi.

— Nie widziałeś aś herbu?

— Nie, ale mi pan mówił, że mają łódź złotą w niebieskiem polu.

— No! to niczego! rzekł Bolesław... Wszystko dobre, gdyby nie te fonfry w nosie.

Proboszcz jedném uchem słuchając, dodał z cicha...

— Ale to przejdzie...

W téjże chwili wróciła Cazità uspokojona z siostrą Anną i mężem; mąż był zmieszany, skłopotany, a gosposia udawała wesołość tylko, ale i na jój czole znów widać było troskę... Włoszka starała się uśmiechać, zagadywała, była grzeczna, a mąż czytał z jój twarzy, że rada była, aby się przyjęcie co rychléj skończyło.

Tak przeszedł dzień pierwszy, mało różnie następujące. Biedne dziecko pracowało nad sobą usilnie, aby się zbliżyć do nowej rodziny, ale między nią a niemi nie było łącznika prócz Konrada, który sam cierpiał, był roztargniony i dopomódz jój nie umiał.

Im więcéj, głębiéj wglądała w ten świat obcy, tém się jój straszniej robiło. Tam też całe ich gospodarstwo składało się z ciotki Anunziaty, prostéj kobieciny, starego Pietra, co w ogrodzie pomagał, ojca, a czasem kuzyna Antonia.

Cazità była swobodna, wybiegała kiedy chciała boso na brzeg morza, w kapeluszu słomianym do ogródka, w prostéj sukience plynęły się pomodlić do S. Giorgio Maggiore lub S. Biaggio na Rivie... Tu tyśiące miała różnych prawideł do zachowania, ostrożności, przyzwoitości... Była trochę większą panią, ale

to państwo zamykało ją jak w więzieniu w ciemnym dworze Robnina... Musiała pilnować i swojego uśmiechu, i ruchu, i słowa, straciła wesołość, tracąc swobodę.

Trzpiotowate dziecię stało się przed czasem zamyśloną i posępną niewiastą.

Czy smutek działał? czy klimat? niewiadomo, ale pod koniec zimy, gdy już skowronki zjawiać się zaczęły nad szarą rolą budzącą się do wiosny, Cazità zastąpiła, pobladła, poczęła kaszlać; straciła ochotę do życia, płakała tylko, a gdy ją Konrad starał się uspokoić, szeptała mu jedno:

— Odwieź mnie tam! tam! niech tylko popatrzę na Adryatyk, niech odetchnę mojem powietrzem, pobiegnę do mojego ogródka... będę zdrowa... będę zdrowa.

Konrad nie śmiał jój powiedzieć, że on tam może chory będzie, żal mu się zrobiło biednej, ukochanej istoty...

— Poczekaj, rzekł, niech się zazieleni ziemia, niech ja zobaczę moje lasy w ich świątecznych strojach, nasze kwiatki w młodych sukienkach, nasze jezioro rozkołysane... pojedziemy...

Jak Julia w Shakespearowskim dramacie, w tej cudnej scenie nadchodzącego poranka, Cazità upatrywała wiosnę nadchodzącą w dniu każdym; przyniosła uszczęśliwiona pierwszy listek dzikiego agrestu, pierwszą rozwiniętą w śniegu przylaszczkę; cieszyła się, gdy lody pękły na jeziorze... i wylatywała na słońce spróbować czy dobrze już grzeje? I wołała:

— Konradzie mój! już wiosna! już wiosna! Na Lido puściła pewnie winna latorośl... Jedźmy, jedźmy! Konrad czekał; jemu tak żal było swojej wiosny

i rozwoniałych brzoź, i pękających brzoź... Odkładał do jutra. Próżno przymilała się Cazità, prosił tak pięknie o dzionek jeszcze, o dwa dni—czekała, patrząc okienkiem...

Nawet czarodziejskie to u nas odmlodzenie ziemi, nie zdziwiło jój i nie ucieszyło, patrzyła na drzewa z wyrzutem prawie, że do włoskich nie były podobne, kwiaty znalazła drobnymi i słabymi, wody jeziora wydały się jój brudniejsze nawet, niż woda lagun weneckich...

Konrad czuł, że potrzeba było jechać, bo Cazità nikła mu w oczach, bo policzki jój kwitnące traciły barwę, wzrok blaski wypłakane, czoło pogodę..

Ale jak się tu było przyznać przed rodziną, przed swoimi, nawet przed starym pocziwym Pukałą, że zamiast wziąć się do gospodarki, Konrad miał znowu puścić się na nie wiedzieć jak długą pielgrzymkę? Domyślał się tego Dalifur, ale przypuszczenia odpedzał, wmawiał w siebie, że się młoda pani przy-swoi.

Nareszcie jednego wieczoru, gdy zostali sami, Konrad zbliżył się do starego przyjaciela domu i kładąc mu ręce na ramionach, rzekł cicho:

— Kochany mój Pukało, nie mam co taić przed tobą... Cazità chora... tęskni codziennie gorzej, niczem jój rozerwać nie mogę, niepokoi się też o ojca, od którego nie ma wiadomości... Musimy jechać, musimy!

Stary nie odezwał się słowa, głowa mu opadła na piersi.

— Nic to nie pomoże, rzekł po chwili, ona tęskni tu, ty będziesz tam tęsknił... Rób jegomość, panie, go ci serce dyktuje. Moje oczy może was już

nie zobaczą, a ojcowizna pójdzie marnie. Ale się stało!

Konrad westchnął także.

— Stary przyjacielu, cóż mam począć? Widzisz jak ta biedna wygnanka zbladła, zmieniona, chora? Mógłbyś ją dla siebie poświęcić? godzi się to?

Pukalo nie nie odpowiedział, milczał, gładzając wąsa.

— Ano, róbcie jak wola wasza, nie ma co tu radzić stary...

Skłonił się i odszedł ze łzą na oku, z czapką na uszy głęboko nasuniętą, sumując.

Na progu już Stefanek i Murzynowska poznali po minie, po sposobie otwierania drzwi, że stary z czémś złém powrócił ze dworu.

Stefanek tylko głową kiwnął ku klucznicy, a ona skinęła potakująco, nie śmieli się, szanując smutek jego, odezwać; domyślali się zresztą po trosze o co chodzić mogło.

Wtém stary, nim mu świecę przynieśli, skinął na klucznicę zapraszając ją do siebie, a Stefanek zaraz do drzwi ucho przyłożył, bo był niezmiernie ciekawy.

— A co, moja jejmość, rzekł głosem wzruszonym: czegom się bał, tegom się nie ubał.

— No cóż? co? zawołała przestraszona Murzynowska.

— No, jadą do téj Weneeyi!... bodaj ją tam siarczyste... — splunął nie dokończywszy, — taki jada. Co to kobieta gdy się mospanie uprze, a też jeszcze, z pozwoleniem, półdyable weneckie; jak zaczęła sękać, kwękać, chorować, grymasić, chudnąć na złość, — otoż jada...

Murzynowska dzielając to strapienie, załamała ręce.

— Już ich tu żadna siła ludzka nie powstrzyma, rzekł stary, to darmo... Jegomość — panicz z żalu mało nie płacze, tak mu się jechać nie chce, ale musi!

— Ale bo — ujmując się za pcią swą, dodała Murzynowska — ona bo nieboraczka z téj aury choruje; widzisz asindziej jaka blada.

Pukalo ręką machnął.

— Dalifur! zawołał, dalifur! polityka ta choroba, ino się uparla... strzyżono, strzyżono... Juścić jój tam nielepij w kamieniczce! ale co to gadać... nie pōsądzam, coś ciągnie jejmość.

Murzynowska się oburzyła.

— Dalbyś-bo jegomość pokój!

— Ano prawda, odparł Pukalo, alem zły... Folwark, dwór, wszystkiego dostatek; ptasiego mleka chyba brak, a jeszcze źle i źle.

— Już że dogadaliśmy, to niech nie grzeszy, z pozwoleniem, jak wrzodowi... a mąka żeby była biała, a bulki tylko pszenne i pszenne... a salaty w zimie... a potrawy cudackie, co ich nikt prócz niej w gębę nie wziął, chyba on przez grzeczność... I powiadam jejmości, — zawołał patetycznie Dalifur, — zobaczycie, że oni tu już nie powrócą... Ona go nie puści, opustoszeje nasz dwór, pójdzie kawał dobrej polskiej ziemi w cudze ręce. Ale, — westchnął, — moje tego oczy nie zobaczą. Dawno trumna wyschła, żytem nasypana, czeka na strychu... toć w nią wlażę, żebym na ostatnią zgubę nie patrzył.

— I!.. wstydzilbyś się jegomość znowu tak brać do serca.

Stary aż płakał; siadł w krześle na poduszce i oczy ocierał.

Nagle myśl mu jakaś przyszła, porwał za kij, za czapkę, świecę z porywczosci palcami zagasił i szybko z folwarku wyszedł. Murzynowska wyjrzała i ruszyła ramionami; nie poszła spać spokojnie, dopóki wysłany Stefanek nie przyszedł z raportem, że stary się powlókł na plebanię.

Swieciło się jeszcze w sypialni proboszcza, gdy do drzwi zdążył Pukało, ale psy już wartowały w dziedzińcu. Dobrze, że go poznały, a chłopak zaspany ledwie mu nierychło otworzył. Ksiądz odmawiał pacierze... Myślał, że do chorego wzywać go przychodzą; sutannę starą narzucił. Zdumiał się, zobaczywszy Pukałę o tej porze.

— A co tam? spytał: czy nie co złego, *quod Deus avertat!*

— Złego, złego, mój ojeze! zawołał Pukało: pacierze u was szukać przychodzę. Już taki postanowiono, nakazano... wyjeżdżają.

— Kto? co?

— Ano państwo.

— Dokąd?

— Do tej Wenecyi przeklętej.

— Któż ci to mówi?

— Z jegom ust miał dyspozycyę!... Niewesolo i jemu, rzekł stary, ale kobiecie się oprzeć nie umie... jadą... To ruina! to zguba! Ojeze! jeżeli wy nie uczynicie refleksyi...

— Ja? zapytał ksiądz: a co to do mnie należy?

— Jak nie wy, to któż? macie ich sumienia w ręku, przemówcie.

Proboszcz głową kręcił.

— Złe to być może, rzekł, ale wedle świata grzechu nie ma; ja się w to wdać nie mogę. Szkoda mi ich, a posłuchać mnie nie zechcą.

— Więc wy mi odmawiacie? płacziwie zapytał Pukało.

— Spróbuję słowo rzucić, ale to będzie groch o ścianę... Nie moja rzecz.

Pukało wstał z krzesła.

— No tak, zawołał, sądzono, sądzono, aby oczy moje patrzyły na ruinę tego domu, na zgubę... Niechże będzie wola Pańska! Ale nie przeżyję ja tego ojca mój! Ten dom, jakby mój rodzicielski własny; ten, chłopiec, to jakby dziecko moje; ten majątek, jakby ojcowizna. Wżyło się tu, wrosło, pracowało, aby pomnożyć, aby utrzymać, a tu fantazya jednej kobieciny wszystko w proch obraca... Fantazya, mówię jegomości! krzyknął głośnie: bo ja temu nie wierzę, żeby chora była i tęskniła, jeżeli męża kocha. Mąż dla niewiasty światem, wszystkiem, ale to, z pozwoleniem, półdyablę weneckie!

Chwycił za czapkę w passyi chcąc wyjść, gdy go proboszcz za ramię ujął.

— Kcehanie, Pukało! z żalu ci się w głowie wywraca! A toż po chrześcijańsku, a toż po ojcowsku tak sierdzić się na to biedne dziecko? Ha? myślisz, że jemu też serce nie boli opuszczać dem, kraj, rodzinę? a uchowaj Boże, by się jój co stało... dobrzeby mu było nosić trupa na sumieniu? Wstydz się stary, mów pacierz i uspokój się, a za grzech porywczosci powtórz po pacierzu siedm razy: Bądź wola Twoja...

Pukało zmiękł, proboszcza w ramię pocałował, łzę otarł, i mrużąc wyszedł z plebanii.

Piękna była noc wiosenna, a w krzewach ogro-

dowych na zabój śpiewały słowiki... W dali slychać było szum fali jeziora, jakby ruch kołyski co dziecięcą usypia... Wiało zewsząd wonią młodości, kwiatami, liśćmi, trawami... a świat ten wyglądał tak cudnie, że Pukale aż się na płacz zebrało.

— I taki to mając ką własny, trzeba im się tłum po obcym świecie!!.

Z cicha włókł się po pod ogrodowym parkanem. Księżyc pasami z pomiędzy drzew starych smugami światło po darniach rozrzucał, a wysokie topoli wierzechy w ciemnych kędyś tonęły niebios błękitach... W krzakach ledwie się liść ruszył niekiedy, taki był spokój i cisza. Dalifur poglądał w ten ogród; wyobrażał sobie jak w nim obcy gospodarzyć będą, i żółć mu się burzyła. Wtém stanął. Na ławce pod kasztanami zobaczył siedzącego Konrada, który głowę ująwszy w dłonie, żegnał się ze swoją siedzibą. Wśród ciszy wieczoru, Pukało dosłyszał ledwie pochwyconego jęku, i żal mu się zrobiło znowu tego człowieka jak własnego dziecka, Przeszedł na palcach szanując tę chwilę boleści; a gdy minął kasztany, rzekł w sobie:

— *Mea culpa!*... cóż mnie staremu narzekać, kiedy on cierpi! Mnie ulżyć mu ciężaru, a nie dodawać go jeszcze... Stań się Twa wola Panie... Pukało wiernym będzie do ostatka sługą... a płakać zawsze czas i potém, dodał w duchu.

Gdy już do wyjazdu rozkazy były wydane, odżyła biedna Cazità: teraz wszystko jój było piękne, weselem ożywiła się twarz, błysnęły oczy, uśmiechnęła się usta, rzuciła się na szyję Konradowi.

— *Corradino mio, angelo caro!* tyś dobry, tyś kochany, tyś święty!

I z wielkiego wzruszenia do nóg mu padła.

— O! tak!.. ja czuję, jam ciebie niewarta! zawołała. Ja nie miałam siły tak ci wszystkiego poświęcić, jak ty mnie; jam biedne słabe dziecko! grzesznica! jam rozpieszczona jedynaczka... Ty mi przebac! jabym tu była umarła, i to powietrze mnie dusiło, zabijało... I ojciec! ojciec! ja jednego w świecie mam ojca, a on tyle mnie kochał, i on tam ginie z tęsknicy po niewdzięcznej... Tylko mnie dowieź do niego, niech ja go zobacze, niech on mnie uściśnie. Jam mu potrzebna: niech się pocieszy, żem szczęśliwa! *Corradino mio!* powrócimy tu, i ja już... nie zatęsknię ci więcej; będę posłuszna, będę wesola, będę tylko twoja...

Jakże się było oprzeć temu gwałtownemu uczuciu? Konrad także ją kochał, nie mógł tego uczynić. Rozkazał przyspieszyć przygotowania do odjazdu. Obawiał się Pukały, ale i stary nazajutrz po tym wieczorze był bardzo zmieniony, do niepoznania. Chcąc gderać Murzynowskię zamknął usta, a sam z troskliwością ojcowską wziął się do wyboru w podróż panicza.

Tylko gdy w ganku przyszło mu się z nim pożegnać, gdy sobie padli w ramiona, piastun stary, sługa wierny i wychowanek serdeczny, rozplakali się obaj płaczem wielkim, nieutulonym, długim, i słowa już do siebie rzec nie mogli.

Proboszcz przeżegnał landarę.

— *Dens vos... ducat, reducat!* szeptał, a lzy mu ciekły po policzkach.

Plakali wszyscy... a gdy dwór z oczu zniknął, Cazità rzuciła się znów na szyję mężowi.

— Tyś anioł, rzekła, jam niewdzięcznica.

I łaa jój pociekła, lecz wiatr wiosenny prędko ją osuszył.

Inaczej teraz dopływali do miasta, które dziecię jego tak chciwie ujrzeć pragnęło. Wiosna to była znowu, ale powietrze chłodne, burzliwe, pora wietrzna; niebo okryte porozrywaniem na szmaty obłokami z poza których ukazał się czasem różek lazuruowy wiekustej obsłony sklepienia, ale natychmiast pokrywały go gęste lejące od ładu tumany.

Wicher i rozkołysane fale nie potrafiły powstrzymać Cazity spragnionej domu, tēm niecierpliwszej im się bardziej do niego zbliżała.

W Tryeście dom ciotki zastali pustym i nie odnikogo w nim o „Padre Antonio” i jego panu dowiedzieć się nie mogli; staruszka wyjechała była do krewnych. W porcie mało było statków, a i te co stały na kotwicy, czekały pogody, nie chcąc się puszczać na morze rozzłoszczone i niebezpieczne. Ale Cazitę płakała, Konrad musiał pójść szukać jakiejś łodzi, bodaj rybackiej nieco większej, aby ją najać do Wenecyi.

Podróż obiecywała być długą, przykrą, ba! nawet niebezpieczną, ale Wenecyanka śmiała się z postrachów tych i utrzymywała, że żaden prawdziwy marynarz wiosennych się wichrów nie lęka!

Niebo się jakoś rozpogodziło choć niezupełnie; łódź się znalazła z pomostem dość niewygodnym, *padrone* statku ofiarował się jechać natychmiast, ugodzono się więc z nim do Wenecyi.

W mieście zaręczono za kapitana, że był doskonałym żeglarzem i starym doświadczonym sternikiem, że znał brzegi, mielizny, niebo i wodę, jak swoją kieszeń. Wyglądał też na człowieka, który suchary jadł nie z jednej beczki — (bo nie można było o nim powiedzieć, że chleb jadał nie z jednego pieca). Ogorzały, czarny, ze skórą wyprawną od słońca, zarosły jak niedźwiedź, w osmolonej kurcie podobniejszy był do korsarza niż do uczciwego kapitana statku, trudniącego się przewozem towarów, a w wolnych chwilach rybołówstwem. Kilku ludzi równie dziwnie dobranych składało całą załogę.

Cazitę wszakże uczyła się dopiero wesolą i szczęśliwą, gdy pokład kołyszący się już w porcie pod stopami jój, tak, że się ledwie na nogach utrzymać było można — poczuła. Oko jój ku Wenecyi zwrócone błyszczało.

Gdy kotwice ściągnięto, a statek o napół rozwiniętym żaglu wyruszył, fala nim tak rzucać poczęła przy wyjściu na pełne morze, iż wszyscy prócz majtków posiadać i czepiać się musieli lin i drągów, aby ich wiatr nie zrzucił z pokładu, lub woda przez głowy przeskakująca nie zmiotła.

Było to ku wieczorowi, a po maliej próbie kapitan Seboni przekonał się, że nocą płynąć dalej nie było podobna; musiano się zwrócić do portu i tam znowu kotwice zarzucać do rana. Ale ani Cazitę, ani Konrad nie wysiedli już na ląd, postanowili czekać uspokojenia lub poranka.

Przebudzili się o brzasku, gdy łódź znowu z portu wypływała, rzucana falami wysoko lub pograżająca się w głębiny.

Rozhukany Adryatyk był przepyszny obrazem, fale piętrzyły się, wyginały, rozbijały z łoskotem ogromnym, z niezmordowaną furją, jakby popychane jakąś siłą niewidzialną, bo wiatr nawet chwilami nie wydał się tak gwałtowny... Przybrały one teraz barwy inne: płowe, zielone, bursztynowe, a na wierzchołkach ich kłębiła się piana śnieżysta, jak w pysku rozjaśnionego zwierzęcia.

Łódź zdawała się tonąć co chwila, pochylała się na bok, kładła, maszty się uginały i trzaskały od wiatru nagłego, powrozy rwały, grube płótno żaglowe darło w kawały. Zaledwie odrobinę jego można było na ten prąd wystawić, który nagle ustawał i wracał niepoohamowany. Z chmur lało to deszczem chłodnym, to drobnymi zmarzłymi perełkami, to promień słońca spadał na głowy i uciekał zaraz, ślizgając się dalej po morzu, a wlokąc za sobą goniący go cień czarny, od napędzającego obłoku.

Cazità była w zachwyceniu, Konrad milezący, kapitan Seboni latał, kłął i nie żałował ani pięści, ani sznurów, ani też własnej pracy... Łódź unosiła się szybko, trzymana w oddaleniu od niebezpiecznych brzegów.

Cały dzień trwał ten bój z uporezywą burzą, ku wieczorowi znużone fale nieco opadły, niebo poorało się długimi pasy chmur układających do spoczynku; płynąć już było można nocą bezpiecniej. Zapalono lampę przed obrazkiem Ś. Teodora, kto jak mógł owińawszy się położył.

Nazajutrz ranek był mglisty, powietrze parne, nie dookoła nie było widać prócz wyziewów jakieś gestych buchających niby z kotła z rozgotowanego mo-

rza. Fale kołysały się szerokimi płatami jak niezmierne opony zielone i szafirowe.

Już nad wieczorem o pomarańczowym słońca zachodzie, w blaskach ostrych kończącego się dnia, ujrzeli Wenecję... Lido.

Cazità rozplakała się z radości, ale łódź płynęła powoli, wiatr był nierówny, targany, rwał z różnych stron, żagłów całych rozpiąć nie było podobna.

Lawa piasku i strzelające nad nią wieżycy rosły powoli. Była noc, gdy naostatek dobili się do portu. Potrzeba było doczekać ranka, aby się na ład dostać.

Cazità wpatrując się w światelka nadbrzeżne, całą tę noc nie zmrużyła oka. Nareszcie ukazała się gondola, zrzucono pakunki, popłynęli milezący wprost na Lido. Już ona mówić nawet nie mogła; wsparła się na ramieniu męża, oddychała powietrzem swoim, była prawie szczęśliwą.

Z dala pokazał się domek murowany. Serec uderzyło gwałtowniej, ranek się rozjaśniał, piękny był nawet, ale koło mieszkania kapitana czegoś pusto, ani żywego ducha... Cazità dojrzała zaraz pozamykanych okiennic w pokoju ojca... zapartych drzwi od ulicy... Przeczucie srogie targnęło jej duszą.

Wysiedli... nie śmiejąc pytać, szli oboje do drzwi Konrad w nie uderzył, echo rozległo się, jak po pustyni raz i drugi. Aż w górze otworzyło się okno nierychło; siwa głowa Anunziaty ukazała się z niego, i dwa okrzyki powitania razem słyszeć się dały. Kobiety wyciągnęły ku sobie ręce.

Potem jak grzmot przeleciał wschody, rozwarły się drzwi, stara ścisła ukochaną siostrzenicę,

— A ojciec? ojciec? pytała Cazità.

— Ojciec! ojciec dotąd nie powrócił, odpowiedziała ciotka zdyszana; mówią że popłynął do Stambułu... Nie wiemy... ale ileż to razy dłużej go nie było?

— A wieści?...

— Żadnej... to jest myślę się, jękała ciotka, — powrócił Beppo, który mówił, że z dala widział niedaleko Korfu statek *Padre Antonio*.

— Dawno?

— O! już temu ze cztery miesiące...

Z tą smutną wieścią weszli do opustoszałej kamieniczki. Cazità pobiegła do swój izdebki, otworzyła okna, okiennice i klękła przed obrazkiem.

Potém zerwała się dziękować Konrowi, który jak świadek niemy, smętny, stał i patrzył na ję oszalałe wesele, niepokój i smutek. Była bowiem znowu smutną, a twarz ciotki Anunziaty, gdy ją rozpytywała o kapitana, usprawiedliwiała tę troskę. Ję odpowiedzi nawet były jakieś jękające się, niepewne, jakby obrachowywane dla córki. Konrad podejrzewał nie bez przyczyny, iż mniej podobno mówiła, niż wiedziała... Smutek nadawał ję twarzy zwykle rozjaśnionej, wesołej, dziwnie przygnębiony charakter. Łzy, które się dobywały z oczu, można było wprawdzie i radością, i wzruszeniem tłómaczyć, ale nadto uparcie powracały na powieki.

Cazità wstała od modlitwy i żywo poczęła badać i rozpytywać ciotkę o ojca. Anunziata też coraz się bardziej plątała w odpowiedziach, naostatek przerwała rozmowę pod pozorem gospodarstwa.

— Będziemy sobie o tém mówiły jeszcze wolniejszym czasem, a teraz dajcież mi pomyśleć o tém, byście z głodu nie pomarli. Póki bylam sama, nawet ognia na kuchni nie było; żyło się lada czém, zapasów

żadnych nie mam w domu, muszę Piotra posłać i sama pobiedz...

— A! ja ci pomogę! zawołała Cazità — czyż ja już tak mam być nikomu do niczego? Tak miło mi będzie znaleźć się z wami znowu w tęg kuchence naszej i pośmiać się przy robocie.

Ciotka Anunziata wszakże nie miała wcale do śmiechu ochoty; mrugała ona nieznacznie na Konrada od dawna, dając mu do zrozumienia, że coś mu chce powiedzieć potajemnie, ale Cazità nie dawała się odpuścić niczém.

— Wiesz co? odezwała się ciotka wreszcie, tyś zmęczona, połóż się na godzinę, mężczyzna wytrzymałszy zawsze... Konrada wezmę, posłę go po Piotra, a sama tak wszystko przygotowuję, że wam z głodu umrzeć nie dam. Tylko uczyni to dla mnie, połóż się proszę, a odpocznij.

— Jam tak szczęśliwa! tak żyję powrotem, Weneć, wami! wołała Cazità.

— Wszystko to dobrze, ale jeśli nie dla siebie, to dla mojego spokoju, proszę cię, kładnij się.

Z wielką niechęcią Cazità posłuchała. Konrad posłał ję dawne dziewicze łódeczko; zaklinała się, że spać nie może i nie będzie, ale w końcu dała się namówić posłuszna. Zaledwie głowa ję spoczęła na poduszkach, oczy znużone zamykać się poczęły. Ciotka skinęła na Konrada i wynieśli się na dół po cichu.

— Słuchaj — szepnęła zszedłszy Anunziata, zalamując ręce — słuchaj! — Tu płacz ję przerwał mowę. — Ty nie nie wiesz... jest wielkie nieszczęście.. a! czekałam na was nie wiedząc co począć, a pisać nie śmiejąc, aby list nie wpadł w ję ręce. Stary pocziwy Zeno nie żyje...

Tu zaczęła znów łkać i płakać, a Konrad osłupiał sam, bojąc się o to, żeby na górze placzu jej gwałtownego nie usłyszała Cazità, jął ją hamować.

— Chodźmy ztąd, powiecie mi wszystko...

Wyszli razem na brzeg morza i stanęli za murem tak, aby z okna widzieć ich nie było można. Konrad obawiał się nawet, ażeby Cazità nie wyjrzała i nie poznała po załamanych rękach i placzu Anunziaty, że coś strasznego przed nią tajono.

— Jakże? kiedyż się to stało? zapytał.

— A już parę miesięcy temu jak otrzymałam wiadomość okropną, że jeden tylko z jego majątków ocalał... Okręt rozbił się w czasie burzy o skały, a biedny *Padre Antonio!* nic nie pozostało z niego! nie! Trupa kapitana widziano jak pływał na morzu... ale zginęło nawet ciało bez chrześcijańskiego pogrzebu! Co tylko miałam, oddałam na msze za jego duszę. On zawsze mówił, przepowiadał, że tak zginąć musi: „Nie leżeć mi w ziemi święconej, ale zginąć na dnie morza.“ *Padre Antonio!*... już go nie zobaczą oczy nasze... nigdy! nigdy! a z nim cały nasz majątek! Zeno był dużo winien ludziom, którzy mieli w nim zaufanie. Ostatniemi czasy począł na swoją rękę handlować i przestał cudzy towar przewozić... Wszystko pochłonęło to nieszczęsne morze, a długi tylko pozostały na tym domku. Zabiorą go nam za długi, zabiorą...

— Nie mówmy o tém, przerwał Konrad, da się dom może ocalić, zapłacę ja; ale jak powiemy o tém Cazicie?... jak ona to przeniesie?... Jesteścież pewni, że Zeno zginął? Może go gdzie u brzegu uratowano, może chory leży?... Ileż to było takich wypadków, że po latach już, za zmarłych mian, wracali maryna-

rze do domu, gdy ich już oplakała rodzina?... Czy zginął pewnie?

— Ale przecież nie kłamałby stary Toro, który ocalał, wrócił i najmuje się już teraz tylko do cudzych gondoli, wożąc po kanale... Zobaczycie go sami, stoi obdarty biedaczysko przy Calle Anunziata. Toro mówi, że trupa na oczy swe własne widział, poznał go po sukniach i po włosach, ale to było w chwili, gdy sam się ratował jeszcze. Na głowie krwi dużo... na twarzy... Śnądź, gdzieś nim fala rzuciła, bo pływał tak, że gdyby był żył, uratowałby się był pewnie.

Konrad stał przygnębiony, martwy... Drżał na myśl tę, że po jego twarzy, smutku, Cazità nieszczęsną odgadnie nowinę.

— Cóż z nią zrobimy! zawołał.

— Nic jój mówić nie potrzeba, przerwała ciotka musimy przestrzedz Tora, żeby się gdzie skrył i nie wygadał! Ona się powoli domyślać może... przygotowuje do nieszczęścia; niech na nią jak piorun nie spadnie.

— Ale czy nie więcej znuży ją niepewność, domysły, podejrzwanie? mówił Konrad.

— Zostaw to mnie... ja będę wiedziała, jak z moim dzieckiem postąpić, przerwała ciotka; ty siadaj do gondoli i pływ... wyszukaj Tora, każ mu się skryć, daj mu na życie, bo Cazità wyjedzie, spotka go, a zobaczywszy domyśli się wszystkiego...

— Cóż jój powiecie, gdy wstanie? spytał Konrad.

— Zem cię posłała do miasta... Przywieziesz z sobą chleba, owoców, wina, ryby... u mnie w domu nie ma nic... odrobina oliwy, sałata z ogrodu... ot czém żyłam od kilku miesięcy, bom nie sprzedawać nie śmiała ze sprzętów, a nie było grosza... coraz ciszej

poczęła ciotka Anunziata. Ale dla mnie to nic... ja tak bardzo jeść nie potrzebuję, a czasem też zapraszali mię na fryturę sąsiedzi...

Wpatrując się w twarz jój Konrad dostrzegł teraz dopiero, że głód jednak zostawił na niej ślady; była żółtsza niż kiedykolwiek i bardziej niż kiedy wydawała się zgrzybiałą.

— Jedź, jedź zaraz, rzekła do niego, a powracaj prędko, nim się dziecko obudzi; nie trzeba, żeby się rychło domyślić czego mogło.

Konrad niedobrze wiedząc co czyni i co się z nim dzieje, pobiegł ku brzegowi szukając gondoli. Nastąpiła mu się prędko, przewoźnik był znajomy, stary Mazino... Popatrzał on na niego i powitał kiwnięciem głowy smutnym.

— Dawności tu?

— Tylko co przybywam... rzekł Konrad...

— Ale wiecie już zapewne wszystko, dodał Mazino. Każdy co znał kapitana, żałuje go, dobryż-bo, dobry był człowiek!! Świeć Panie jego duszy!... Zginął, jak morsey ludzie giną prawie wszyscy w końcu. Morze długo przebacza, ale nie daruje nikomu na ostatku, trzeba się słonej wody napić...

Oggi figura,
Domani in sepultura!

Tak! tak! eccellenza! Szkoda i jego, i statku. Statek był dobry, chodził żwawo i lekki był jak piórko.

Konrad nic nie odpowiedział... Wysiedli na Rivie, a ledwie kilka kroków uszedłszy, dość żywo uczuł się potrąconym przez przechodnia i obejrzał...

Chłopak, który się o niego biegnąc uderzył, obrócił się także... Niby znajoma jakaś twarz i rysy, ale których od razu przypomnieć sobie jakoś nie mógł, zastanowiły Konrada.

Odarte chłopię stanęło także i krzyknęło... Dopiero wtedy poznał pan swojego dawnego węgrzynka, ale *quantum mutatus ab illo!*

W istocie trudno było w znędzniałej; bladłej, schudzonej istocie domyślić się żwawego, rumianego, wesołego dawniej chłopaka.

— Maciek! zawołał Konrad nie dowierzając oczom swoim: to ty!?

— A! to ja! to ja! ze złożonymi rękoma zbliżając się do niego krzyknął chłopiec, cały drżący z radości i uczucia. Pan tutaj? dawno?

— Od wczoraj!

— O może ty miły Boże! a toż szczęście, że ja pana potrącił a napotkał, i że go oczy moje widzą jeszcze, a tak mi też tęskno było do was, ba! do wszystkiego... do wszystkiego.

— Cóż! jak ci tu Maćku? coś mi nieszczególnie wyglądasz? czyś chorował?

— Nie, nie, proszę pana, jękając się rzekł Maciek z jakąś dumą; niczego mi, niczego, owszem dobre, nawet bardzo, ale tak... mówią, że to człowiek chudnie przez to, że rośnie...

Spuścił głowę pomieszany, Konrad przybliżył się chcąc mu się lepiej przypatrzeć, z Maćka cień ledwie został.

— Spodziewam się, żeś miejsca nie stracił; możeś się nawet już i wyzwolił, i ożenił?

Maciek poskrobał się starym obyczajem po głowie.

— A! gdzie zaś! proszę pana, od onego to czasu dużo się, dużo zmieniło, ta i o ożenku ani myśleć.

— Cóż się stało?

— E! panie, ta dziewczka to nie półdyablę, ale dyabeł cały, niech ją wciórniastki porwą, bodaj świata nie widziała!

— A nie klniejsze tak Maćku!

— Co tu kłać, proszę ja pana? jaby mi ją zabił, gdybym mógł, tyle się przez nią ucierpiało i cierpi... A co majster nabiedował... I co pan powie? jak nam obu za skórę zalala, ano... ot oba tę niegodziwą tak kochamy jak utrapieńcy... i na to nie poradzić.

— Mówiłżeś, że zabiłbyś ją?

— Zabiłbym zabił, proszę pana, a kochać człek kocha do waryacyi.

— Szczęście jeszcze, żeś się nie ożenił; ale coż się tam z wami stało? zapytał Konrad.

— E! inoście tylko państwo wyjechali, począł wdychając Maciek, jam stanął u majstra do roboty. Ona miała do klasztoru se jechać, ale to się ścigało, ścigało, bo jejmościance nie było do smaku. I mnie też z razu w to graj, mogłem się czasem zobaczyć, a no i pogadać, bo się już tu włoszczyznę przegryzać po trochu zaczęło. Wabiła bestya oczyma jak na wędę, lgnęło serce, lgnęło... Przysiagliłbym był też, że mnie kochała. Ano, wszystko to były zdrady, bo dawno miała innego kochanka i nie takiego, coby się z nią mógł ożenić, tylko wielkiego pana, do którego się wkradła tak zręcznie, niby do kościoła... niby na odpust, a to sam, a to tam, że nawet ojciec się nie

nie domyślał. Jam tam był piąte koło do wozu na zapas ino, żeby mi się kim zastawić było w biedzie... Nierychlom się dowąchał, bo mnie tak trzymała na łańcuchu, a wierzyłem tej pokusie jak rodzonemu ojcu... Trwało to długo, aż jednego razu idę ja od majstra posłany przez te uliczki co za Merceryami się wklajają; patrzę, stara baba w lachmanach na czółenku u brzegu prosi jałmużny, bo ono tu taki zwyczaj, że za jałmużną pływają, jak gdzieindziej chodzą. Czółenko było stare, odrapane, dziurawe, pozatykane klakami ze smołą, aby w niego woda nie szła, a biedoty na nim, lachmanów kupka, a przy nich staruszka garbata... istna śmierć koścista, a na nich wnuczka jej krzyczy w pieluchach z głodu. Tak mi się z tej baby przypomniała wieś nasza i stara Marcinowa chodząca po jałmużnie, ta i nie wiedzieć jeszcze jakie rzeczy, tam swoje, że mnie litość wzięła okrutna i dałem jej groszaka, mało mnie w rękę nie pocałowała. Otoż nie, poszedłem za interesem, ta i wróciłem se nazad. W tydzień znów na inném miejscu, patrzę, stoi czółenko z babą u brzegu... dziecko krzyczy znów, tkuła mi Marcinowa, dałem grosz: „Módl się za moich staruszkę.“ No! i zapomniałem o nięj. Po tygodniu albo i więcej, trzeci raz mi się nawinęła, kiedym chciał dać jałmużnę, aż ona mnie za rękę z czółna: — „Stój, poczekaj!“ mówi. — „No, a co?“ pytam. — „Za jałmużnę jałmużna, poczeiwy chłopeze, rzekła. Wszakżeś to ty ten, co terminujesz u Naniego, a starasz się pono o Maryette? Polaczek? nie prawdaż? ludzie mi tak mówili.“ — „Ano, tak, prawie, co co?“ — „Określiła głową jakby się litując nademną... „Oj także mi cię, żal!“ zawołała. — „Dla czegoż znów żal?“ — „Ino mi ci się serca krawać nie chce, a powie-

działabym ci coś“...—, „To mówcie, rzekłem, jeśli z dobrej woli.“— „Z najlepszej, powiada, kocham cię jak syna, boś poczciwy, a kamień sobie do szyi wiążesz.“ Słucham ją i dziwuję się strasznie: co to jest? a ta mi szepce:—, „Chcesz wiedzieć prawdę? Pójdź jutro o godzinie ranniej, weź gondolę zakrytą i zamkniętą, a pływaj podług palacu Vittorinich, i patrzaj się—no dobrze, co się tam dzieć będzie.“

I to rzekłszy, baba, kijem się odepchnawszy od brzegu, popłynęła sobie dalej, a jam stał, jakbym w kamień wrósl. Myślę sobie: co to jest?... Kie tam lichu w tym palacu? co to ma do mnie? Ale kiedy baba gada... wie co mówi, potrzeba tę rzecz przegrzebać. Już mi do jutrzejszego dnia czekać było jak rybie na ruszcie... ani jeść, ani spać, tylkom myślał, co ja tam za biedę zobaczę? O godzinie, jak potrzeba, biorę gondolę i płynę, ledwiem się u majstra wyprosił... Oczy wytrzeszczam, serczysko bije gdyby młotem.. aż tu druga gondola za mną śpieszy i tuż pod wjazd sklepiony, jakby do domu, aż ku wschodom dopływa, a z niej wysiada... Maryetta, i wprost ot tak, na ręce młodego Vittoriniego, który ją w pół ująwszy, poprowadził się razem na górę. Tchu mi zabrakło, kiedym to zobaczył... Zrozumiałem co baba mówiła, ale nie wierzył oczom; czekałem godzinę, dwie, trzy, nareszciem się wymęczywszy doczekał, że jejmościanka taż samą gondolą, jakby nigdy nie, odprowadzona przez tamtego, siadła i odpłynęła. Wysadzili ją pod placikiem, ino skoczyła na brzeg, ja w ślad za nią. Nie chciałem w domu przy ojcu historyi jój robić... i gadałem... „Czekaj! gdzieś bywała?“ Ta mi się uśmiecha i prawi, że w kościele. „A piękny mi to kościół! o’w’o wiem, wiadom, jeszcze o takim slychu nie było.“ Zac

niał się, a spojrzawszy mi w oczy, jak mię palnie z przeproszeniem jegomości, po pysku... „Trutniu jakis! zawołała, to ty mnie psie N. Panny szpiegować będziesz!... Jeszczem za ciebie za mąż nie poszła! prawa do mnie nie masz!...“ I pobiegła, a jam został jak głupi... Co tu robić? Ojeu powiedzieć, to ją zabije, albo co... milczeć nie mogę; ścierpieć tego się nie godzi... porzucić ją... aż się serce drze. W jednej téj chwili, proszę pana, poznałem więćej boiu i frasunku, niż przez życie całe. Choć idź, i utop się!... Powlokłem się do majstra, jeszczem od niego dostał pamiętne za zbawienie tyle czasu... Siadłem do roboty, ale gdzie mi tam do niej! Szydło palce kole, a dratew chodzi, by opętana. Wieczorem ino uchyliła drzwi i rzuciła mi przez szparę: „Muszę mówić z tobą.“ Czekałem tylko, by majster odszedł, i choć mi było pod plagami zakazane na górę do niej chodzić, smyknałem. Patrzę: siedzi i płacze, ale tak, jakby nie ze smutku, ino ze złości. Ledwiem na próg... wstała, podeszła, mówi mi tak: „Słuchaj psie jakis, słuchaj niegodziwy! jeżeli ojciec się dowie, jutro ty żyć nie będziesz... nóż w serce ci tak wbiję, że Jezus Marya nie rzekniesz, i z kamieniem u szyi powiezie cię ktoś pod *murazze* i zatopi... Nikt w świecie wiedzieć nie będzie, co się stało.“— „Gęby nie umiałem otworzyć... „Czy się ze mną ożenisz czy nie, jak ty sobie chcesz, mnie wszystko jedno, znajdę dziesięciu na twoje miejsce, ale jeśli piśniesz, gotuj się na śmierć!... Aż mi się lzy z oczu potoczyły, bom ją kochał, Bóg widzi, szczerze a poczdwie, i miałem ją też za uczciwą; więc jak nie wezwać się z nią certować, prosić, to, owo, myślałem, że w niej co obudzi, ale ta w śmiech tylko ze mnie. „Cóżes to ty myślał, powiada, smyku jakis bezwasy,

że to ja się w twojej mlekiem powalanej brodzie rozmiłuję?... albo mnie to iść za szewca? Przypatrz-no się, czym to ja nie na co lepszego stworzona? Jeśli się on ze mną ożenić nie zechce, albo nie będzie mógł, znajdę męża łatwo...“ Jąłem ją pytać po co mnie było zwodzić? a ta plunawszy, powiada:— „Kiedyś głupi, pokutuj.“ Jeszcze mnie zbezczescała, proszę pana, do ostatniego. Wyszedłem gdyby z łaźni, głowę do reszty postradawszy. Nazajutrz stary szewczysko spostrzegł, że się coś niedobrego święci... ale go zbyt ni tém, ni owém; myślał, że to sobie zwykle termedye, jak to bywają koło kochania, a jam też milezał.. Trzeciego czy czwartego dnia jakoś się jej litość zrobiła nademną, poczęła być łaskawszą, a trzęsła mną, jak sama chciała, bobym był za uśmiech jej mało nie życie dał. Otoż jak się owo nieszczęście poczęło, myślałem, że tego dyabła swojego porzuci, ale gdzie zaś!.. a mnie trzymała istnie jak psa na uwięzi, żeby oszczekiwał podwórko. Tymczasem ojcu ktoś szepnął... nicem ja o tém nie wiedział. Ojciec wpadł na górę i zbił ją na śmierć. Na krzyk wpadłem bronić; dostało się i mnie od niego, a co gorsza, nazajutrz, kiedy idę wieczorem nie myśląc nic, aż mnie polaskotał ktoś pod żebro tak, żem padł, pożeǳnawszy świat boży. O włos chodziło, by mnie nie zabił, a co się krwi słyszę wytoczyło, starczyłoby konia napoić, jak ludzie mówili. Przecię Matka Miłosierdzia ratowała, ludzie nadeszli i nie dali mnie wrzucić do gondoli, bobym był pewnie na dno morskie popłynąć czekać dnia sądnego. Jakoś się w szpitalu św. Rocha wykrobałem, a Maryetta przyszła mnie przeprosić, bo się dowiedziała za późno, że ją kto inny wydał, nie ja... i żał się jej zrobiło, com dla niej tak

eierpiał... Mogę powiedzieć, że mnie ona do życia przywróciła dobrém słowem; ale już od tego czasu do siebie przyjść nie mogłem, a dyablica jeszcze mi gorzej znów w serce się wpiła.

— Cóż się z nią stało? zapytał Konrad.

— A cóż?... ojciec odesłał do klasztoru, a na drodze ją odbili, i nie wiadomo gdzie uprowadzili. Ja myślę, że tu jest, tylko się ukrywa. Stary mało nie oszalał. Bardzo się nieboraczysko przywiązało do mnie, bo kochamy ją oba równo, choć tego kochania niewarta.

Konradowi pilno odejść było, aby co prędzej do żony powrócić, i chciał biednego Macka pożegnać, ale chłopak z płaczem się niemal uchwyił dawnego pana.

— Mój jegomościuniu! mój drogi! nie pozbywajcież się mnie. Już kiedym ja was zobaczył, zawołał, to biegnę dachem do majstra o pozwolenie i powracam, żeby być przy was i z wami... A! panie! panie! żeby nie ta dyablica, czy jabym był pana porzucił?... Nie wiedziałem ja, co to kosztuje do swojej ziemi tęsknić! Hem to ja noey bezsennych przepłakał, przeklinając i ją, i tę jej Wenecyą... bodaj ją morze zatopilo! Pachniał mi czasem chleb nasz, aż się człek ubeczal jak dziecko... śniły się drzewa nasze i pola, i pastuszków pieśni, i stare chaty, i stara bieda... a gdyby nie ta woda, toby człek czasem oszawszy chciał był lecieć do swoich... Oj oczy te panie! oj czary, czary, bo to nie może być innego, tylko mnie ona urokiem obrzucić musiała... to pewna... A tu nie było go komu zdjąć, takie babska głupie.

Popatrzawszy na gondolę, którą mu pokazał Konrad, w skok rzucił się Maciek do swojego majstra

o pozwolenie, a Konrad poszedł szukać majtka, którego niełatwo znalazł.

Pokazano mu go nareszcie w lachmanach, odarte-go z posiwią, nieogoloną od kilku dni brodą, wspartego o mur i wygrzewającego się na słońcu. Toro był jakby zgnębiony na umyśle dola swoją; mówić mu było ciężko, słowa z ust wychodziły powolnie i niebardzo powiązane z sobą.

Zrozumiał wreszcie o co go pytał młody człowiek, i czego od niego żądał.

— Jesteś pewien, że kapitan zginął? dodał w końcu Konrad; — że się nie uratował, lub że go nie uratowano?

Pomyślał długo Toro, i ramionami ruszył.

— Jeśli umarli wracają, to i on na świat może powrócić, rzekł. Zeno nieboszczyk pływał jak ryba, ale skroń miał rozbita, okrwawiona... a gdym na trupa trafił, to go już woda nosiła i rzucała nim jak drzewem, a twarz miał zieloną, trupią. Nie! nie! rzekł: nie może on żyć! Z nas wszystkich jednego mnie Pan Bóg ocalił tylko, abym miał czas za grzechy odpokutować.

Konrad dał biedakowi na życie i polecił, aby się nie pokazywał nigdzie, przynajmniej przez czas jakiś.

Toro patrzył na pieniądze, głową kiwał w milczeniu... Nie mógł sobie wytłómaczyć, czego chciano od niego.

— Wszystko to dobrze, mówił: ale to tak nie może być... Ja za żadne w świecie pieniądze zamknąć się nie dam, ino wam powiadam gdzie będę, abyscie unikali tych miejsc, bo na niewolę to się ja nie zgody, a i do kościołów chodzić muszę.

Nakupiwszy co było potrzeba do domu, Konrad powrócił do swjej gondoli, która na niego czekała. Tu zastał już nie tylko Maćka z węzłkiem pod pachą, ale i starego szewca, który przez ten rok niespełna tak postarzał, jakby mu ich dziesięć przybyło.

Nani wyciągnął do niego rękę z czapką milezący, a z za okularów łzawemi spojrział oczyma.

— A co? wyście też z powrotem! Hej! hej! paneczku! kogo to miasto raz, pochwyci tego już nie puści nigdy, podobno aż chyba na cmentarz. Patrzycie na mnie... hej! hej! widzę ja, widzę, myślicie: „Stary się posunął.” Ale i wam tak z oczu patrzy, jakbyście też niespełna byli szczęśliwi... A wasze teścisko... dobry człek... ot! po nim. Tak to z nami... mój dobry panie... aby do końca!

Westchnął, splakawszy się starowina.

— Maćka wam pożyczam, rzekł; ale mi go oddacie, to moja jedyna pociecha. Poczciwe chłopczyko! jeszcze z nim człek choć o swoim kraju pogada, wystęka się, to i na sercu lżej, biedy się zapomni.. A muszę też panu powiedzieć, że z niego będzie rzeźmieślnik jakich mało.

I poklepał go po ramieniu.

Maciek pocałował w rękę starego, ale już skoczył do gondoli, i byliby zaraz odbili od brzegu, gdyby ich z dala poznawszy, nie nadbiegł *il gran ladrone*, stary znajomy Zanaro, szlafmycą potrząsając w powietrzu.

— Eccellenza! eccellenza! wołał: a niechże mam to szczęście choć was powitać na ziemi ojców waszych znowu. Jakże zdrowie? jak humor i dola?

— Ano, jak widzicie... signor Zanaro... wdychając rzekł Konrad.

— Pojmuję... zmartwienie z powodu zgonu tego nieoszacowanego kapitana Zenona—pokój jego zacnej duszy! tak! tak! szkoda wielka. Długów słyszę zostawił mnóstwo, więcej niż ich stara domina dźwignie.

— No? a u was, signor Zanaro... dobrze wszystko?

— Ja! eccellenza, mam metodę moją, żeby mi na świecie dobrze było... jest niechybna:—drwię sobie ze wszystkiego. Na świecie jak na morzu, dziś burza, jutro pogoda, wicher i cisza; otoż w burzę trzeba sobie mówić, że nie potrwa, a wśród ciszy spodziewać się wiatru.

— Wszyscy zdrowi?

— Chwała Bogu, ale jakże? byłeś eccellenza tu u nas, gdy pierwszą żonę utracił?

— Jak to? zmarła? spytał Konrad.

Zanaro skłonił głowę na piersi, ręce złożył, westchnął, i podnosząc oczy ku niebu, rzekł cicho:

— Powołał ją Bóg do swęj chwały; a nie ma co mówić, jeśli ją tak śpiewać będzie jak za młodu śpiewała... Głos miała śliczny... aniołowie dylettanci słuchać go będą z rozkoszą.

— Signor Zanaro już się miał czas powtórnie ożenić, rzekł szewe mruczając.

— Stój i nie sądz bliźniego twojego, nie chcesz-li być sądzonym, odparł Zanaro. Cożem winien, że we cztery tygodnie byłem zmuszony, mając nóż na gardle, ponowić śluby? A możeż być gospoda bez gospodyni? nie było podobna! Gdybyś zresztą wasza eccellenza chciał się pofatygować do slugi swojego i poznać nową żonę moją, oddalibyście sprawiedliwość gustowi mojemu. Jest to piękność znakomita... Między nami mówiąc, w gospodzie nieobojętą jest rzeczą piękna gospodyni... człek zawsze lubi patrzeć na areydziała bo-

że. Otoż moja ukochana Ludovisa... może się nazwać areydzielem; Pan Bóg z Fidyaszem się musiał radzić, gdy ją miał stwarzać.

— Pozostaje winszować tylko i złożyć życzenia, rzekł chcąc się go już pozbyć Konrad. Pokłońcież się i córce waszjej, signor Zanaro, pięknej Madeloncie!

Na te słowa gospodarz Krzyża Maltańskiego skrzywił się i głową odwrócił.

— Nie wspominajcie mi o tej niewdzięcznicy! zawołał. Dziecko wyrodne!! ktoby się mógł był spodziewać! Nie miała lat piętnastu spełna! ale chytróść i przewrotność była nad lata! Wystawcie sobie eccellenza, trzeciego dnia po ślubie moim z cudowną Ludovisą... pod pozorem, że macochy znieść nie może (a była to zazdrość niewieścia o piękną twarz mojego anioła), Madeloneta... szatańska, zabrawszy zręcznie wszystką gotówkę, klejnoty matki, srebro, suknie, ruchomości kosztowne, z podłym histryonem uciekła... słyszę do Bergama. Gdyby się z nią był choć ożenił, ale i to nie... Wydziedzyczyłem ją na wieki.

Po ukończeniu tej historii, mogła nareszcie gondola odplynać. Zanaro z szewcem poszedł powoli do Krzyża Maltańskiego.

Konrad zadumany siedział; Maciek patrzył mu w oczy, nie śmiał pytać, ale mu język paliła ciekawość.

— Już to, proszę ja pana—rzekł—teraz nie będę męczył, ale jak później, to mi pozwolicie popytać, co tam u nas się dzieje?... A! żebyście wiedzieli jak mi to pilno o wszyściusieńkiem z panem się nagadać!

— Pogadamy... odparł Konrad z dobrodusznym uśmiechem... bądź spokojny, nie pożałuję ci słów... bo mi i samemu miło będzie choć myślą tam uciec na chwilę.

Przybywszy, znaleźli Cazitę już rozbudzoną... w słomkowym kapeluszu, w dawnych swych sukienkach wybiegła się witać z ogródkiem... z kwiatkami... ze starą cytryną i winną latoroślą u ściany... z kamykiem, na którym siadać była nawykła... z obrazkiem Madonny wmurowanym w płot zagrody. Śmiała się, śpiewała, gadała, ale czasem stawała zamysłona i łzami zachodziły jej powieki, trwoga jakaś i niepokój o ojca ogarniały ją.

Konrad zbliżył się do niej, usiłując przybrać postawę wesolą. Cazita uściśnęła go serdecznie i rozplakała się.

— Tyś nad wyraz dobry, rzekła,—a ja teraz wiem, jak tęsknić musisz do swoich. Ale wiesz... ciężki, straszny sen... przebudził mnie. Śnił mi się ojciec, straszliwie, okropnie blady, ze skronią skrwawioną, z piersią rozbitą... boję się o niego. Jutro pójdziemy do *Salute*, damy na mszę, aby nam go Bóg powrócił.

Konrad nie odpowiedział, tylko głowy skinięciem.

Ciotka już się nieco była ożywiła, wzięła Maćka w pomoc i krzątała się w zastyglój kuchni około obiadu, dobywała prowizye, wymyślała potrawy, cieszyła się, że kochaną siostrzenicę już będzie miała czem przyjąć. Czasem jednak odszedłszy do okna, ocierała łzę fartuchem...

Konrad rzucony znou w ten świat, którego życie poślubił razem z Cazitą, dźwigać je musiał, ale po mężku. Wiedział dobrze, iż niecierpliwosć i zżymanie się na losy po niewczasie, jeszczeby nieznośniejszymi uczyniły pęta, co go ścisnęły. Starał się

więc z twarzą, jeśli nie duszą wesolą, iść dalej, dobrze nie wiedząc, dokąd go miłość dla kobiety zaprowadzi.

Najprzód po cichu trzeba się było postarać o spłacenie długów ciężących na domku kapitana; napisał więc do starego Pukały, zaklinając jego, brata i siostrę, aby potrzebną sumę w jak najkrótszym czasie mu dostarczyli. Nie było to tak łatwo, jak się zdawało, ale Konrad gotów był nawet zadłużyć wioskę, byle starą ową murowankę, którą jego żona tak kochała, ocalić. Strzegł też, pilnował, stróżował dokoła, aby wiadomość o śmierci ojca i rozbiciu się statku, do Cazity nie doszła. Było to dość trudnem, gdyż z każdym dniem niepokój o ojca się powiększał, domysły i smutki rosły, pytania się mnożyły, a nie wszystkich uprzedzić było można, aby milczeli.

Statek *Padre Antonio* niejedną już raz bardzo był długo w drodze, wieści nie dając o sobie. Zatrzymywany był wiatry przeciwnemi, oczekiwaniem na ładunek lub dalszą jaką wycieczką, ale zawsze o nim choć jakaś wieść przychodziła. Teraz Cazita naprózno biegła na wybrzeża, posyłała do marynarzy przybywających od Wschodu... nikt jej nie o nim powiedzieć nie umiał. Smutniała biedna w tej nieustannój o ojca trwodze i nadziejach próżnych. Ciotka Anunziata powoli przychodziła do siebie, oplakawszy kapitana i wymodliwszy się za jego duszę. Cazita żyła jeszcze zawsze złudzeniem, które przez miłosierdzie nad nią pielęgnowano.

Tak dni płynęły w smutnej teraz dla Konrada Wenecyi, na strzeżeniu Cazity i na długich z Maćkiem rozmowach.

Któżby się był mógł spodziewać, że ów biedny chłopak tak wielką będzie wygnańcowi dobrowolnemu pociechą? Z każdym dniem rosła, zwiększała się tęsknica jego do kraju... Nie chciał jęj pokazywać po sobie, ale gdy się z wyschłym od smutku Maćkiem zeszedł na piaszczystém wybrzeżu Lida, chodzili często całe wieczory, spędzali długie godziny, mówiąc nie wiedzieć o czém, byle kraj swój przypomnieć. Konrad tań dobrze cierpienie, udawał wesołość i swobodę, której w duszy nie miał; ale z każdym dniem uciśniony był mocniej nieprzewyciężonym bolem po utraconym domu i życiu własném dla tego zapożyczanego, obcego, cudzego. Wenecya całkiem mu teraz obrzydła; godził się z Maćkiem na wynajdowanie w niej samych skaz, plam i niewygód... ale w domu przy Cazicie wszystko potrzeba było chwalić i ze wszystkiego się cieszyć. Cazitą, gdy ją trochę ominął niepokój o ojca, żyła swoją Wenecyą, cieszyła się nią, kwitła; a ile razy Konrad wspomniał o podróży, usta mu pocałunkami zamykała, nie dopuszczając nawet mówić o niej.

Położenie to dla biednego wygnańca coraz się nieznośniejszém stawało... Pokój, szczęście, swoboda znikły z jego twarzy; dręczył się, marniał w tój walce męzkiej, którą wytrzymywał jak Spartanin, pożerany od zwierzęcia dzikiego, co mu piersi tajemnie szarpało.

Jedyną pociechą było — gdy Cazitą z ciotką gwarzyła wesoło — wyjść gdzieś daleko z Maćkiem i o swoim kraju pogadać.

Tęsknica karmi się wszystkiém, co spotka... tak jest zgłodniała i spragniona... ogryza suchą korę, pożera liście opadłe, którychby już nikt nie tknął. Maciek był skarbem dla Konrada, choć niewiele z nie-

go dobyć można było... rozpytywał, przypominał i zawsze prawie jedno powtarzał.

Czasem tylko biedne chłopię od swojego pana, któremu służyło teraz wierniej niż kiedy, wymykało się do swojego majstra, aby tam języka dostać o Marycie... ale slychu nawet o niej nie było. Dawny kochanek Vittorini mieszkał w Wenecyi, prowadził życie wesołe i płoche; zdawał się wcale o nią nie troszczyć. Pilne śledzenie okolo pałacu do żadnego nie doprowadzało odkrycia.

I Nani też, który się był do chłopea przywiązał, przybywał czasem na Lido, gdy go przez dni kilka nie widział, aby się o nim dowiedzieć. Naówczas kupka tych ludzi razem wyszedłszy na ustroń, przegawędziła często godzin kilka nie wiedzieć o czém, ale zawsze o czémś swoim.

Dziwne to były rozmowy, zawsze prawie jedne, wiecznie się powtarzające, a przecież tak skuteczne, że na zbladłe twarze i zamilkłe usta wyprowadzały trochę rumieńca i żywe wyrazy. Maciek rozpytywał, Konrad odpowiadał, a Nani jeśli był przytomny, słuchał gwaru i niekiedy słówko swoje ze starszej przeszłości dorzucił. I parę godzin czasami spłynęło tak w słodkiém zapomnieniu terażniejszości.

— Mój jegomościuniu — rzekł jednego dnia Maciek do chodzącego po wybrzeżu Konrada — mój jegomościuniu, proszę ja pana, jeśli mnie spytać wolno, co my dalej robić będziemy?... Nie już tak życie całe dreptać po tym piasku i stękać?... a czego my się tu lepszego doczekamy?

Konrad spojrział na niego i ramionami ruszył.

— Czegóżbys ty chciał? spytał.

— Otoż to, proszę jegomości, że ja sam nie wiem, czegoby tu chcieć, żeby człowiekowi było lepiej. Pojechać precz z Wenecyi, to się człowiek znówuż po tój dyablicy zatęskni... a nuż ją kiedy sumienie ruszy, albo bieda przypędzi!...

— A gdyby? cóż? ożeniłbyś się? rzekł Konrad.

Maciek po głowie się skubnął, ramionami ściskając.

— Bogać to kto wie coby zrobił! jakby mi za płakała, toby człek za nią w studnię skoczył!

Konrad się uśmiechnął tylko.

Pochlebca Maciek zaraz inaczej pokierował rozmowę na tryb swój zwykły.

— E! proszę jegomości, która to teraz godzina?

— Dobrze z południa... za parę godzin to się ku zachodowi będzie miało.

— A tak, prawda, rzekł Maciek, — a dziś mamy jak obszył sobotę, to już jakbym widział co u nas w Robninie się dzieje. Ja myślę, że tam około siana musi być rozgardyas wielki, żeby je kiedy nie w stogi, to w kopiece pościagać wszystkie, uchowaj Boże w niedzielę deszczu. Pukało krzyczy a lata... „Pospieszajcie dzieci!“... gumienny sobie na dereszowatym się zwija... Ano pewnie już ta łąka, co pod lasem, musi być pokoszona, bo o tój porze bywało czasem w stogach stoi... ino tę na ostatek zostawiają, co najdalsza, bo tamtęj tak nie psują szkodnicy i siano lichsze, choćby sloty przysły, niewielka szkoda... Proszę jegomości, czy też Pukało zawsze w tym białym kitlu chodzi, co to, jak zapamiętam od dzieciństwa, służył mu na lato, a od prania się był pościagał, że ledwie go już mógł włożyć?

— A pewnie... odparł Konrad.

— Jakbym go wczoraj widział! mówił Maciek. Pewnie i klucze zawsze w tój samėj kieszeni, a z drugiej czerwona chustka wisi jak bywało... A co czapczyzna wytarta, gdyby mu kto i darował nową, nie włożyłby innėj... Jak sobie raz o gałąź rozdarł, a Murzynowska mu ją zacerowała... tak po dziś dzień...

— Jak ty to wszystko pamiętasz!... westchnął Konrad.

— A! proszę jegomości! ja dalipan nie wiem, dał Maciek—zkađ się to mnie bierze, a jak człowiek zacznie dobywać, dobywać, wszystko znajdzie co kiedy przypadkiem do głowy mu zaleciało, do ostatniej odrobinki... Żeby tak malować umiał jak ci, co to po kościołach i wielkim dworze (pałac Dożów) malowali, toby tak rychtyk namalował gdyby żywych i starego Pukałę z podstrzyżonym wąsem siwym, i Murzynowską w czepcu białym z chusteczką żółtą w szafranie farbowaną i szlafroku cyncowym wzorzystym, i dobrodzieja w sutannie wytartej na łokciach i kolanach,— at! at! i wiele ich tam jest... wszystkich...

A czy my tam jeszcze kiedy powrócimy? gwarzył Maciek. Żeby człek choć gdakanie starego zegara pōsłyszał, toby był szczęśliwy, wszystkoby się zapomniało, a splunąwszy na mare, możeby i te przekłete czarne oczyska z pozwoleniem, tój małpy... poszły precz... i co się człowiek dla nich wycierpiał...

Umilkli na chwilę.

Potém Konrad przypomniał, jak Maćka nieraz brał na polowanie, jak stawali kędy słomki ciągnęły, jak się zasadzali na cietrzewie i głuszcze.

Maciek znów wpadł na zimę, i sanna i kuligi, na kolędy Bożego Narodzenia, co je z rzemieślnikami odprawiał, na figle płatane staremu Pukałemu, który

wycia psów cierpieć nie mógł, a chłopcy udając je pod jego oknem, uspokoić mu się nie dawali. Co wyleci stary z bizunem na podwórze, a skropi psy niewinne, które skowycząc pouciekają, to za chwilę nowy koncert pod oknem, ale nim Dalifur z dyscypliną wyskoczy, już chłopcy po wyżkach i chlewkach... Trafilo się, że i Murzynowskię napędzili strachu, bo wierzyła w duchy, to jęj do okiennic pukali nieraz... że nieboraczka świecę po północy zapalać i do różańca uciekać się musiała.

— Żebym ja miał rozum, kończył poufale rozgadując się Maciek, byłbym ja ludzi posłuchał... Taż to proszę jegomości, stręczyli mnie wszyscy Kachnę, kowala córkę, tę, co potem poszła słyszę do miasteczka za stolarza, a była dziewczyna niczego, prawda takich bestyjskich oczu nie miała, ino siwe, spokojne, co jak się popatrzy, to człowiekowi jakoś jakby na sen się zbierało, ale porządna, stateczna i pobożna... I ojciec słyszę nie był od tego, i ludzie zmaiwali, i ona się uśmiechała niekrywo do mnie, ale widać woli bożej nie było. — Albo proszę pana Maryśka, ta co gumieny ją wziął, niczego i ta... miała trzysta złotych swoich własnych po oju, i odzież bardzo porządna, i sama gładka a rezolutna jakby z miasta. Ta mi nawet była do serea przypadła, i nosilem jęj jabłka i orzechy, i omal co do pierścionków nie przyszło... kiedy gumieny przypadł i zmówił... Słyszę nawet gadała, że byłaby mnie wołała...

Pomiarkowawszy się Maciek, że zbyt może się rozgadał, zatrzymał się nagle.

— Ale co ja tam pana będę tém nudził!

— Praw Maciu, nie nie szkodzi...

— Ano, już dość, zawolał chłopak: człowiek jak się rozgada, rozmarzy, to mu się potem całą noc mary snują po głowiznie... a tu już żywój biedy dosyć, żeby jeszcze sobie senną samemu gotować...

W takim życiu tęskliwem przerywanem chwilami cichego zapomnienia u boku Cacity, płynęły miesiące... Konrad w oczach niel, sechl i bladnął; postrzegli to wszyscy, że na zdrowiu źle było, ale się ani czuł chorym, ani na cierpienie uskarżał. Świat tylko powoli cały mu obojętniał... ochoty do życia coraz bardziej brakowało.

Cazità coraz dla niego była czulszą, wiedziona jakby przecuciem jakiems i obawą. On zawsze równie był w niej zakochany, ale milezący, przygnębiony, jakby zrezygnowany na los, który go spotkał.

Brak zajęcia także przyczyniał się do zwiększenia strapienia. Brał książki do ręki i rzucał, szedł oglądać miasto i wracał nie nie widząc, jeździł z rybakami, a zamyślony na pokładzie przesiedziawszy kilka godzin, budził się jakby ze snu, gdy nazad do łądu przybili.

Pieszczoty żony nie nie pomagały; słodkie jęj szepty koily chwilowo tęsknicę, powracającą coraz gwałtowniej do serca.

Maciek, który już znał usposobienie pańskie, jak skoro go zobaczył wysuwającego się na odludne wybrzeże, szedł za nim po cichu, powoli od słowa do słowa zaczynała się rozmowa o domu, co to tam oni teraz robią? Pukało, Murzynowska, ksiądz proboszcz, stary zegar w sieniach, stary pies podwórzowy, konie stajenne, wierzchowiec jegomości...

Godzinę i dwie pan i sługa opowiadając na przemianę, usiłowali zapomnieć terazniejszości.

Konrad nie miał w sobie siły, aby się z nięj zwolnić; naostatek tak podupał na zdrowiu i humorze, iż i ciotce Anunziacie oczy otworzyły się acz nie rychło.

Poszła raz za nim do ogrodu, i siadłszy na kamieniu pod rozpiętą winną latoroślą, rzekła do niego:

— No, dosyćśmy już tój biednej Cazity strzegłi, czas przecię z tego wyjść, nie można tak całe życie tajić przed nią śmierci ojcowskiej i zostawiać jęj w ciągłych nadziejach i złudzeniach...

— Niech się dowie, jak Bóg da; ale ja nie mam serca jęj trapić, rzekł Konrad; wy jęj też pewnie sami powiedzieć się nie podejmujecie.

— A! uchowaj Panie Boże! odparła żywo ciotka. Ale gdyby Tora spotkała...

— Róbcie sami co się wam zda, zakończył Konrad; ja się do tego mieszać nie chcę...

Rozmowa ta wieczorna skończyła się łzami ciotki Anunziaty, nie doprowadziwszy do niczego. Nazajutro rano Cazità wstała z rozjaśnioném obliczem na podziw wesola. Przybiegła w cień, gdzie ciotka była śniadanie na podwórku przygotowała, ożywiona, z oczyma błyszczącemi, niespokojna, lecz dziwnie wesola.

— Ciocin! mężul! zawołała zbliżając się: wiecie? wiecie?... doskonale nowiny... ojciec — ojciec...

Tu Konrad i Anunziata spojrzeli na siebie z politowaniem.

— Ojciec się zbliża, powraca...

Anunziata zebrała się na odwagę uczynienia jęj kilku surowych prawie przestroóg, aby w sny i ma-

zenia nie wierzyła, dodając nawet śmielęj, że wszyscy w Wenecyi źle o losach kapitana wróżą.

Ale Cazità ruszyła tylko ramionami, spoglądając na ciotkę...

— Nie śmiecież się ze mnie, rzekła,—nie dziwujcie mi się. Kochał kto z was kiedy jak ja ojca, jak ojciec mnie? O! nie! wy tego znać i pojąć nie możecie, co to miłość dziecięcia dla takiego rodzica, który mu matkę zastąpił, wynosił na rękach, przy sercu!... On i ja, mieliśmy jakby jedno wspólne życie; gdyby zmarł, jabym poczuła, jakby mi mojego pół ubywało. Słuchajcie! zawołała z błyszczącemi oczyma natchniona. Ja wiem wszystko od dawna, widzę, choć mi nikt nie mówił; wy sądzicie, że statek się rozbił, że ojciec utonął, wam to mówili ludzie, a wy uwierzyliście ślepi... To fałsz! On żyje... ale przebywał i przebywa ciężką dolę... Był raniony, topiony, o mało nie utracił życia... wszystko zwyciężył, ażeby do mnie powrócić. Ten, który był sprawcą nieszczęść jego, pierwszym ich powodem,—znajduje się tu w Wenecyi. Czuję to... sprawiedliwość nie minie, powloką go na Piazzettę... i głowę mu utną.

— Kochana moja, przerwał jęj Konrad prawie ze strachem: ty marzysz, tworzysz sobie sny i widziadła, ludzisz się niemi, życie spędzasz w tych urojeniach, nabijasz sobie niemi głowę...

Cazità tęsknie zbliżyła się do niego i pocałowała go w czoło.

— Nie broń mi, szepnęła,—nie gniewaj się na mnie, bądź cierpliwy... przekonasz się, czém jest serce córki i jak silnym węzłem wiąże miłość dziecięcia. Bądź dla mnie tak dobrym do końca jak byłeś.

Konrad zamilkł pokonany, ale ciotka gderać zaczęła.

— Już pewnie rodzona matka nie kocha mojej córki, niż ja ciebie... Tałam przed tobą wszystkim, chcąc cię przygotować... ale nie czas się ludzi... Ojciec twój nie żyje... statek się rozbił... Jeden z jego majtków ocalał tylko... jest tutaj.

— Który? gdzie? szybko zawołała Cazità. Pokażcie mi go... potrzeba uwieźć, to zabójca!

I Konrad, i Anunziata zdziwili się gorącości, pewności, z jaką to wymówiła. Cazità niezłęknioma bynajmniej, stała drżąca tylko niepokojem, aby się jęj ten człowiek nie wymknął... O ojca zdawała się być spokojną.

Napróżno teraz starali się już całą przed nią ukryć prawdę... miała przeczucie, widzenie, jaką pewność, której nic zachwiać nie mogło. Konrad za ledwie potrafił jęj wytłómaczyć, że żaden sąd w świecie na snach opierając się, majtko ocalonego pociągnąć nie mógł. Cazità zamilkła wreszcie, palcem pokazując niebo.

— Bóg sprawiedliwy, zawołała: zobaczycie, ja więcej wiem od was... ja widuję ojca we śnie, co dzień mam wiadomość o jego zbliżaniu się do nas... on jedzie i lada chwila tu stanie... jam pewna...

Nie chciała słuchać nic więcej nawet. Ciotka Anunziata trochę słaba i przesądna, uczuła się zachwianą i gotową już uwierzyć w te przeczucia i widzenia... zamilkła. Konrad postanowił też zostawić wszystko czasowi.

Tak znów upłynęło kilka tygodni jednostajnie zawsze życiem. Konrad chodził na rozmowę ze swym chłopakiem, Anunziata się modliła, Cazità wysiadła

wała u brzegu morza, przyglądając się przybywającym okrętom, upatrując statku, który miał ojca jęj przywieźć.

— Ty marzysz dziecko moje, rzekła jęj raz ciotka, — marzysz o ojcu, choć go nie ma na świecie, a tego nieszczęścia, które ci grozi, na które codzień patrzysz, nie widzisz... Ależ to ten biedny twój Konrad z tęsknoty po swoim kraju, z nudów czy ja tam już wiem z czego, w oczach nam ginie... Przypatrz-no ty się jemu uważnie, co się z niego zrobiło!... On wyschł, wymizerniał, pobladł, zniszczał tak, że ledwie się w nim duch trzyma... a poczeiwe człeczysko ani się odezwie.

Cazità uderzona została słowami ciotki; dopiero teraz jakoś postrzegła, że poczeiwy Konrad od niej-kiego czasu chodził już tylko jak cień i widmo młodości... zaczęła płakać, ręce łamać i wołać.

— Cóż począć? co począć z nim?

— Ja nie poradzę, szemrała Anunziata: jakeście wy tam razem, to ty umierasz z tęsknoty, jakeście tu, to on... głowa pęka, a środka na to nieszczęście znaleźć nie można...

Kobiety popłakały się obie; Cazità wszakże na chwilę przypuścić nie chciała, ażeby mogli rzucić Wenecję, teraz zwłaszcza, gdy ona tu oczekiwała powrotu ojca, zawsze będąc przekonana, że on lada chwila się ukaże. Śny, widziadła, przestrogi, powtarzały się teraz coraz częściej, wyraźniej, a było w nich to szczególniej dziwnego, że się zgadzały w osobliwszy sposób z niektórymi okolicznościami, o jakich wspominał Toro. Uderzyło to i Konrada.

Jednego poranka, Maciek, który był w Wenecji, pobiegl co żywiej od brzegu do p... s... s...

mu, że słyszał na Rivie między gondolierami, iż staro Torę z rozkazu sądu zbiry poprowadzili do więzienia, jako oskarżonego przez kogoś o bunt i zabójstwo kapitana Zenona. Konrad zakazał o tém mówić Cazicie, ale niespokojny, natychmiast sam popłynął się dowiedzieć.

Pierwszy, którego spotkał, Zanaro, powitał go powinszowaniami i okrzykami ze zwykłą sobie górnolotną deklamacją, opowiadając, iż z Korfu przybyli marynarze widzieli tam ocalonego cudownie kapitana Zenona, a w skutek jego zeznań, zbiry pochwycili majtkę Torę, który do spisku na życie Zenona należał, a podobno nim przywoził.

Zanaro dodał, że wedle krążącej po mieście powieści, Toro namówił był załogę statku nalożonego bogatym towarem na zabicie kapitana, a uprowadzenie ładunku do jednego z portów tureckich, gdzie mieli się sprzedaną podzielić zdobyczą, i poturczywszy się, osiedlić. Zeno został przez nich nocą napadnięty, po bohaterkiej obronie zabity uderzeniem w głowę i rzucony w morze. Ale Pan Bóg pomścił krzywdy jego. Korsarze napadli żeglujących, którzy nie umieli się im wymknąć, i wszyscy w niewolę zabrani zostali. Toro jeden potrafił się później ratować ucieczką. Ciało kapitana Zenona wyniosła woda na brzeg, gdzie cudem do życia przyszedł po długiej słabości, pielęgnowany w niej przez litościwego rybaka. Dostał się potem na wyspę Korfu, i miał lada moment zjawić się w Wenecyi, ale wiedząc przez marynarzy o ocaleniu Torę, wprzód go zaskarżył, aby go ująć czas miano, nimby dowiedziałwszy się o nim, uszedł.

Konrad słuchając, bladł i truchlał, przekonywając się o rzeczeniu i sny Cazyty, z których się

naśmiewali, były wieszczemi. Chwili nie tracąc popłynął nazad na Lido, ale zastał żonę rozpromienioną, i już jakby wiedzącą o wszystkiém, bo znowu miała we śnie widzenie.

Anunziata o mało nie zemdlala z trwogi, dowiedziawszy się, że jej siostrzenica w istocie wyprorokowała wszystko.

Znajomi i przyjaciele Zenonów rodziny, przybywali teraz jedni za drugimi, cudownego ocalenia winszując. Cazyta promieniała szczęściem; Konrad nawet ożywił się był na chwilę, ale wesele jego wprędce ustąpiło dawniej obojętności.

Trzeciego czy czwartego dnia potem, przybył okręt z Korfu. Od Rivy de Schiavoni cała processya gondol, tłumy ludu prowadziły kapitana Zeno na Lido. Cazyta wy płynęła naprzeciw niemu.

Radość była nie do opisania wielka i powszechna... a że poczciwy kapitan lubiony był bardzo, zrobiono z tego prawie uroczystość miejską. Cały ten dzień Lido było pełne; dom nie mieścił gości.

Radość córki dochodziła prawie do szaleństwa... Anunziata rozpowiadała o cudzie, głowę tracąc.

Zeno był zdrów, ale straszliwie zmęczony i zestarzały; choroba go wycieńczyła, pozostawiając ogromną bliznę miał na skroni i piersiach, a wstrząsnętego zdrowia zahartowanego marynarza ładunku nie pozostało. Chodził o kiju, z oczyma wpadłymi, cały drżący.

Dopiero późno w noc rodzina się sam na sam znalazła w cichym domku, a Zeno po raz setny powtórzył jej swoje dziwne przygody, swoją śmierć, gdyż można powiedzieć, że z tamtego świata powracał, i powolne, dzięki litościwemu rybakowi ubogiemu, znowu żywanie. Klęskę jedną niepowetowaną nie tylko

na zdrowiu poniósł.. majątek też niepowrotnie był stracony... Zeno ścisnął dłoń Konrada, który mu dach na starość zabezpieczył swém poświęceniem.

Postrzegł on także, rozpatrując się w swym zięciu, groźną na jego twarzy zmianę, ale o tém nie rzekł słowa.

Trochę wesela zawitało znowu do domku na Lido. Cazitą zwycięzka ożyła... Na krótko wszakże... Konrad gasnął... ludzię się nie było podobna... Widzieli to wszyscy prócz niego samego. Przestrzegany śmiał się, ruszał ramionami i zapewniał wszystkich, że się ma najlepiej, że lekkie tylko czuje osłabienie.

Pieszczoty i troskliwość żony zaradzić nie mogły złemu... uśmiechał się do nięj, uspakajał ją, milezący wszakże najczęściej znaczną część dnia spędzał na samotnych przechadzkach. Czasem Maciek mu jeden towarzyszył.

Po milczeniu długim, Konrad się zwykle do niego obracał, uśmiechnięty łagodnie, zapytując:

— Maciek, co tam się u nas dzieje?

Nawet nie od razu zbierało myśli, i usiłując odgadnąć, powiadało coś o Robbinie, o starym Pukale, o gospodarstwie i dworze.

Listy przybywające z tamtąd Konrad chociaż czytał i na piersi je nosił. Ale mimo widocznego stęsknienia nie użalał się nigdy, nie okazywał już nawet gwałtownej chęci powrotu.

Baczące oko starego kapitana postrzegło wreszcie, że nie było na to innego ratunku nad powrót, a przynajmniej podróż do kraju, z któregooby nowego zaczerpnął życia. Cazierie wszakże nie chciało się opuszczać ojca.

I ona jednak w ostatku oplakawszy tę myśl samą, gotowała się do spełnienia obowiązku.

— Pojedziemy do Polski! szepnęła mu na ucho jednego wieczoru, gdy razem w ogródku siedzieli.

Konrad zdawał się zdziwiony mocno i raczej wyłękły niż uradowany zapowiedzią.

— Tak! powtórzyła Cazitą: pojedziemy do Polski. Zbierz siły, pomyśl o środkach, jam gotowa... Żał mi ojca opuszczać, ale pojedę z tobą.

Konrad ścisnął jej rękę i pocałował ją w czoło, nie nie odpowiadając. Głową tylko powoli potrząsł.

— Dziękuję ci, odezwał się po chwili obojętnie: tak! tak! kiedyż pojedziemy?...

— Zaraz, odparła Cazitą.

— Zaraz... nie... niepodobna... naciesz się ojcem, zawołał Konrad,—ja poczekam.

Trochę też od téj chwili poweselał; mówili z Maciekiem o wyborze w drogę, o podróży, o powrocie i jak tam w domu zastaną.

— To jakbym widział, proszę jegomości, rzekł Maciek. Dalifur wyleci z łysą głową bez czapki, ręce do góry podniesie i upłacze się... Murzynowska w szafranowej chustynce... Stefanek boso... z praczkarni, z folwarku, co żyje, powylatuje. „Pan! pan! pan nasz!“ A tu i ksiądz proboszcz z plebanii zdyszany leci... i po wsi rozchodzi się wieść o przybyciu... wszędy radość, wesele... Nazajutrz wójt ze starszymi powinszować powrotu! A jezioro nasze szumi sobie: pan powrócił! drzewa szmerzą: pan... bociany krzyczą: pan... sroka śmieje się na płocie: cha! cha! cha! cha! Tylko stary indyk naprzony, nie rozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzydłami sunie po piasku belkując... a ja go po czerwonym nosie: „Masz trutniu!“

Maciek się tak zapędził, że już nawet do niewielkiego indora poskoczył, ale wprędce odpadła go fantazyja. Pan śmiejąc się zakaszał mocno, musiał na ławce przysiąść; pełną krwi chustę odjął od ust. Krew zaraz potem rzuciła się raz drugi. Powlókł się do łóżka... Cazità siadła przy nim; zdawał się jej nie widzieć... Maćkowi kazał obrazek N. Panny z konfederackim ryngrafem i szablą powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał... a kiedy-niektóry zły mu poszły z powiek, to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcił.

Cazità nie odstępowała go na chwilę... całowała ją w ręce, przyciskał do piersi, pocieszał.

— To nie, to nie, mówił,— to z powietrza mi przyszło, ale po wypoczynku przemienie. Nie frasujejcie się... bądź wesola, popłyn z ojcem na przejażdżkę, to cię rozerwie.

Tegoż wieczoru w istocie Zeno zabrawszy córkę i Anunziatę, a sądząc, że Konradowi spokój był potrzebny, wybrał się z niemi na Murano do dawnych znajomych. Ledwie odpłynęła gondola, Konrad wyjrawszy oknem, zawołał na Maćka żywo.

— Słuchaj chłopcze, słuchaj! a spraw-no mi się dobrze. Płyn mi zaraz do klasztoru *Frari*, spytaj o *Padre Serafino*, a proś odemnie, aby tu przybył, bo się z nim... dodał ciszej—potrzebuję rozmówić.

Maciek spojrział panu w oczy niespokojny, ale przywykł mu być posłusznym, pochwycił łódkę i popłynął.

Przez ten czas, gdy nikogo w domu nie było, Konrad się drżącemi rękami przeodział w bieliznę świeżą, wąsa pokręcił, usiłował sobie nadać twarz i postawę

weselszą. Stojące przy sobie w szkatułce przejrzał papiery, podarł niektóre, uporządkował inne i czekał.

Nierychło chód postyszał na wschodkach. Ojciec Serafin wchodził powoli z chłopakiem, a spojrzawszy na leżącego, odgadł od razu po co go wezwano. Po przywitaniu cichem, ujął za rękę chorego.

— E! e! rzekł: młodości jeszcze w tobie wiele, dziecko moje, przyjdiesz do zdrowia, nie trać jeno otuchy.

— Ale mi dobrze, ojcie, i zdrów się czuję, tylko trochę zesłably, rzekł Konrad. Nie sądzicie, że sobie co przypuszczam, albo się lękam... Ot tak... dawnom nie był u spowiedzi, chcę się z sumieniem porachować...

Dość długo trwały zbolalój duszy zwierzenia, a ojciec Serafin pozostał przy łóżku chorego.

— Gdy moi powrócą, szepnął Konrad—nie mówciez im, że was sam wzywał; powiedziecie, że przybyliście sami pozdrowić starych znajomych.

Kapucyn głową tylko potrząsał.

— Nie doczekam ja ich tu, odpowiedział: zajadę jutro rano... dziś mnie tam w klasztorze potrzeba...

Konrad ucieszył się, widząc, że odjeżdża; wsunął mu w rękę jałmużnę; rad był, że powracający go nie zastaną.

Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łóżka.

— A która tam godzina? zapytał Konrad.

— O! już słonko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak. Bydelko powróciło z paszy, Pukało obszedłszy obory, idzie, „Zdrowaś“ mrucząc, na folwark do wieżerzy... Stefanek poszedł pewnie okiennice pozamy

kać we dworze, a na plebanii księżyna odmawia brewiarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów, co ci się tam więcej śni!

— Ano, już chyba więcej nie wiem, rzekł Maciek. Żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... Cicho! cicho! tylko ode młyna turkot słycać, jak tam koła szumią i tarkoczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... „Na Anioł Pański” dawno przedzwonili.

— A we dworze? spytał Konrad.

— Pustka panie.

— Zegar idzie?

— O! ten to się nie zająknie pewnie!

— Która godzina? począł Konrad...

— Ciemno dobrze... ino nie wiem—dodał chłopak czegoś przelekły—czemu oni nie powracają?

— Mów o Robninie, poprawił go Konrad.

— Może świecę zapalić?

— Tak dobrze... słabym głosem zawołał Konrad—przed N. Panną; zmówimy konfederacką litanie... Ale spojrz-no: czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie.

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę. Dziwnie mu się bladą wydała twarz pana; dziwne, straszne uczuł po sobie dreszcze i trwogę w duszy. Nastawił ucha; myślał, że posłyszysz plusk przybijającej do brzegu gondoli,—ale do kata cicho było jak w grobie.

Konrad zdawał się drzemać.

Na palcach chodził Maciek koło niego.

Podniosły się powieki ciężko.

— Maćku—rzekł—co tam w domu?

— Spią, panie.

Chłopak przysunął się do łóżka. Konrad chuda, koścista

rękę dobył z pod okrycia poszukał w okolo i podał mu woreczek.

— To dla ciebie, rzekł—abyś miał o czém powrócić do domu.

— A! mój panie drogi! przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

— Weź, rzekł! i daj mi rękę... taki dziękuję ci... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł, pokląkł przy nim.

— Co ty się tam trwożysz! począł Konrad: nie ma czego. Jam zdrow! mnie już dobrze... tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie, zaśpiewaj coś naszego... po cichu... ja się zdrzemię.

Maćkowi nie na śpiew się zbierało, oczy ocierał i modlił się. Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się, spojrzwał na chłopca, siadł i począł mówić słabym, ale prędkim głosem:

— Słuchaj: co tam się stanie ze mną, w woli bożej. Jeślibyś został sam, nie mieszkaj tu dłużej, jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe, ludzie inni, serca dobre, ale inne, o! nie nasze... Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli. Tam lepiej, nawet z samotnością i nędzą... Porzuć swego starego, albo go weźmięj z sobą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I znowu pochylił się na poduszki.

— Zrozumiałeś? spytał.

Maciek płaczem tylko odpowiedział.

— Co tu lży pomagą! wyszeptał chory. Nie masz czego jeszcze płakać... to babska rzecz... wstydź się...

A po chwili znowu spytał:

— Która godzina? co tam u nas robią? czemu oni nie wracają? Wszak na dworze pogoda?

— Pogoda, panie.

— Świeci księżyc?

— Jeszcze nie wszedł.

— Tu nie taki księżyc, jak u nas...

— Tak! u nas piękniejszy, potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... Chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdał usypiać powoli; ale oddech ten coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu słycać już nie było...

Bo nie było już i duszy Konrada na tym świecie.

EPILOG.

Przed gospodą *Croce di Malta*, stał z rękami na pulchnym brzuszku założonemi *il gran ladrone*, z twarzą wypogodzoną, czystym sumieniem i dobrze nabitą kaletą, z obliczem krągłym i lśniącym człowieka, który tyle chodził około kuchni w życiu, że nie mógł się w niej smaczno jeść nie nauczyć.

Ożenienie nowe widocznie go odmłodziło; usta się uśmiechały, rumieniły policzki, tylko po zbyt krzaczasto rozrosłych brwiach i kępkach włosów siwiejących na uszach, poznać było można, że Zanaro nie piętnastą, a nawet nie trzydziestą już przeżył wiosnę. Zresztą ruchawy, żywy, biegający często, aby dowieść, że lekki jest jeszcze i zwinny, i że mu otyłość nie wadzi, Zanaro tém troskliwiej odegrywał rolę młodzieńca dojrzałego, iż czuł się do tego obowiązany, mając tak piękną, młodzieńczą żonę.

Wiadomo bowiem było wszystkim na wybrzeżu słowiańskim, ba! i dalej zamieszkującym, i w ogóle

tym, co się do signora Zanara, choćby na kilka minut tylko zbliżyć i mówić z nim mieli zrzęczość, iż signora Ludovisa wyglądała jak Flora Tycyana, mąż bowiem chlubił się nią nieustannie i wchodził nawet w zbyteczne szczegóły, opisując jej nieporównane wdzięki, których był zapalonym wielbicielem.

Tym razem jednak snadź nie o żonie była mowa, bo jej pochwały śpiewać był zwykł tonem żartobliwym i wesolym, a na twarzy signora Zanara malowała się niezwykła powaga i zamyślenie; usta miał nieco odęte, czoło posępną powleczone zasłoną. Obok niego stał chudy, kościsty, stary Kapucyn, ksiądz Serafin, dawny znajomy Zanarów, i bodaj nie całego miasta. Dalej jeszcze gruppowało się kilkanaście głów ciekawych, przyjezdnych gości, dla których właśnie opowiadanie gospodarza musiało być przeznaczoną, i kilku domowników z pod Krzyża, i kilku głośną rozmową przywabionych przechodniów.

Zanaro opowiadał, przerywając sobie niekiedy głosnemi westchnieniami z szerokiej piersi wyrrywającemi się, naksztalt sapania kowalskiego miecha, i wykrzykami: *Ecco! spettate!*

— Tak jest, tak jest, mówił powoli do zgromadzonych słuchaczy: są tajemnice i przeznaczenia niepojęte, są wypadki zdumiewające, które chyba na tamtym świecie wytłómaczą się dla człowieka. To jednak pewna, że ja miewam niesłychane przecucia. Kiedym raz pierwszy ujrzał na ląd wysiadającego tego człowieka, z taką dobrą miną, z takim w sobie zaufaniem, z tą szlachetną postawą, coś mnie tknęło zaraz, że go tu spotka nieszczęście.

— Z czegoś tak wnioskował? zapytał Kapucyn.

— Z bardzo wielu rzeczy i tajemnych znaków, Najprzód dla tego, że wylądowywał właśnie dnia trzynastego czerwca, który jest dniem feralnym, a wiadomo wszystkim uczonym, iż są dni feralne, tylko nie każdy posiada jak ja spis tych dni, których strzedz się należy, aby w ciągu ich nie ważnego nie przedsiębrać... Ecco! powtóre, przyjaciel mój dobry, Beroni, człek niesłychanie mądry, a przechodzący nauką wielu professorów padewskich, chociaż był całe życie tylko ubogim bakalarzem szkółki w kwartale San Giorgio... pokój duszy jego... (Zanaro uchylił szlafmycy),—Beroni powiadał mi, że nie ma nic nieszczęśliwszego, niż gdy człowiek, który kraj swój opuści i wyrzecz się go, albo sam lub następny jego powrócić do niego zamierzają: niechybnie naówczas powierze samo ich zabija.

— Zanaro, synu mój! przerwał Kapucyn: Beroni ty, prawicie wierutne głupstwo.

— Ojcie szanowny, zawolał Zanaro, całując rękaw habitu ojca Serafina: to, co ja powiem, zwiędzie jak chcecie, ale szanujecie Beroniego, dla którego mam weneracyę największą... Był to rzadki człowiek!.. Nikt się na nim nie znał, prócz mnie!

— Mówcież dalej, signor Zanaro, ozwał się głos niecierpliwy, jak to było...

— Historia nader ciekawa, a godna, by ją dla potomności zapisały kroniki weneckie... tragedia, że jak rzekę... mówił wdychając gospodarz. *Ecco!*

Młody ów Polak miał coś w sobie, co zwiastowało, że go zle jakies spotkać musi. Na swój wiek był do zbytku poważny, zamysłony, wstrzeźmiły i namiętny w duszy... Zaraz płynąc tu do Wenecyi, na statku *Padre Antonio* poznał się i pokochał

szalenie piękną nadzwyczaj Cazitę, córkę kapitana Zenona. Gdyśmy się o tém dowiedzieli, a raczej domyślili tego, gdyż Polak ów, Wenecyanin razem, był nadzwyczaj skryty, powiedzieliśmy sobie, ja, nieboszczka pierwsza żona moja i ta niegodziwa a przebiegła Madelonetta... (która już naówczas choć nie miała lat piętnastu, dobrze w oczy mężczyznom patrzyła...) „Źle być musi... źle! źle!“ Był bowiem tak oszalał z tej nagłej miłości, która go pochwyciła jak choroba, że na żadną więcej kobietę patrzeć nie chciał. Była tu naówczas signora Zenobia Boccatorra, śpiewaczka pysznej piękności, jak dzisiejsza żona moja (lubo ta ją bogactwem form i świeżością kolorytu o wiele przechodzi)... lecz ani na nią, ani na uśmiechającą mu się Madelonettę, dziewczeczkę nieszpętną i piętnastoletnią... spojrzeć nawet nie raczył... *Ecco!*

Na Lido raz wraz do kapitana Zenona... A miał z sobą chłopaka, wyrostka, który też nie tracąc czasu, znalazł sobie na Merceryach szewców, córkę Naniego, o którym wieść chodzi, iż był także Polakiem... i w tej się też do szaleństwa zakochał, choć podówczas całemu miastu oprócz ojca wiadomo było, że Vittorini, o którym zaraz obszerniej powiemy, dawno był ją zbalamucił.

Cazitą, córką kapitana Zenona, mówił dalej Zanaro — z pomocą Anunziaty, ciotki swój, rzuciła urok na bogatego Polaka... Tak jest panowie! był to urok, a może nawet dały mu pie jakiego filtr miłosny, gdyż stare niewiasty są w tych rzeczach bardzo biegłe... przekonał mnie o tém Beroni.

Odprawiono zaraz Sabronego, narzeczonego Cazity, któremu Anunziata zaswatała wprzódce piękną Giulie (między nami mówiąc, na jego nieszczęście...). Polak

się piorunem oświadczył i ożenił... Wszyscy naówczas mówili mi: „Signor Zanaro... fałszywy wróżbicie, otoż widzisz jak się to wszystko złożyło szczęśliwie...“ A jam odpowiadał z głęboką wiarą w wielkie prawdy, których mnie nauczył Beroni: „Czekajcie, a patrzcie końca!“

Cóż się dzieje!.. Polak z Cazitą jadą do jego kraju, chłopak zakochany zostaje w Wenecyi przy Nanim i ma się żenić, a ja patrzę i powtarzam: „Czekajmy, a patrzmy końca...“

Niedługo czekałem: jak luną nieszczęścia... Matko Miłosierdzia! sprawdziły się przepowiednie moje do ostatniej kropelki.

— Jak? szanowny panie Zanaro...

— Zaraz opowiem wam to, poważnie ciągnął gospodarz. *Ecco!* Niedługo zabawiwszy w Polsce, przyjechał, aby się wyroki spełniły, Polak ów do Wenecyi z żoną... Tymczasem kapitan Zeno ze statkiem swym przepadł... ani wieści, miano go za umarłego... odprawiali nawet za niego nabożeństwa żałobne, świadkiem ojciec Serafin... a nabożeństwa te, zdaniem teologów, jeśli na drugim świecie nie zastała duszy, dla której były przeznaczone, idą do powszechnej skarboxy, dla najpilniej potrzebujących dusz czysteowych, gdyż nie przepaść nie może...

Kapucyn głową kiwał potwierdzająco.

— Gdym Polaka powracającego ujrzał, mówił Zanaro — utwierdziłem się jeszcze w mniemaniu, iż czeka nas rozwiązanie jakieś straszliwe... Miał na czole wypisaną śmierć i niedolę. Chłopcu też jego szewca nie lepiej się działo. Pchnięty był nożem z rozkazu Vittoriniego, ledwie się wykrobał, a dziewczeczka od niego i od ojca uciekła i skryła się... Słuchajcie pa-

nowie, tu się dopiero poczyna pełna cudowności przygoda krwawa i łzawa.

Zanaro otarł pot z czoła... upajał się widoczną wymową własną.

— Na raz zabity kapitan Zeno powraca i zmartwychpowstaje! Znowu zły znak... upiór z drugiego świata widocznie... za zabójstwo jego schwytny Toro, ścięty na placyku pod czerwonym ślepem graczów... początek rozlewu krwi... Ale to jeszcze nic... nie... *ecco!* słuchajcie! Ów szczęśliwy małżonek Polak, ukochany Cazity, poczyna schnąć w oczach, usychać, więdnąć jak drzewo podcięte, jak ryba wyjęta z wody... i najniespodzianieź kona... *ecco!* Młoda małżonka oddaje się niepomiernej żalości... ludzie wszyscy prorokują jej śmierć... Rzuce nieboszczykowi włosy obcięte... nader zły znak, którzy wszyscy mają za dowód przywiązania, a jest wróżbą rozbratu... włosy bowiem, mawiał Beroni, mają w sobie siłę rozprzegającą... Chłopak, który był sierotą pozostał po Polaku, szaleje po nim... całe dni i noce spędza płacząc na mogile swojego pana na Lido... jak pies wyje po nim i lzy leje... Napróżno stary Nani stara się go uspokoić, pocieszyć...

Przechodzi czas jakiś; boleść żony Polaka, młodziej i pięknej Cazity, powoli się uśmierzać zaczyna. Mówiono z razu, że miała wstąpić do klasztoru, ale ja wcześniej szepotałem, patrząc na jej wcale ładną twarzą, że raczej do zakonu Adama i Ewy jest przeznaczona... Dodajcie, iż Polak kapitana długopłacił, a signora Lippi uchodziła za wcale majątą wdówkę.

Po pewnym czasie umiera kapitan, ojciec Cazity, która pozostała sam na sam ze swą ciotką Ananzia-

lą. Pogrzeb mu sprawili, nie można powiedzieć, wspaniały, a godny patrycyusza. — Ale wdowa i sierota w żalobie poczęła się z ciotką pokazywać na odpustach... cała w czerni, co jeszcze podnosiło jej wdzięki. Młodzież za nią szalala... Zobaczył ją widocznie w kościele, choć rzadko do kościołów uczęszczał, ten balamut Vittorini, który córkę Naniego z domu rodzicielskiego wykradł, a raczej odbił w drodze, gdy ją do klasztoru wieziono. Zakochał się...

Powoli przyszło bliższe poznanie się, podobanie, aż i projekt małżeństwa... *ecco!* słuchajcie...

Tymczasem ów chłopak od szewca siedział na mogile swojego pana... Jednym razem przychodzi do niego stary Nani i powiada mu: „Słuchaj chłopcze, a miał imię Matia... słuchaj Matia... twoja ulubiona, a moja córka, piękna Maryetta, powróciła pod dach rodzicielski, żalując grzechów swych przeszłych... domaga się, abyś i ty żalobę swą skończył.. widzieć cię pragnie...

Z razu chłopak, któremu pewnie także zadano filtr jakiś, dość się opierał, nie chcąc widzieć niewdzięcznicy... i na Lido pozostał.— Gdy jednak Maryetta sama po niego poszła, dał się skusić... Wraca tedy do szewca... Maryetta łzami i chytrą starala się go przebłagać i miłość na nowo obudzić... a szło jej nie o niego, ale o zemstę... *ecco!* Vittorini miał się już żenić z wdową po Polaku... Maryetta opuszczona przez niego, szalala... *ecco!*

Namawia więc Matię, obiecując mu rękę swą, jeśliby Vittoriniego zgładził, przez co i pamięć swojego ukochanego pana i ją pomścił... Daje mu nóż w dłoń, i jątrzy...

Zbliżamy się do rozwiązania, panowie... krwawa tragedia!... straszne dzieje!...

Wiecie już, że w chwili, gdy do kościoła Frari zdążyła młoda para, wdowa po Polaku i Vitterini, na wschodach samych, z tłumu się wyrwał ktoś, i nożem w piersi pechnął nowożeńca, który padł i dotąd jeszcze do siebie przyjść nie może.

Zabójcy nie pochwycono... nie wiadomo co się z nim stało, lecz wiadomo kto nim był, nieochybnie kochanek ów Maryetty... chłopak Polaczek, mszczący razem swą kochankę i swego pana.

— A Maryetta? spytał ktoś.

— Maryetta — rzekł Zanaro — chodzi i śmieje się wesoło, pomszczona na Vittorinim i uwolniona od nudnego zalotnika, który po coltellicie zmykać musiał. Włóczy się, szukając go stary Nani, od tych wszystkich przygód krwawych dostawszy pomieszania... Tyłko co go nie widać — dodał gospodarz, — bo najmuje razy pięć na dzień tędy się mi przesunie...

— A Vittorini? spytał ktoś ciekawy.

— Vittorini wyzdrowieje: ręka była niepewna, zadał mu ranę nie wedle prawideł sztuki — studencką... wiele krwi wytoczył, wiele strachu przyczynił nieszczęśliwej Cazicie, ale to z tego wszystkiego nie nie będzie. Ślub wezmą, to pewna. Ciotka Anunziata go nie puści... a i piękna wdówka też po tej historii nie łatwo by innego znalazła, chyba by go znowu w Polsce szukać musiała.

To mówiąc, odetchnął Zanaro i obejrzał się po słuchaczach, którzy zdawali się po nim zakończenia i sensu moralnego powieści wymagać. Pojął to gospodarz Maltańskiego Krzyża i tonem poważnym dodał:

— Otoż, panowie, jak się to wystrzegać potrzeba, dni feralnych, filtrów bab starych i ludzi napiętnowanych, nieszczęście z sobą niosących.

— Gdyby to ich poznać można!... rzekł ktoś w tłumie.

— Można! dokończył Zanaro: są na to pewne znaki... Beroni nauczył mnie ich wiele. Już gdy kto niespokojny kręci się po obczyźnie i żony sobie w cudzém gnieździe szuka, presumpeya wielka, że naznaczony jest ową fatalnością, która rodzi niepokój i w miejscu usiedzieć nie daje...

— A, wszystko to balamuctwa! zawołał w tej chwili Kapucyn, — tylko ja wiem prawdziwą przyczynę tych wszystkich nieszczęść Polaka i jego chłopca, i tych, których oni pociągęli za sobą... Płynąłem z nimi na statku *Padre Antonio*, kiedy raz pierwszy do Wenecyi przybywali.

— Słuchajcie! przerwał Zanaro.

— Otoż, oświadczył mi się Polak naówczas, że miał zamiar, a może był nawet ślub uczynił, odwiedzić Grób Pański i pielgrzymować do Ziemi Świętej. Zastraszili go naówczas wszyscy morem, i ślubu nie dopełnił ani zaraz, ani później; ztąd wszystko owo nie spłynęło,

— Ma słusność! zawołał Zanaro, całując znowu w rękaw zakonnika: tak jest, i to się także przyczyniło! Pamiętam, że i przedemną się w początkach zwierzał z tym zamiarem... *Ecco!*... Ale jedno drugiego nie osłabia...

W tej chwili urwał, spostrzeżono bowiem przechodzącego niedaleko starego Naniego. Zanaro tak był rozgorączkowany, że musiał go zaczepić.

— E! e! zawołał: dzień dobry, ojeze Nani, dzień dobry!

Szwec, który szedł z głową spuszczoną i okula-

rami spadającymi na koniec nosa, odwrócił się, ruszając ramionami.

— Kto mnie śmie ojcem nazywać? spytał; czy to ty stary wole karmny... he?

— Żle! rzekł Zanaro—żle koło niego... Patrzcie jak się wyraził nieobyczajnie!

— Ojcem nie jestem, dodał Nani: bo się córka mnie wyrzekła, a zięć we krwi umyty, uszedł... Włóczęgą jestem i żebrakiem.

— Biedaczysko! szeptali przytomni.

— Ale co komu do tego? dla czego mnie prześladowajecie? gwałtownie począł, obracając się do Zanaro: czyś to ty lepszy? a twoja córka? tatku?

— Ostry jest, szepnął Zanaro.

Niektórzy się uśmiechali...

— Ej! Zanaro! Zanaro, *gran ladrone!* dodał:—gdymy była sprawiedliwość na świecie, czybyś ty dawno wisieć nie powinien?

Kapucyn się uśmiechnął, śmiał się i sam Zanaro, ale jakoś nieserdecznie.

— Daj już pokój, Nani! rzekł,—daj pokój, rachunki z szabienicą niebezpieczne...

— Dla mnie nie... o nie! odparł szewe: mnie się jeszcze coś od niej należy... a z wielką przyjemnością patrzyłbym i na twoje nogi w powietrzu.

— Fe! fe! Nani, co pleciesz! wołał Zanaro. Dość tych żartów... daj mi pokój... powiedz lepiej dokąd idziesz?...

— Szukam tego, czegoś nie zgubił; idę tam, z kąd nie przyszedłem, rzekł dziko, śmiejąc się szewe,—i pozdrawiam was ciekawych, co z biedaka szydziecie... Bodaj was ten sam los spotkał!...

Zanaro obawiając się uroku, szybko dwa p

gato wystawił *contra la jettatura*, przeciwko szewcowi, który opierając się na kij, powoli powlókł się mrużąc dalej.

Chodził tak codzień na Lido, na ementarz, wypatrując, czy tam nie znajdzie Maćka, po którym szczerze tęsknił... Ale na grobowcu Konrada nikogo nigdy już nie spotkał; nawet tamarysy i cyprys, które tam posadzili pierwszój wiosny, wkrótce pousychały, a rodzina ani wdowa o postawieniu grobowca nie myślała.

W Robbinie bowiem, wkrótce jakoś po nadeszłej wiadomości o śmierci Konrada, pochował ksiądz proboszcz starego Pukałę Dalifura, którego do trumny ubrała własnymi rękami poczciwa Murzynowska. Majątek po zmarłym w Wenecyi bracie objął pan Bolesław; ale i temu się jakoś nie szczęściło, dzieci się nie hodowały... Na nim ostatnim wygasła rodzina Lipich de Bucellis.

KONIEC.

Koniec

Białystok

POMYWACZKA.

Życie w końcu XVIII wieku, szczególnie w kraju naszym, miało barwę, jakiej dziś próżnoby w nim szukać.

Piszą, że około tysięcznego roku ery naszej, spodziewając się końca świata przepowiedzianego, ludzie zupełnie na sprawy jego zubożeli. Daje się to czuć w dziejach dziesiątego wieku zawieszeniem wszelkiej działalności; w wieku XVIII przeciwnie ludzie widzą, że ten ich świat się kończy, ale w szalach szukają zapomnienia katastrofy codzieli bliższej, widoczniejszej codziennie. W wyższych warstwach społeczności śpieszą używać bez rachuby, rzucając przez okna co się trafi pod ręką... a téj stypie ostatecznej towarzyszy suchy śmiech obłąkanego, który z zaciętością bierze się do niszczenia.

Mniejsza o pozjadane majątki na zbytkach bezmyślnych, o zmarnowane miliony, o rozproszone zapasy wiekowe i opróżnione skarbcie dziadowskie; gorszym jest to niszczenie w sobie charakteru i dostojności lat przeszłych, to dobrowolne zniżanie się

i kąpanie w rynsztokach, gdy marmurowe łożnice nie smakują.

Kraj cały wre jakimś szalem niepojętym, kobiety, młodzież i starce zarówno. Wśród téj orgii rzadki głos zwiastuje dni ciężkiej pokuty, ale nikt go nie słucha, pijani śmieją się z niego. W głębi sere nawet znać, że prorokowi wierzą, ale myślą, że gdy fatalnego losu odwrócić nie można, resztki biesiady spożyć przynajmniej potrzeba.

Od peruk i fraków rozpacz bezpamiętna na jutro przechodzi do kontuszów i konfederatek; siwe podgoleone czupryny dymią i stolica od nich się pali.

Na dnie tego zamętu są przecię i fusy saskiej epoki, pozostałości miłostek i bankietów, jest wszczepione bezprawie i pogarda staréj obyczajności. Przypatrując się bliżej Stanisławowskim czasom, znajdziesz w nich, jak w zakręcie rzeki, która wszystkie śmiecie zbiera w jeden ką, pełno nazmiatanych do kupy brudów odwiecznych, których razem na wierzech wystąpiło co niemiara. Potrzebaby analizy chemicznej, aby ich pochodzenie oznaczyć.

W obyczajach nie może się wszczepić teoria, dezorganizacya widna wszędzie; mówią wszyscy o braterstwie wedle Russa, a zbliżywszy się do siebie, odpychają mimowolnie. Na trzy wielkie warstwy, wedle usposobień moralnych, dzieli się towarzystwo: na starą masę domorośłą, instynktowo poczuwającą, że się przy dawném zachowywać potrzeba i z niego dalej rozwijać; na młode szumowiny, pragnące postępu, ale rozumiejące go jako zupełną, do głębi sięgającą reformę; naostatkiem na pośrednie sfery, które z jednej strony rumieni jutrzeńka jutra, z drugiej srebrzy

blask wczorajszego księżycy, w pośrodku okrywa pomroka...

Miasta naturalnie przodują w tém położeniu, z którego sobie sprawy nie zdają; wioski upierają się przy dawnym porządku i widzą w nim zbawienie; magnateria ze szlachtą na wsi narzeka na zepsucie, w mieście z dworem śmieje się z zadomowionych.

W pośród tego wiru istne ukazują się tuda: filozofowie bez Boga, wielcy panowie, którzy się przedzierzgają w bankierów, królewscy kucharze chorujący na arystokrację, nieokrzesane gbury cisnące się do salonów i rozpieszczeni wychowawcy pałaców szukający z nudów szczęścia pod zgrzebną odzieżą. Chwilami wszystko się to miesza, płacze, zaciera, to znowu rozpada, dzieli, rozchodzi i wojuje.

Nie ma chwili, któraby nie miała swojej jak ówczesna, *teżyzny* między młodzieżą, tylko że każda z nich inaczej wygląda. Stanisławowska niepodobna jest weale do saskiej. Przypatrzwszy się z blizka takiemu Radziwiłłowi „panie kochanku“ i księciu Józefowi, dostrzeżesz tujedne odcienie, a bohater, co zginął pod Lipskiem, sam do siebie w różnych dobach życia nie jest podobny.

Na jego twarzy, którą wizerunki ówczesne podają nam wesołą, ożywioną, częściej niż się zdaje osiadała gorycz znużenia i tęsknota nieprzemierzona, przecucie zgonu w pełni sił, tragicznego, nagłego... Sta- je on przed oczyma naszymi w téj burce tradycyjnej, z dumnie odwróconą twarzą, z pogodą na czole. Takim przecię nie był zawsze; podźwignąć się umiał na placu boju, ale, w samotnych godzinach, gdy spojrzal

w nierozwiklaną przyszłość własną, gdy się stawał człowiekiem w obec siebie, na te powieki iskrzące się męztwem występowała ła przezroczysta.

Ale się wstydził przed światem tój słabości ludzkiej, i w ulicach Warszawy pędził cwałem, powożąc się sam, z pogardliwym śmiechem pustaka, szalenie szczęśliwego człowieka... Ulubieniec kobiet, wzór niedościgniony młodzieży, książe Józef był w istocie nieszczęśliwym, choć się w męczarniach uśmiechał; brakło mu wiary w życie, i jak człowiek zrujnowany, co bierze z kapitału, żył i on moralnym kapitałem swoim, bez rachuby na dzień jutrzejszy.

Na nieszczęście z tego życia, nad którym psychologiczne badanie byłoby niezmiernie ciekawym dodatkiem do rysu epoki, pozostały nam tylko ułamki, podania, legendy, a mało takich danych, któreby rozświeciły wewnętrzny stan duszy człowieka. Wszakże i z tych drobnostek, niekiedy charakterystycznych, dają się odtworzyć pewne momenta tój biografii, choć mniej dla historii znaczące, dla poznania człowieka i czasu ciekawe.

Tak wśród mglistego dnia w górach, gdy chwilami wiatr chmury rozedrze i słońce wierzchy ozłoci widzisz je zawieszane gdzieś w obłokach, wśród tułmanów, i po tych częściach całego olbrzyma Alp, śniegami wiekuistymi okrytego, domyślać się możesz.

Wyobraźnia dosnuwa obrazu okrytego płaszczem mgły nieprzebitój.

Trucizną, która wyżerała serca i wypróżniała pierśsi młodych ludzi owego czasu, było zwątpienie i przedwczesne wyżycie się. Z tego to płynęła owa *teżyżna*,

to rzucanie się pozornie namiętne, w istocie rozpaczliwe, na niemożliwe wyciśnienie z życia jakiejś upajającej treści. W epokach normalnych, to co żywot dać może, starczy człowiekowi i nasyca go; w podobnych przesileniach ludzie szukają po za krańcami możliwości upojeń, dziwnych wzruszeń i rozkoszy. Zład idzie miotanie się gorączkowe, które w historii obyczajów zawsze znamionuje chwile ciężkich walk i przejścia.

Orgie XVIII wieku nie czém inném są, tylko takim upędzaniem się za wytworzeniem czegoś nowego, czego życie zwyczajne dać nie może; żądano od napoju, od miłości dziwnych, od uciek sardanapałowskich, by przeistoczyły warunki istnienia, by rozszerzyły granice nieodwołalnie naznaczone człowiekowi... Chleb razowy życia nie starczył głodowi ogromnemu: wypiekano ciasto z manny, ze spadających z nieba krolepek rzadkich, nawet w ich niedostatku z błota ulicznego.

I kończyło się na tём, że po niestrawnym pokarmie głód był większy jeszcze, choroba sroższa... szal stokroć straszniejszy...

Książe Józef był człowiekiem swojej epoki; wystawiał może dobitniej niż inne indywidualności, jej stronę piękną, szlachetną; zarówno poryw jej ku ideałom i chętki chorobliwe, pragnienia serea i szaly zmysłów rozdrażnionych. Za weześnie poznawszy wszystko, co życie dać mogło, nie smakował już w niczém, i szukał czegoś więcej, sądząc, że pragnienie nietyle dowodzi *gorączki człowieka, ile istnienia napoju*. Naprawdę piękne panie owych czasów usiłowały go sta-

lę przywiązać do siebie; wabiła go wszelka nowość zaglądał w oczy każdej przybywającej, lecz prędko jednostajność wrażeń odpychała go, nudziła forma taż sama, w głębi toż samo wrażenie, te same powtarzane codziennie słowa, płochości jednakie... Te setne edycje jednej książki już po okładce mógł poznać i czytać ich nie pragnął. Życie nie umiało mu dać nic nowego... Prostota, serce szczere, świeżość wrażeń byłyby go nawrócić mogły; ale gdzież je spotkać miał, wśród tej sceny pełnej wyuczonych od pieluszek aktorów?

Po tych dniach spędzonych na rozrywkach nierozrywających, na niespodziankach spodziewanych, następowały wieczory do dni podobne, a po powrocie do domu, długie często godziny rozmyślań i apatyi...

Aby pojąć i samego księcia Józefa, i tę społeczność, której on był wytwornym owocem, potrzebaby się jej przypatrzeć z bliska i beznamiętnie, oczyma dziejopisa niemającego ojezyny; pojedynczo wzięta każda postać tego społeczeństwa wydaje się dziś dziwaczną i niezrozumiałą, zbliżone i zestawione w ową całość, którą tworzyły niegdyś, tłómaczą się wzajemnie. Dla tego nim opowiemy podanie, któreśmy słyszeli z ust starca, co na część historyi tej patrzył, musimy rzucić okiem na Warszawę w tej epoce.

Magnaci, dorobkowicze, nawet możniejsza szlachta porwana wirami szalała, wiedząc, że gmach się mógł roztrzaskać nad jej głową; im loskot upadku był straszniejszy, tém głośniej nakazywano grać muzyce.

W przeddzień tryumfu wyrachowanego i pewnego, nie byłoby weselej niż naówczas w stolicy. Wszyscy cudzoziemcy, którzy w owych latach zwiedzali ją, zgodnie malują Warszawę i jej ludność jako najweselejsze towarzystwo w świecie. Ci nawet, co tu przybywali z najożywieńszych grodów Zachodu, uderzeni byli niezmierną gorączką, która tu panowała.

Bale następowały po balach, noce spędzano za stolikami gry; dni na śniadaniach i podwieczorkach; taniec, ten wyraz szalu, najulubieńszą stał się rozrywką. Małe dzieci wprawiano do niego, tak jak niemowlętom dają matki napój usypiający. Starzy i posiwiali gorączki szukali u zielonych stolików, lub w oczach mnóstwa ślicznych bogiń, których płochosc nie zrażała weale, bo cały ten świat z niej sobie życia robił prawidło.

Małżeństwa zawierały się z przewidywaniem rozwodu, zrywały po kilku tygodniach, często wiazały znówu, a trwając nie były węzłem żadnym, stawały się wygodną formą. Najdziwniejsze związki fantazyi wykwitwały na nich, jak orchidee na zgniłym pniu dębowym.

Książę Józef, jak większa część młodzieży ówczesnej, pochwycony falą, za wezasa przestał być młodym; ta spiekota, jak afrykańskie słońce, przedwczesną sprowadzała zgrzybiałość. Ale w szlachetnej jego piersi utrata złudzeń młodych i tego idealnego świata, który człowiek z sobą przynosi z lepszej ojezyny przedziemskiej, nie pociągnęła za sobą rozezarrowania i chłodu, tylko tęsknotę i jakieś o społeczeństwie wątpienie.

Serca ciasne w takim położeniu i boleści nie widzą nic po za niemi, wątpią o człowieku; szersze boleją nad czasem, mają nadzieję w przyszłości.

W tych chwilach samotności i rozmyśłów, gdy po wirach balu i szale reduty powracał znużony całodzienną wrzawą i nadaremnią pracą szukania rozkoży w pustych jej lupinach, ksiązę Józef padał na sofę w saloniku, zakrywał twarz rękoma i cierpiał walcząc z sobą, by do ostanka wiary nie stracić. Niebezpieczeństwo było w istocie wielkie: począwszy od stryja, którego pojąć nie mógł, a przecież kochać musiał, aż do najidealniejszych z tych pań, której dłoń czuł drżącą w swój ręce, gdy z nią w szalonym tańcu sale przebiegał, której głos cichy szeptał mu dzisiaj to, co wczoraj przyrzekał innemu, a jutro miał jeszcze innemu poprzysiądz; od starego kuzyna domu, co godzinami był dyplomata niezrównanym, a indziej młokosem bez rachuby,—wszystko i wszystkie składali się na poniżenie w oczach jego człowieka.

W tych dniach życia przecię, w tój dobie którą przebiegł ksiązę Józef, jedna szczególniej istota nosiła w sobie ludzkość, przedstawia jej najjaśniejszą stronę. Jest nią kobieta. Młodzieniec widzi w niej wybrańca bożego, przeznaczonego, by resztki uczucia i serca wyratował z potopu; jeśli w tój istocie nie znajdzie ich, wątpi łatwo o reszcie.

Ksiązę Józef, otoczony tym światem płochych lalek we fryzurach, malowanych jednemi barwami, nasłuchawszy się ich szczebiotu jednostajnego, sto razy zdradzany z uśmiechem, pociągany kłamstwem i próżnością, naostatek pytał już się niespokojnie, czy mi-

łość i wiara nie są próżnemi tylko słowy, przeznaczonemi, by na ziemi latały jak anioły, nigdy jej nie tykając stopą? Wszakże po zdradach tylu nie przeklął, jak drudzy, człowieka; uchwycił się tój myśli, że na dnie osiadła cnota, prawość, szczerota.

Było to jesienią, jednego z lat następujących po sejmie czteroletnim, który nie przerwał życia rozszałego większości. Warszawa wyglądała nadzwyczaj świetnie i niezrozumiale wesoło. Pieniądze zdawały się płynąć rynsztokami, tak je nierozważnie rzucono na wszystkie strony; pracowity świat wielki nie mógł wystarczyć balom, wieczorom, piknikom, redutom, spacerom, kartowym stolikom i rozrywkom, którym napróżno starano się coraz nową nadawać barwę, a były jak piekło jednostajne i nudne. Nowi ludzie bawili się niemi kilka tygodni, jak człowiek, który wchodzi w gorącą kąpiel i czuje z razu trochę ciepła, ale po chwili drzeć zaczyna w tym ukropie. Ksiązę Józef, jak wielu jego rówieśników, był niesłychanie smutny; patrząc na tego Apollina w całym blasku męskiej piękności, którego czoło osnuwała mgła jakaś nierozbita, żal serec ścisłał, tak widocznie cierpiał, choć się uśmiechał... Wypełniał on ściśle obowiązki swojego stanu, mozolne, choć pozornie bardzo rozkoszne, a bliżej się weń wpatrując, przychodziło na myśl, że Dante nie wyczerpał wszystkich kar w swoim piekle, nie umieściwszy w niemi kłamanego szczęścia uwiecznionego laurami i różanmi, z tajemną raną w piersi zakrwawioną i zazdroszą-cymi dokola.

Tymczasem pół świata zazdrościło mu męczarni-

a gdy w swém *whisky*, zaprzężoném ośmiu karemi końmi przelatywał Krakowskie Przedmieście, mając po bokach Wielhorskiego i Kościuszkę, lub na przepysznym karoszk, w twardój od srebrnych haftów kurtce pędził do Mokotowa, na Wolę, do Jabłonny, stawali ludzie mówiąc sobie po cichu: „Co to za szczęśliwy człowiek!”

Tego dnia ksiązę Józef nie próżnował od rana. Chociaż późna była jesień, ale pora, jak to się często w Warszawie trafia, prześliczna; wstawszy więc ruszył na przejażdżkę ku Willanowu. Po powrocie był u króla na chwilę, odwiedził Ignacego Potockiego, żeby trochę w jego towarzystwie spoważnieć, oglądał potem angielskie konie wystawione na sprzedaż, które młodzi Tepperowie za niezmiernie wysoką kupili cenę, oddał kilka wizyt pięknym paniom, próżno go uśmiechami zatrzymującym, jadł obiad długi i niesmaczny u Prota Potockiego, nasłuchawszy się do przesytu o projektach przemysłowych i handlowych, potem wbiegł do kilku domów wieczorem, jeździł do teatru, aby się na nim wyziewać dowoli, był na reducie w Radziwiłłowskim pałacu, na prośzonej kolacji kawalerskiej u Branickiego, i znużony powrócił do domu, jak po najmoźolniejszym trudzie. Z całego dnia zostało mu wspomnienie nieograniczonej tęsknoty.

Siadł na sofie, jak zwykle, i zamyślił się głęboko...

— Jest to życie niemożliwe! rzekł nareszcie w duchu: jeszcze rok, a człowiek zgrzybieje i zgłupieje. W ten nie daje myśleć, szal ten nie dozwala oprzy-

tomnieć. Stać się pustelnikiem wśród tój ciżby? ogloszą za szaleńca... uciec? tak! byłby to jedyny niezły środek, ale dokąd?... A! serce! serce — dodał — czemu ty mnie nie poratujesz?.. czemu nie uderzysz tak silnie i głośno, aby ten hałas zagłuszyć?..

Do kogo? spytał się z uśmiechem, — i myśl przebiegła wszystkie piękności dworu i stolicy, szedersko zdzierając z nich urok wdzięku. Książę Józef widział je niemal wszystkie tego dnia w łożach teatru, i do każdój z tych twarzy, co się ku niemu zwracały, pamięć przypięła historję, która jój urok odejmowała. Ta jest już z dziesiątym ulubieńcem, tamta z trzecim mężem... tamta z piętnastym przyjacielem, nie licząc nieprzyjaciół, których kochała po chrześcijańsku i przez uczucie obowiązku... Z takimi myślami po północy położył się książę Józef, ale nie usnął; rozgorączkowany dniem, rozmarzony myślą własną, rzucił się, marzył, aż gdy na dzień się już zbierało, wstał, zadzwonił niespodzianie na kamerdynera, który nieprędko nadszedł dosyć przestraszony, i kazał sobie przygotować ubranie. Francuz był posłuszny, ale widząc, że książę ani wierzchowca, ani powozu nie żąda, nie wiedział co myśleć.

Po chwili książę Józef, zostawując go w tém zdumieniu, ubrany po cywilnemu, wyruszył z pałacu na miasto.

Ranek był rzadkiej piękności, i mgła nawet, która prawie zawsze u nas pogodzie jesiennej towarzyszy, już się gnana wiatrem rozwiewała; niebo, choć blade, ale czyste, miało ten ton łagodny północy, którą się w taką z kolorytem pejzażu zlewa harmonię.

Gdzie niegdzie biały bawelniany przelatywał po nim obłoczek, ozłocony wschodzącym słońcem, które otaczały rumiane pasy dalekich tumanów. W powietrzu była cisza, na ziemi spokój, i ledwie dający się czuć powiew zachodnio-południowy opędzał z drzew resztki liści, które się jeszcze po końcach gałęzi trzymały.

W ulicach miasta ujrzał książe to, co na nich rzadko widywał: ludność różną od tej, która we dnie się po nich kręciła, wiejską, przedmieściową, pracowitą, ubogą. Szły z Pragi fury z drzewem, z jarzynami, z zapasami różnemi. Kobiety z ciężarami na plecach, mężczyźni z piłami i siekierami, po ulicach odzywały się ranne dzwonki mszy cichych, na które cisnęli się wieśniacy. Gdzie niegdzie wśród tego zalewu przybyłej ludności, przepływała i miejscowa uboższa: mieszczanie w kapotach długich z laskami, poważnie kroczący na prymaryę, jejmoście staruszki, chcące się tanio zaopatrzyć do domu, przekupnie i przekupki, ostro targujący się o nabycie tego, co wkrótce jak najdrożej sprzedawać mieli, i młodzież plei obu z najbiedniejszej klasy, wybiegająca po zapasy gospodarskie, wodę, mleko, świeżą bułkę do piekarza.

Książę Józef przypatrywał się z ciekawością temu widokowi nowemu dla siebie, który go przyciągał żądzą poznania utajonych sprężyn, poruszających nieznanym światem.

Im głębiej spuszczał się książe ku Pradze, odchodząc od środka stolicy, tém otaczająca go ludność inny przybierała charakter i mniej w niej czuć było miasta. Naostatek szedł aż do brzegu rzeki, gdzie już prawie było pusto. Ubogie domki rybaków, szczyty drzewa, czółna popróchniałe, rozwieszane sieci,

chałupki z desek pozbijane, i tuż szeroką rozlana Wisła płowa, spokojna, choć groźna, a na niej w dali parę ciemniejących czółenek.

Tu cisza była uroczysta... książe od dawna takiego nie zakosztował spokoju.

Życie całkiem mu się tu inaczej wydało. Tam, z kąd przychodził, było ono teatralnym widowiskiem dramatu, napisanego bez talentu, odegrywanego rutyną, czémś klamanem i sztucznym; tu widział je prawdziwym, poważnym, wśród nędzy i walki wspólnie, majestatycznie pięknym. Na czołach tych ludzi była troska, ale obok niej siła i wiara w tę siłę człowieka, która tam wyżej czuła się wyczerpaną. Praca uszlachetniała tu ruch każdy... a mimo niej niepewność jutra ożywiła, budziła, nie dawała usnąć gnuśnie.

Gdy książe usiadł na kłodzie nad brzegiem i począł się rozpatrywać w otaczającym go obrazie, z chaty dosyć biednej, nieopodal stojącej, której drzwi się otworzyły powoli, ukazała się postać w bieli.

Była to może piętnastoletnia dziewczeczka, z blond włosami rozpuszczonemi, bo je właśnie zgarniała i czesała, w koszulce i spódniczce, bosa, szczupła, drobna, ale prześliczna. Małeńka chusteczka okrywała jej ramiona od rannego chłodu, z którym zresztą oswojona widać była, bo się wychyliła za próg, i stała przypatrując się niebu, próbując powietrza...

Nie postrzegła ona księcia, który siedział, osłonięty wysoką szczytą drzewa, naprzeciw światła, i nie też jej w tej tualecie na podwórzu nie przeszkadzało. Zbierała obfite, piękne blond włosy, rozczesy-

wała je, plotła, a niekiedy drobne jój usteczka różowe, z pod których białe patrzyły ząbki, otwierały się poziewaniem, jakby resztki snu odpędzała od siebie. Parę razy zdawała się przysłuchiwać czemuś wewnątrz chaty, i uspokojona powracała do swego stroju. Przy drzwiach stało wiadro z wodą, poczęła się oblewać starannie i wycierać twarz i ręce grubym ręcznikiem. Potem znikła i powróciła znowu z gorsecikiem, który sznurowała powoli. Usta jój w czasie tego zajęcia poruszały się powoli, mówiła pacierz poranny. Niekiedy ręką uderzyła się w piersi, to znowu przyklekła i pochyliła głowę, wreszcie narzuciła na siebie sukienkę pstrą i poczęła ją starannie obciążać.

Wszystko na nię było niezmiernie ubogie, ale bogata była we wdzięk młodości, którego nie zastąpić nie może. Książę wpatrywał się w nią—po twarzach wybielonych, wyróżzowanych, wymuskanych pań stołecznych—jak w kwiatek polny, rozkwitły na ustroniu.

Kwiatek był w istocie uroczy; najwybredniejszy znawca musiałby mu się zdumieć. Piękność rysów nie jest wcale, jak sądzą, wyłącznym udziałem tych klas społeczeństwa, w których pokoleniami wydelacone krew, wydaje arcydzieła formy, naprzemian z poczwarneimi monstrami. U ludu od kolebki zmęczone dziecko, często traci kształt wdzięczny i barwę młodości, ale jeśli przetrwa pierwsze życia zapasy, często też wyrasta na Wenus z Milo lub Antinousa... I naówczas siła a energia téj piękności przechodzi blade kwiatki arystokratycznych cieplarni. Wychowanie też wpływa wiele na wyrobienie w tych ostatnich czegoś fałszywego, sztucznego, sztywnego, gdy prostota obyczaju uposażuje ludowe wdzięki. Jest w nich coś jakby

z marmuru kutego; arystokratyczne piękności podobniejsze są do figurek z cukru i ciasta.

Dziewczę, któremu książę Józef przypatrywał się z takim zajęciem, że oczu od niego oderwać nie mógł, nie było może tak regularnie piękne, ani ak potężnie zbudowane, by je rzeźbiarz wybrał za wzór sobie, ale w szczupłych kształtach jego sił dziecinnych, napół kobiecych, rozlany był wdzięk naiwny, nieporównany. Nóżki, ręce, choć silne i spracowane, ale w wiślanej wodzie wyplókanne codziennie i bieluchne, piersi szczupłe, główka drobna, oczy niebieskie, uszko maleńkie, nosek prosty i nieposzlakowanego kształtu, składały się na obrazek przypominający fantazje Greuze'a, i niektóre szczęśliwsze pasterstwa Boucher'a.

Była to właśnie chwila, w której pastuszki, lud i wioskowe życie, pojęte po teatralnemu, były w wielkiej modzie u świata... Książę Józef napatrzył się ich na parawanach, wachlarzach, na drzwiach i rycinach, ale mu się nie trafiło nigdy w żywym świecie spotkać wzoru dla Greuze'a... Był nawet przekonany, że Boucher i Watteau, że sam rozelzawiony Greuze są wielkimi kłamcami, że przebierają często wielkie panie za pasterki. Obrazek, który ujrzał tak nagle w ramach drzwi ubogiej chatki, zachwyił go.

Dodajmy, że książę Józef był nieco marzycielem i trochę fatalistą... To wyjście ranne, jakby mimowolne, ta siła, która go tu przeciagnęła, ukazanie się dziewczęcia, poddały mu jakąś myśl przeznaczenia. Wezoraż upominał się u świata i losu o coś, co by mógł ukochać; dziś zjawila się przed nim istota ślicz-

na, dzika, bo właśnie dzikięj i prostęj pragnął... Nie było w tém coś fatalnego? Odezwał się do losu, los mu odpowiadał: „Chciałeś, oto jest.”

Myśl mu poddała wczorajszą tęsknotę i postawiła obok nięj to zjawisko niespodziane.

Gdy tak marzył, dziewczę za drzwi znikło, a ksiązę, namyśliwszy się nieco, nie bez pewnej obawy, z której sam się uśmiechał, wstał i powoli skierował się ku ubogiemu domkowi. Powierzchność jego zdradzała stan mieszkańców bardzo biedny; chatka dosyć stara, na malęj podniosłości brzegu wybudowana, była szczupła i nadniszczona. Dach na nięj cały porastał zielonemi kupkami mechów, które widocznie rozszerzając się zjadały czerniałe gonty; komin był wyszczerbiony i ekopcony...

Ściany trochę wpadły w ziemię. Jedne drzwi, te właśnie, w których mu się dziewczę ukazało, prowadziły do wnętrza. Ksiązę zawahał się chwilę nim próg przestąpił, myśląc czém się wytłómaczy z odwiedzin? ale po krótkiej rozwadze, uległ pokusie.

Sień, do której się wśliznął, była pusta, pełna przyborów rybackich, długich węd, czerniałych sieci i węcierzy; jedne drzwi wiodły w prawo do mieszkania. Ksiązę Józef zapukał do nich, nie śmiejąc się wpierać do środka bez pozwolenia.

— A no! wejdźcie! odezwał się głosik ze środka, miły, eieniuchny, dziecinny. Cóż to wam przyszło do głowy palce sobie objąć o drzwi?

— Ino zobacz, bo może to kto obcy, przerwał głos drugi starszej kobiety.

W tężę chwili drzwi uchylone roztworzyły się

powoli, ale mimo tęj ostrożności ksiązę Józef dostał niemi w głowę i uchylić się musiał. Dzieweczka, która je otworzyła, stanęła zdziwiona na widok bardzo pięknego nieznanomego pana, przypatrującego się jęj z równą jak ona jemu ciekawością. Oboje poczerwienieli. Mnięj to dziwne było ze strony dziewczęcia, ale ksiązę, dawno cdzwyczajony od palącego rumieńca, uczył go na twarzy, jakby przynosił mu na nowo stracone lata dzieciństwa. Był to gość niespodziany...

Domyśliła się dziewczeczka, że ten pan przez omykęę chyba do ubogięj chaty zajrzeć musiał i trzymała drzwi ciągle, nie chcąc go puścić do środka. Przez tę chwilę niemego przypatrywania się, ona miała czas przeżyć w nim jakąś istotę wyższą, on rozplomieniał się, marząc, że trafił na ów ideał prostoty i serca, który dotąd tylko w złych francuzkich romansach niedołąźnie malowany spotykał...

— Ale czegoż pan chce? odezwało się dziewczę:— bo na matulę ciągnie chłodne powietrze.

— Ja? puściecie-no mnie, to wam powiem, odparł ksiązę, i uchylając drzwi przytrzymywane, wszedł do izdebki.

Ubóstwo jak zbytek ma pewne rysy ogólne, z którymi się okazuje zawsze trochę jednostajnie; przepych potrafi się łatwiej urozmaieić, choć mu niezawszę udaje się szczęśliwie wyjść z pospolitości, unikając przesady i niesmaku. Nie widzę więc potrzeby malować wam ubogięj chaty, bo z maleńką różnicą, wszystkie one są do siebie podobne; tu fantazyja rozpoznać się nie może, chyba w drobnych szczegółach.

Wnętrze izby było uderzająco czyste i schludne, i to stanowiło jego całą ozdobę. Na ścianach pełno obrazków świętych, pookrażanych wiankami i palma-

mi, w okienkach trochę zieloności, stół, szafa wielka, parę ławek, a w kącie szerokie łoże białe, na którym leżała stara, blada i chorobą widocznie wycieńczona kobieta... Na kominku paliło się trochę ognia, przy którym coś w garnuszczyku gotowała dziewczynka...

Książę, im mocniej się jęj przypatrywał, tém więcej czuł, że mu do niej gorącej biło serce... Była prześliczna, a z oczu niebieskich taki wyraz spokoju i niezmierniej łagodności przezierał, taka płonęła słodycz i dobroć jakaś rozumna!... Po codziennych rewjach salo nowych kobiet, wysznurowanych, wypięknionych a nie pięknych, po licach tych malowanych a nieświeżych, wyraz młodości i świeżości uderzał prawdą porwyającą... Na księciu uczynił on wrażenie takie, jakiego by doznał człowiek przywykły patrzeć na obrazki, a nagle stający w obec żywego życia...

Dziewczę niespokojne, wciąż zapierało mu sobą drogę; widocznie chodziło o matkę. Nie czuła ona niebezpieczeństwa własnego; szło jęj o staruszkę, która, wyglądając ciekawie, pokaszliwała ze strachu...

— Pozwólcie mi wejść i spocząć, rzekł książę jak mógł najłagodniej. Zmęczyłem się przechadzką... proszę was o szklankę wody i pozwolenie posiedzenia na minutkę.

— Julko... Julko! przerwał głos matki: ale puśćcież tego jegomości... cóż tam się tak drożycie?

Książę wszedł powoli i odwrócił się ku łóżku, aby staręj podziękować, gdy ta wychyliwszy się lepiej z za firanek, załamała ręce wychudłe i krzyknęła prawie przestraszona:

— Jezu Marya! a to nasz śliczny książę!

Książę Józef aż się cofnął, z kolei przelecieli tém,

że go poznano; a Julka, ścierając pył fartuszkim ze stołka, przybiegła z nim szybko do gościa, który stał w pośrodku izby zmieszany.

— A cóż to księcia do naszej biedy przypędziło, mój śliczny panie? żywić niżby się można spodziewać poczęła chora. A mój ty miły Jezu! a toż to cud! Jakimże sposobem?...

— A zkadże wy kochana matko mnie znacie? zapytał książę, odzyskując mowę.

— Albo to was zapomnieć można? zakrzyknęła stara. Ja służywałam w Jabłonnój i w zamku, a kto księcia raz tylko zobaczył, toć go nie zapomni!

— I cóż tu teraz porabiacie?

— A! mój miły książę! nieszczęście nas tu zepchnęło! Były lepsze czasy... Owdowiawszy po pierwszym swoim mężu, który był nie potem dworak, wyszło się drugi raz za rybaka. Poczciwe człeczysko... aleć go Bóg długo na świecie nie trzymał, a wziął do swęj chwały... Mój Macieisko załamali się z lodem na Wiśle, i aż trzeciego dnia znaleźli jego ciało, żeśmy je po chrześcijańsku pogrzebać mogli...

Stara zaszła się od placzu.

— Zostalo nas po nim sierot dwoje, mój książę: ja i to poczciwe dziecko... a ta choroba na mnie... co mnie jak trupa na nie nieprzydatnego rzuciła na łoże... Gdyby nie poczciwi towarzysze Macieja, rybacy, co nam pomagają, jużby z głodu przyszło umrzeć i to dziecko zostawić na straszliwe sieroctwo. Ale Bóg opiekun...

Książę milezał wciąż zmieszany, oglądając się to na starą, która śpiesznie i coraz żywić mówiła, to na dziewczkę zaplonioną, dającą znaki matce, aby się nie męczyła zbyt mocno rozmową.

— Czy nie słyszeliście, że ksiązę prosili wody! dajcież mu świeżęj i weźcie czystą szklankę białą, moja Julko, a pocałujcie go w rękę i przeproście, żeście go puszczać nie chcieli... Taż to synowiec króla jmei i taki dobry pan...

Julka, mocno przejęta nowiną, że to był synowiec króla i ksiązę, zakrzatnęła się około wody, ale jak na złość wszystko jej z rąk padało, wymykało się, paluszki krzepły, i gdy przyszło na talerzyku podać szklankę, to się woda na pół na niego rozlała, tak Julce rączęta biegaly ze wzruszenia.

Ksiązę siadłszy, rad był jak najdłużęj tu pozostać, aby patrzeć na śliczną Julkę; szczęściem nieskończona gawędka staruszki, która na nowo całe mu życie swoje opowiadać zaczęła, przedłużyła odwiedziny, hojnym ukończonym podarkiem.

Nazajutrz ksiązę przywiózł z sobą do choręj doktora Lafontaine'a.

Na wiosnę następnego roku szeptano po Warszawie, od ucha do ucha podając sobie nowinę, obruszającą szczególnie kobiety wyższego świata, że ksiązę Józef, który tak sobie lekko i prawie pogardliwie traktował najcudniejsze piękności Stanisławowskiego dworu, zamiast się zakochać w jednej z najzalatniejszych i najpiękniejszych pań, od dawna okazującej dla niego nadzwyczajną passyę, miał jakąś miłość pokatną, ukrytą, poniżającą go dla jakiegoś ubogiego, nieznanego dziewczęcia.

Gniew wielkiego świata był potężny. Ksiązę spotykał rozplomienione lica, uszczypliwę przymówki, aluzycy bolesne, ale przyjmował je z obojętnością szczęs-

liwego człowieka, z uśmiechem prawie wzgardliwym, nie sobie z nich nie czyniąc. Wieść o tój miłości nadzwyczajnej, dowodząca, że ksiązę nie był zupełnie ostygły i mógł kochać, obudziła niezwykajnie usiłowania pochwycenia tak drogiego serca. Panie sądziły, że z łatwością wybiją mu z głowy tę fantazyę chwilową, i zabiegaly drogę w sposób, który tylko obyczajem tamtego czasu nieco niewinniać mogły. Ale ksiązę na to wszystko był dziwnie zimny, grzecznością nieco szyderską odpierając potwarze i zaloty, bardzo często milczał, odwracał rozmowę i mówić weale nie chciał. Narobiło to wiele nienawiści, niechęci i spisków: bo wszystkie panie uznały, że tak rzeczy zostawić nie można; iż należało koniecznie zmusić księcia, by w swoim świecie szukał uspokojenia serca. Donoszono prawie codzień o nowych zamiarach i czyhaniu na spokój bohatera, który pokręcając węża, ruszał ramionami tylko, lub odpowiadał swym usłużnym szpiegom:

— Dajcie im pokój! niech się sobie bawią... co to mi szkodził...

Nikt prawie nie wiedział, jak rzeczy stały w istocie. W życiu człowieka tak wystawionego na ciekawe ludzi szperania jak ksiązę, trudno było ukryć się z chwilą życia, odkraść ją dla siebie. Śledziły go wszędzie oczy niespokojne; powtarzano sobie po cichu gdzie go i kiedy widziano, kędy jego whisky przeleciał, o której przejechał konno, gdzie się przemknął pieszo... obliczano potem godziny, aby dojść jak dnia użył, badano sługi, by się dowiedzieć, o której do domu powracał. Na to wszystko ksiązę Józef uśmiechał się pogardliwie, zwłaszcza gdy mu piękna Anna, prześladowająca go miłością swoją od dawna, zdawała rach-

nek z użycia dnia, który ją niezmierniej pracy kosztował, a był wszakże fałszywy.

Miłość Anny była przywiązaniem, passyą, fantazyą, nazwiécie to jak chcecie, wielkiej pani właściwą. Anna była od powijaków pieszonem dzieckiem, miała zachcenia gwałtowne, jak dziecię kapryśne, nie rozumiała poświęceń od siebie, tylko dla siebie... Książę Józef podobał się jój tak, jak wielu innych, ale był synowcem królewskim, był królem młodzieży, był najgłośniejszym... a Annie, która dla niego od dwóch lat okazywała najszałeńszą, kompromitującą miłość, nie dał innych nad zimną grzeczność dowodów współczucia. Miłości jój, oświadczeń, gniewów, zajęcia sobą, nie chciał rozumieć...

Anna była prześliczną brunetką... ale tak piękną, jak bywają obrazki; rysy miała regularne, wyraz twarzy łagodny i wystudyowany do rodzaju piękności; brak jój było charakteru i wdzięku. Coś marmurowego, zimnego szpeciło tę istotę, w piętnastym roku rozczarowaną, w dwudziestym zestarzałą moralnie. Ze wszystkiego pozostały jój tylko gwałtowne, dziecinne fantazyje... gdy zapragnęła czego, musiała dojść, choćby najkosztowniej szemi ofiarami. Jedną z takich fantazyj była dla niój miłość księcia Józefa, której pragnęła tém goręcej, im książę był obojętniejszy. Chciała się nim pochlubić... chciała pokazać swą siłę. Książę Józef w samym początku zaciekawiony zbliżył się do niój, ale poznawszy lepiej, odstąpił prędko... Pięknój Annie ta passya głośna i umyślnie uwidoczniwana nie przeszkadzała wcale wieść za sobą rojów wielbiocieli... uśmieczać się, bawić, dawać przez kilka dni pierwszeństwo to temu, to innemu, a wzdychać do księcia i nawet trochę czasem płakać wieczorem z gnie-

wu na niego. Goniąc za księciem po balach i przebadzkach, piękna Anna trafiała na tych, co się za nią upędzali, zapominała o nim i śmiała się do rozpuku z trzpiotami... potem znowu napadała ją tęsknota okrutna na kwadrans i szła pusty po niój. Anne była jednym z najdoskonalszych produktów wyrafinowanej arystokratycznej cywilizacji, próbka tego, co może z dobrego serca kobiecego uczynić złe wychoowanie i zwiechnienie pojęć o życiu. Wietrzna, rozpieszczona, zdziwaczała, chwilami dobra jak anioł, to znowu rozwścieczona i niepamiętna na nie, pobożna i zaloina razem, cnotliwa a nieumiejąca granie rozemnać gdzie się kończy cnota a poczyna wina, szła w życiu, szczęściem prowadzona jego formami, bez których trudno przewidzieć gdzieby zająć mogła. Jeżeli kto to ona zasługiwała na to imię wietrznej istoty, jakim poeta wszystkie napiętnował kobiety. Książę Józef miał dla niój jakąś pocziwą litość braterską, ale pokochać jój nie mógł. Im trudniejszém stawało się do zdobycia to serce, tém było pożądańsze dla Anny; wmówiła w siebie, że bez niego żyć nie będzie mogła, że umrze jeżeli go nie zdobędzie. Był to wielki cel jój bezcelowego życia.

Można sobie wystawić rozpacz i gniew pięknej Anny, gdy po stolicy rozeszła się wieść, że książę Józef jest zakochany—w kim? nie w jednej z tych piękności, które uwieczniły pastelle Marteau lub penzel Grassego, ale w prostém dziewczęciu. Wieści mówiły o wieśniaczce... gorzej! o służącej jakiejś... a stało się. O... powtarzała, że książę *à le gout si depravé*, iż mógł się pokochać i przywiązać tylko do *pomywaczki*. Zwano tę tajemniczą istotę nieinaczej tylko *pomywaczką* a przydomek ten wyrażał całą wzgar-

dę, cały gniew wyższego społeczeństwa przeciwko księciu i owęj pięknej (nie wiadano nawet czy pięknej) nieznanomój jego kochance.

Najgłębsza tajemnica osłaniała stosunki księcia z ową dziewczeczką. Śledzono daremnie gdzie się ukrywa, wiadano zaledwie o jój istnieniu. Lecz sama zmiana humoru księcia Józefa jużby go była zdradziła. Inaczéj całkiem wygląda człowiek szczęśliwy i spokojny, od znudzonego życiem i znicierpliwionego szukaniem serca i przywiązania człowieka.

Od niejakiego czasu ksiązę Józef nieslychanie się zmienił, przyznawali to nawet najmniej baczni postrzegacze: z zobojetniałego, pochmurnego, czasem trochę złośliwego człowieka, stał się wesołym, pobłażającym, dobrym, jak każdy, co czując szczęście, radby niém, dla harmonii, cały świat obdzielić. Jest to w ludziach pocziwych, że gdy im na świecie lepić, chcieliby, żeby wszystkim dobrze było. Ten, komu dla przyprawy jego szczęścia potrzeba cudzych cierpień, jest niegodziwą istotą... komu boleść bliźniego zwiększa rozkosze, niewart imienia człowieka.

Nigdy też może ksiązę Józef tak bardzo nie był dla ludzi pobłażającym, nie szukał tak we wszystkim dobrego, nie upierał się, by widzieć jasno świat, człowieka, życie. Nawet ta piękna twarz jego, którą znacie, przybrała wyraz łagodnie zamysłonego spokoju i błogości.

Na pozor w jego zwyczajném zyciu i porządku dni nie się nie zmieniło; szperania i rachunki godzin nie wykryły różnego ich nżycia... Jak dawniej przelatywał wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i Nowego

Świata aż do Ujazdowskich alei, niekiedy do Łazienek, konno lub karyklem, sam się powozil i dokazywał cudów, kierując ośmiu szalonemi koñmi, uprzężonemi do lekkiego powoziku, a słuchającemi skinienia jego silnej dłoni; jak dawniej dawał się zapraszać na Wolę, do sali Szuleca, na pikniki i podwieczorki; jak dawniej tańcował ze śliczną Julią Potocką i z nieodstępnym Wielhorskim pokazywał się wszędzie... a jednak szeptano po cichu, że ksiązę spędza długie godziny u nóg téj, którą nazywano ze wzgardą *pomywaczką!*

Raz na wieczorze u pani Branickiej, śmiała i znana ze swych dowcipów pani Lucchesini, żona posła pruskiego, której miłość dla Juliana Ursyna była znana wszystkim, zagadnęła księcia w sposób przykry: — Mości ksiązę, rzekła do niego po francuzku: prawdaż to, że w. ks. m. masz poczwarne gusta i że wolisz zgrzebne płótno od atlasów, a ręce czerwone od pięknych wypieszczonych dłoni? Cały świat mówi, że ksiązę kocha się, daruj mi wyraz, ale to nie ja go stworzyłam... *w pomywaczce!*

Ksiązę Józef się zaczerwienił.

— Pani, rzekł: mógłbym jój odpowiedzieć, że nie każdemu dano kochać się poetycznie i mieć ideal na rozkazy, ale nie chcę być złośliwym. Nie widzę nie tak straszliwie poczwarne w miłości dla... choćby zresztą dla pomywaczki. Serce idzie gdzie je wola niewyciężona siła magnetyczna; nikt za nie nie odpowiada, jeśli ma się poddaje... Ale powiedz mi pani, co tak znasz dobrze życie salonów, w których atmosferze wzrosłaś, czy w puchach labędziej wychodują się piękniejsze serca i czystsze dusze od

tych, które Bóg, powietrze, tęsknota, nędza, opuszczenie wyrabiają w piersiach prostaczych?

— Widzę, odparła kwaskowato pani Lucchesini: żeś ksiązę zwolennik Russa, że wracasz do stanu natury...

Na tém przerwała się rozmowa, a posłowa darować nie mogła księciu, że jój przypomniał tak wyraźnie to, o czém wszyscy dobrze wiedzieli, ale na co umyślnie zamykano niby oczy.

Najbliżsi przyjaciele księcia, ci, z którymi żył ciągle i widywał się codziennie, gdy mowa była o tój nieszczęśliwój pomywaczce, najmocniej przeciwko potwarzy się obruszali, dowodząc, że to wszystko było niegodziwie zmyśloną baśnią. Plotka pomimo to, sił nabierając w pochodzie, wedle łacińskiego przysłowia: *Vires acquirit eundo*, — nieoparta na niczém, coraz to się rozchodziła głośniej i jaskrawszėj nabierała barwy. Nie wiedzieć zkąd i jak zaczerpnięte, powtarzano sobie na ucho szczegóły osobliwsze poznania się księcia z ową dziewczką, jój przeszłości, charakteru, rysowano nawet fizyognomię i obnoszono jakieś mniemane portrety owój kochanki, tak jak owój ładnej *młymarki*, która do dziś dnia uchodzi za ulubienicę Stanisława Augusta...

Szczeńciem dla księcia, usłużni salonowi dostarczyciele plotek razem zaczęli popisywać się z dwoma aż portretami, z których jeden do drugiego wcale nie był podobny i zdradzał fantazyę olówkową któregoś z uczniów Bacciarellego lub Norblina. Ta okoliczność wiarę w nich zachwiała,

— Są podrobione, zawołała piękna Anna. Szczególna rzecz, gdy wszystko się wie w Warszawie... jeden ksiązę Józef ma talent ukrywania się z każdą czynnością i pozostania tajemnicą! To upokarzające doprawdy.

Z innych całkiem powodów, mężczyźni podrażnieni byli tym odgłosem miłostek okrywających się tajemnicą, przeciwko zwyczajowi; gdyż w owe czasy więcej szukano chluby z tego rodzaju stosunków, niżeli zaspokojenia w nich jakiegó serca potrzeby. Zdradzało to zazdrość kochanka i wywoływało z drugiej strony chętkę współubiegania się o lepsze. Grano chętnie w odbitego naówczas, i silono się nieraz odsadzić, nie dla przywiązania, ale przez miłość własną. Staremu Tepperowi odbił ktoś piękną Alicyę Włoszkę, o czém przynajmniej trzy dni mówiono na ucho, ale tak, że wszyscy słyszeli... Najbliżsi przyjaciele serdeczni księcia Józefa zabierali mu się wypłatać figla, do którego i piękna Anna z drugiej strony zaczęła... Na nieszczęście owa *pomywaczka* kryła się tak, że nikt a nikt o niej nie wiedział... Jedni szukali jój w Mokotowie, drudzy na Woli, inni upatrywali ją na Krakowskiem-Przedmieściu... lecz koniec końców nikt jój nie widział i nikt o niej nie wiedział...

— Ale to ostatni wstyd i sromota! wołała piękna Anna: waćpanowie nie zdaliście się na nic wszyscy... Jużciż można krok w krok za nim chodźć i dośledzić. O, gdybym ja była mężczyzną!...

Chodzili też krok w krok, ale niczego nie doszli. Jednego wieczoru piękna Anna jakoś była znużona, czuła się chorą i postanowiła nie wyjeźdźać i nie przyjmować nikogo. Galonowany szwajcar odpra-

wiał przybywających zimnem: „Nie ma kasztelanowej w domu.“

Poufali wszakże, nie słuchając go, wchodzili na górę i zasięgali bliższej wiadomości od kamerdynera Francuza. Louis wiedział doskonale, kogo można był mimo niedyspozyeyi, dopuścić do przedpokoju, kogoznajmiej, a komu potwierdzić tylko udzieloną na dole nowinę o niebytności pani.

W istocie piękna Anna siedziała w swoim budoarze w białym negliżowym stroju, oszytym koronkami, i bawiła się z ulubionym szpicem, poziewając nad życiem, które jakoś coraz robiło się dla niej nudniejsze... Miejsce na kanapce niebieskiej, które zajmowała wśród atlasowych poduszek, tak było urządzone, że naprzeciwko miała zwierciadło, stanowiące drzwi do drugiego pokoiku toaletowego, i Anna spoczywając mogła zawsze surowo się zastanawiać nad sobą, czyniąc rachunek sumienia, z pomocą wiepnego odbicia swych wdzięków.

Miała nawet to przywyknienie, że w domu i wszędzie gdziekolwiek się znajdowała, szukała zwierciadła, lubiła w nie patrzeć, chcąc zawsze zdawać sobie sprawę z najmniejszych szczegółów ubrania, po biąły, rumieńca, pudru, fryzury...

Obok Anny siedziały dwie jej najserdeczniejsze i nieodstępne przyjaciółki: pani, którą naówczas w Warszawie zwano Dziobatką, bo ją ospa mocno poszczepiła, znana ze złośliwości i dowcipu, a chlubiąca się najpiękniejszą figurą w pasie, dającą się ująć w dłoń mężczyzny, i siostra stryjeczna Anny, stolnikowa, młoda kobiecina, której charakter stanowiło to, że się zawsze i wszędzie nudziła i ziewała. Mimo młodości i wdzięku, świat, w którym się obracała

wcale jej nie zdawał się obchodzić, żyła w nim nie znajdując przyjemności. Kręciła się wszakże z drugimi, ale roztargniona i zaspana.

Ta trójka przyjaciółek długo gwarzyła, przebiegając dzieje całej Warszawy, wyszukując skandalików, karmiąc się świeżuchnemi nowinami, jak olbrzymy mięsem świeżem w bajkach, gdy nareszcie piękna Anna spytała Dziobatkę wzdychając:

— A cóż o księciu Józefie? nic nowego?

— Zawsze Pepi ciebie zajmuje, moja droga...

— Nie wymawiajcie mi mojej słabości czy uporu...

C'est plus fort que moi... Ale wiecież co nowego?

— Al co mi dasz, to ci rozpowiem całą i ciekawą historycę? odezwała się Dziobątka.

— Cóż? może tę, którą sto razy słyszałam, o pomywacze? Ale wiecież gdzie się to jego bóstwo ukrywa?

— Wiemy przynajmniej jak wygląda, co robi. To cały romans moja droga...

— A mówże i nie trzymaj mnie na dwóch łapkach, jak czasem mego Dżidzi cukrem zmuszam do służenia... No mów! bez przedmowy...

Dziobątka uśmiechnęła się...

— Wiecie gdzie ona mieszka? spytała Anna.

— Jeszcze nie, ale się dowiemy wkrótce...

— Wiecie jak się zowie?...

— O i tego nie jeszcze...

— Jak wygląda przynajmniej?

— Wszyscy mówią, że blondynka i że wcale nie jest tak ładną jakby się domyślać można... dzieweczki młodziuchne, twarzyczka dosyć pospolita, trochę świeżość... *Mais le curieux de l'histoire*, to miłość Pepi,

który ją wychowuje, daje jój metrów, kształci, uczy, i odwiedzając, całuje w rękę z uszanowaniem...

I Dziobotka szepnęła coś na ucho Annie, która ruszyła ramionami.

Stolnikowa ziewając dopomniła się o udział w nowinie owój, którą powtarzano na ucho. Anna śmiejąc się podała jój trzy słowa, i wszystkie śmiać się zaczęły.

— Ale to niepodobna!

— To nie ma sensu...

— Mów dalej kochana... dodała Anna; ludzie stworzyli sobie jak widzę romans Marmontel'a z tój bardzo pospolitej historyi.

— To co wiem, mam z najlepszego źródła, rzekła Dziobotka. Wierzyć, nie powiem żebym wierzyła... ale jest w tём coś prawdy... a wreszcie: *se non e vero, e ben trovato*.

— Koniecznie chcą go zrobić bohaterem! szepnęła stolnikowa.

— Ale moja kochana mów już, bo goreję z ciekawości.

— Pepi najął dla niój przepyszne mieszkanie, osadził przy niój starą gaweruantkę, rozpoczął wychowanie tego dziecka... ale sam prawie jój nie widuje...

— A! to coś szkaradnego, odezwała Anna: z taką zimną krwią, z taką bezlitością karmić tę nie-szczęśliwą jak bydłę, które jutro na rzeź wydane zostanie! Wiele się przebacza namiętności gwałtownej, ale w tём jest coś tak rozmyślnie występnego! Uwaga-cie, dodała, radabym Pepi uniewinnić; ale bądźcie szczere—do czego to podobne, taka wyrafinowana, cblodna, obrzydliwa rozpusta?...

Stolnikowa potwierdziła sąd siostry.

— *Cela n'a pas de nom!* rzekła powoli.

Dziobotka, która wcale inaczej zapatrywała się do-tąd na tę romantyczną przygodę, z razu milezała, potrzebując czasu na zmianę nagłą zdania, ale po chwili zawolala:

— Może nie macie racyi... On ją kocha gwałtownie, szczerze, serdecznie i właśnie dla tego szanuje ją.

— Miłość platoniczna! rozśmiała się Anna: dajże mi z tём pokój! Pepi platonicznie rozkochany!...

Chwilka milezenia przerwała rozmowę; na twarz Anny wystąpił rumieniec gniewu... wstała i poczęła się przechadzać po buduarze.

— Ale to wstyd, to ohyda dla nas wszystkich! zawołała wzruszona, stając naprzeciwko lustra, w którém się przypatrywała z przyjemnością wdzięcznej swój postaci i rozdramatyzowanym ruchom... Wy wszystkie nie umiecie obrachować następstw tego wypadku. Zastanówcież się! pomyście! uważajcie! Pepi jest kwiatem naszej młodzieży, na niego świat ma oczy zwrócone... Człowiek jego wieku, jego temperamentu musi kochać... Odrzuca kobiety, kobiety swojego świata, gardzi nami wszystkimi, rzuca nam w oczy obelgę, jakby mówił: „Żadna z was mojej miłości i serca nie jest warta, będę sobie szukał kochanki na śmie-cisku, tamta jeszcze lepszą od was będzie!” Czyż to nie jasno? czy nie wyraźnie?... Posądzam go, że to zrobił umyślnie; mężczyzna jego wychowania, jego charakteru, nie mógłby się przywiązać do takiejś prostaczki, szurgota... Jest to po prostu tylko wymierzona do nas impertynencya; mówi nam: „Żadna z was nawet *pomywaczki* nie warta!” To śliczne! A my? my z założonemi rękami spoglądamy na tę historję i obo-

jętnie przyjmujemy policzek... nie umiemy się ująć za sobą nawet... brak nam wstydu, któryby obudził gniew! Nie chcemy się pomścić, jakbyśmy czuły, że nas słuszenie ta obelga dotyka...

Stolnikowa, rozbudzona żywém przemówieniem siostry, zmierzyla ją oczyma blademi, otworzyła usta, ruszyła ramionami, ale się nie odezwała. Dziobątka śmiać się zaczęła.

Podsłoczyła ku Annie, schwyła ją w objęcia i krzyknęła z zapalem:

— Wiesz co, zrobimy spisek na Pepi... Ty stajesz na czele.. pokażemy, że pomścić się potrafimy... Masz słusność, tego przebaczyć niepodobna... Potrzeba obmyślić środki, naradzić się *et porter un grand coup*... Pepi nam wszystkim ubliżył, jest to niegodziwość z jego strony, jest to obrachowana obelga...

— A więc zemsta!... Jutro zbieramy się u mnie dla narady; mężczyźni będą wyłączeni: którykolwiek z nich mógłby nas zdradzić; kochają go wszyscy i są dla niego pობлаżający...

— Ale czy się bez nich obejdziemy?

— Obejdziemy! Tajemnica jest najściślejsza pod przysięgą! dodała żywo zapalając się Anna. U mnie jutro pierwsze posiedzenie...

Dziobątka, ilekroć miała coś do czynienia i intyngę do prowadzenia, była najszcześliwszą; znać było zaraz po niej, że myśl spisku dogadzała jej niezmiernie. Pochwyła kapelusz i chustkę...

— Jadę i zwołam na jutro wszystkie... O której godzinie?

— Na dwunastą! ale tajemnica!

— O! tajemnica! Od niej wszystko zależy...

— Słowo?...

— Jak najuroczystsze...

Tegoż wieczoru księżę Józef wiedział o niedoszłym jeszcze spisku... Stolnikowa szepnęła o tém mężowi, Dziobątka Francuzowi, który się w niej kochał, Anna jednemu z wielbicieli. Księżę śmiał się do rozpuku.

Narada uroczysta u pięknej Anny odbyła się o naznaczonej godzinie i przedstawiała prawdziwy sejmik niewieści... Uznano sprawę w istocie za niezmiernie ważną i wymagającą gwałtownych środków... postanowiono wymierzyć wszystkie baterye wdzięków i przymileń na księcia Józefa, aby go od miłości, niegodnej bohatera, oderwać, a z drugiej strony dojść koniecznie do tajemniczój kochanki i starać się dowieść, że stałość i wierność nie są weale przymiotami ludu i niższych stanów. Tryumfowano za wczasu trochę.. Piękna Anna brała na siebie oderwanie tego, którego serce postanowiła pozyskać choćby dla tego; by je potem ze wzgardą odrzucić i pomścić się za długą nieczulość...

Pierwsza część programu łatwa była do wypełnienia, bo nie było dnia, żeby się nie spotykali z księciem Józefem; druga zależała cała od tego, by odkryć mieszkanie i istotę ową tajemniczą, o której mówili wszyscy, a nikt jej dotąd nie widział. Nie można było tego dojść inaczej, tylko śledząc wszystkie kroki bohatera i w ślad za nim wkradając się do mieszkania nieznanomój. Tu już kobiece zabiegi były niewystarczające. Dziobątka wprawdzie ofiarowała się przebrać za mężczyznę, ale wszystkie panie odrzuciły to poświęcenie, znajdując je daremném. Na szpiega takiego potrzeba było mężczyzny zręcznego, któryby nie wahał się znieść przykrości, jakie ten stan za sobą

pociąga, i dotrwał, choćby u zamkniętych wrot, na ulicy, w błocie, póki by do celu nie doszedł.

W tém była główna trudność, bo posądzano wszystkich bez wyjątku mężczyzn o stronność dla księcia, o tajoną przyjaźń dla niego, wreszcie o sprzyjanie sprawie meżkiéj więcéj niż wielkiemu przedsięwzięciu pięknych pań. Gdy przyszło do wyboru, zdania wielce się rozdziwiły, i podawani kandydaci przez te panie, niemal wszyscy odrzuceni zostali. Znalezienie potrzebnego człowieka było niesłychanie trudne... Obawiano się zdrady...

Po długich i burzliwych rozprawach, w których dzwonek prezydentki Anny często nie skuteczną, ale niespokojną odegrywał rolę,—stanęło na tém, żeby powierzyć jéj saméj wybór tego, którego sejm niewieści do odkrycia tajemnicy delegował. Piękna Anna wzięła to na siebie, mając w myśli niedawno ze wsi przybyłego kuzynka, śmiertelnie w niéj zakochanego, o którego poświęceniu dla siebie nie wątpiła.

Dalsze prowadzenie ważnéj dla wszystkich sprawy miano obmyślić naówczas, gdy kuzynek na pewno dojdzie do ukrytego skarbu i da o nim szczegółową wiadomość. Słówko o tym kuzynku jest konieczne. Był to młody staroście Zabielski, wielkich nadziei, ale małego doświadczenia w świecie; Anna obowiązywała się nim pokierować i być mu we wszystkiém mistrzynią.

Staroście, oddany przez matkę w opiekę pięknej Anny, zaczął od tego warszawską karyerę, że się w niéj śmiertelnie zakochał. Wychowany na wsi, chociaż ocierał się o świat większy, mało go znał wprzódy. Matka, kobieta najzacniejsza i nieumieją-

ca dostrzedz nigdzie złego, ani w nie uwierzyć, strzegła jego młodości i zachowała w nim świeżość serca, z którą przybył do Warszawy, ciekawy, rozmarzony, pragnący... Tu jakós rozjaśniło mu się w głowie, ale odchorować musiał na utratę ideałów, na wiarę zachwianą w to, co święta matka tłómaczyła mu weale inaczej, niż się z blizka pokazywało. Staś Zabielski pozostał tylko z jedną niewzruszoną wiarą... w piękną Annę... Miłość, z której sobie kuzynka żartowała, czyniła z niéj dla niego bóstwo; widział w kasztelanowej samą doskonałość.

Niezbyt wielkiego umysłu, poczciwego dosyć serca, lekki i ulegający wrażeniom, Staś w świecie zaczynał odegrywać tę rolę, która dla niego była przeznaczona, istoty niesamoistnéj, łagodnéj, mającéj być narzędziem silniejszych. Na teraz władała nim piękna Anna...

Nazajutrz po wielkim sejmiku niewieścim, wyprawiła Anna karteczkę do Zabielskiego, prosząc go do siebie na samo południe. Chłopiec przyleciał jak oparzony o jedenastéj i przesiedział w przedpokoju godzinę, nim się pani trochę przybrała i stała widzialną. Wpuszczono go nareszcie do buduaru, w którym śliczna Anna właśnie piła czekoladę, siedząc jak zawsze naprzeciw zwierciadła. Była zachwycająca... w białych obsłonach negligiu, w czepeczku rannym, z lokami rozpuszczonemi umiejętnie, w szlafroczku różowym, który roztwarty, bogato oszytą koronkami odsłaniał spódniczkę. Koniec maleńkiéj nóżki w pantofelku aksamitnym gryzł właśnie Dzidzi, który porzucił tę zabawkę, lecąc natarczywie na przybyłego... Staś przystanął we drzwiach, zachwycony obrazem... Anna

uśmiechnęła się w duszy, czując, jaki urok na niego rzuciła; nieśmiały młodzieniec z bijącym sercem ledwie umiał się przywitać.

— Chodźże tu bliżej, kuzynku... chodź i siadaj...
Chcesz filiżankę czekolady?

— O! dziękuję, dziękuję...

— Słuchaj, mam wielkiej wagi sprawę, którą ci chcę powierzyć, *ce seront vos premières armes...* Ale nie zawiedźże, mnie, starościecu... Wybrałam ciebie, bo wiem, że mi jesteś oddany. *N'est ce pas?*

— A! całą duszą... życiem.

— O! o! tylko proszę nie iść za daleko! Będę ci bardzo wdzięczna, ale bardzo!...

Spojrzenie dokończyło, pełne głębokiego znaczenia, pełne uroczych obietnic.

— Nim zacznę, dodała Anna stawiając filiżankę: muszę najprzód wymagać przysięgi...

— Na co każesz?...

— Przysięgi *d'un homme d'honneur*, na największą tajemnicę... *Fespère que vous êtes discret.*

— Jak kamień...

— Przysięgasz?

— Przysięgam na wszystko najświętsze... a najprzód na moją... na mój szacunek dla ciebie...

Podala mu rączkę bieluchną, miękką, atlasową jakby dla przyjęcia przysięgi. Staś złożył na nią gorący pocałunek. Gotów był dać się powiesić za nią.

— Zobacz, czy ta nieznosna Róża nie podsłuchuje podedrzwiami. *Elle est d'une curiosité...* Idź na palcach...

Młodzieniaszek poszedł i obejrzał się doślad, a Dziadzi towarzyszył mu w przechadzce, chodząc go za nogi.

— Nie ma nikogo.

— Siadajże, ale bliżej, abym cicho mówić mogła... I wskazała mu miejsce tuż przy sobie.

— Wiesz, lub nie wiesz, musiałeś słyszeć przecię, że książe Józef, gardząc nami wszystkimi... pokochał się w jakiejś prostej dziewczynie, w szurgocie, *une laveuse de vaisselle... enjin*, nie wiedzieć w kim... *C'est une horreur!* Postanowiłyśmy go ukarać! Ale potrzeba dojść kto jest ta kobieta, gdzie ona mieszka.. jak wygląda... a nikt dotąd téj tajemnicy przeniknąć nie umiał. Jesteś wybrany na to... musisz się dla mnie poświęcić....

— A! rzekł młody chłopiec... Ale nauczcież mnie co mam robić?...

— Śledzić go krok w krok i dojść, dojść koniecznie; naówczas doniesiesz mi gdzie się ta kobieta ukrywa. A... resztę zobaczymy...

Staś mocno był zmieszany: spodziewał się innej roli, wyznaczona zdawała mu się niemal uwłaczającą... Być szpiegiem, nawet dla ślicznej kuzynki, nie było dla niego miłym. Twarz jego mimowolnie wydała to wrażenie... ale Anna uśmiechnęła się, a oczy jej, przez chwilę skierowane na starościeca, przekonały go wkrótce, że nie było ofiary, do którejby dla niej nie czuł się zdolnym...

— A więc?

— Zrobię co tylko będę mógł! rzekł Zabielski...

— Zrób nawet to, co ci się zda niemożliwe i wierzącej wdzięczności...

— Idę, leczę, nie odstąpię go krokiem...

— Ale o czym się, musisz go śledzić niepostrzeżony, przez... na przestraszona: w największym sekrecie... książe jest domyślny, ty musisz być ostrożny, pamiętaj. A teraz idź i nie trać czasu...

— Lecę! rzekł staroście...

Anna podała mu rękę na pożegnanie i upoila go wzrokiem.

— Byleby jakiego głupstwa nie zrobił! rzekła w duchu; o zapale nie wątpię. Ale czy ten mu *da* *zrećność?*

Wybiegłszy dopiero na ulicę i ochłonawszy po wrażeniu tych czarodziejskich spojrzeń, które go nabawiły szalu, staroście pomiarkował, że rzecz, której się podjął, nie była tak łatwa, jak się na pierwszy rzut oka zdawało...

Nie należał on do tych satellitów, do *teżyzny*, która nieodstępnie prawie okrążała księcia i całe dni z nim spędzała... nie mógł tak nagle przywiązać się, przyczepić i śledzić go niepostrzeżony... bał się, aby go nie odkryto, aby się roli upakarzającej, jaką przyjął na siebie, nie domyślono; nie chciał narazić się księciu i jego przyjaciółom, bo z wpływem ich walczyć nie mógł... Poczul, że się porwał na zadanie przechodzące jego siły...

Na los szczęścia rzucił się do powozu najętego i kazał wieźć się na Krakowskie, spodziewając się gdziekolwiek spotkać księcia i znaleźć pretekst, by się go uczepić na dzień cały. Ale zaraz na wstępie postrzegł karykl karemi końmi zaprzężony, który szybkim klusem mignął mu tylko przed oczyma i zniknął lecąc w aleje Ujazdowskie...

Staś kazał jechać za księciem...

Chociaż powóz, który naprędce pochwycił, zaprzężony był dobrymi końmi, świeżo sprzedanymi przez hr. Thomatisa, i rozpoczynającemi dopiero swój zawó

najemników, nie można było niemi walczyć z rumakami księcia Józefa, który tylko kurzawę ogromną podniosłszy za sobą, mignął jak strzala i zostawił w tyle wszystkich. Na rogu alei Ujazdowskiej była naówczas modna garkuchnia, w której wyprawiano śniadania; najslawniejsze w niej były raki, ale że na nie pora jeszcze nie przyszła, zastępowały je kureczka i różne przysmaki, a lepiej jeszcze olbrzymie liba-eye, tak naówczas częste i w codzienny prawie obyczaj weszły od Sasów.

Karykl księcia Józefa stał właśnie przed tym domkiem otoczonym zielenią, a kilka innych powozów dowodziło, że oprócz niego było gości wielu... Staś poznał konie Potockich, Lubomirskiego, Sapiehy... Chociaż nieproszony wcisnął się do sali...

Książę Józef przechadzał się, nie myśląc zasiać do śniadania, zrobił grzeczność amfitryonowi, że przybył, ale nienawykły do kielicha, umoczył tylko usta i zabierał się już do odjazdu, pod pozorem pilnej bardzo wojskowej sprawy...

Staś przywitał się z nim grzecznie... i z przestraszeniem dostrzegł na twarzy księcia dziwny, prawie sztyderski uśmiech.

— Al spodziewałem się tu ciebie! rzekł mu książę.

— Jak to?

— Chodź, to ci powiem dla czego, dodał pierwszy, biorąc go pod rękę i wprowadzając w głąb salki. No! patrz mi w oczy śmiało! Anna ci kazała mnie śledzić i wykryć tajemniczą istotę jakąś, o której wieść chodzi, że w niej zakochany szalenię. Nie kłam i przyznaj się... zdrowiej ci będzie.

Piorun byłby mniej może wstrząsnął starościca niż te wyrazy. Cofnął się przestraszony...

— Widzisz, ja jestem czarownik i wiem wszystko, nawet to, coście przed półgodziną mówili z sobą w buduarze Anny... choć jeden Dzidzi był świadkiem. Nie zapieraj się, nie mam ci za złe, żeś jój przyrzekł co chciała. Jesteś w tym wieku, kiedy dla czarnych oczu, dla ramion otoczonych koronkami białemi, osłoniionych w aksamity i atlasy, życie się nawet poświęca... Niestety! szkoda życia! ale mniejsza o to... Mina podsadzona podemnie jest odkrytą... ale mi cię żal, chcę cię ratować Stasiu...

— Mości książę...

— Dwa słowa... Daj sobie wieczorem zawiązać oczy, a będziesz widział tę, którą tak odkryć pragniesz... i pozwolę ci opowiedzieć co posłyszysz i zobaczysz... Cheesz?

Staś stał osłupiały. Struchlał, nie wiedząc co ma odpowiedzieć.

— Nie zapieraj się... przyjmujesz?

— Przyjmuje! rzekł zaczerwieniony chłopak... Ale książę się nie gniewasz?

— Widzisz, że się tylko śmieję...

Podali sobie ręce...

— Starościcu, jesteś młody, dodał książę Józef, — jedną ci dam radę: dawaj kobietom życie, jeśli je masz na zbyciu, ale... strzeż się w ich ręce powierzyć... honoru... Dziś to jest igraszka, jutroby mogło być gorzej... Do zobaczenia! o godzinie dziesiątej czekam cię u siebie... przyjdź pieszo... Dopóki nie zobaczymy się, nie masz prawa pisać ani słowa...

Staś skłonił się pomieszany.

— Unikaj dziś Anny... jutro powiesz jój wszystko... Latać za mną... byloby napróżno, nie odkryjesz nic... ja ci sam wszystko pokażę... Anna będzie na

herbacie u hetmanowej, ty nie jedź... Zresztą bądź spokojny, wyjdiesz zawsze z tryumfem, zobaczysz to, czego świat nie widział... Do widzenia.

To mówiąc, książę odwrócił się, wbiegł w kółko biesiadujących na chwilę i pojechał do Mokotowa, do księżny marszałkowej Lubomirskiej. Śniadanie, na które gwałtem wproszono Stasia, przeciągało się dalej, przybierając rozmiary niezmiernej pijatyki. Młodzież doszła do tego stopnia rozszalenia i dobrego humoru, iż przewidywać było łatwo, że się śniadanie na sucho bez jakiegóś historyi nie skończy. Jakoż w istocie gotowała się ta sławna później sprawa, o której wspomnieć musimy, bo maluje dobrze ten dziwaczny szal, jakiemu ówczesna młodzież ulegała. Rozpowiadano długo o tém śniadaniu, i Inflanteryk podróżny, który zostawił opis swój podróży po Polsce, wspomniął o niem jako o charakterystycznym rysie obyczajowym epoki.

Księżna marszałkowa utrzymywała u siebie w Mokotowie wielką ilość rozmaitego ptactwa i drobiu: bażanty, kury afrykańskie, pawie, które ożywiały ogród i dziedziniec. Do wielu ówczesnych fantazyj, na jakie próżnujący ludzie chorować zwykli, należała hodowla zwierząt, zamilowanie w bonończykach, a u mężczyzn amatorstwo koni niepospolitych i drogich. Przepłacano taranty, konie izabellowe, maleńkie kucyki, długogrzywe lub fryzowane. Księżna marszałkowa lubiła bardzo swoje kury i gąski; może też krowiarnia Maryi Antoniny trochę na to wpływała. Po wyjeździe księcia Józefa do Mokotowa, młodzież wychylała kielichy, które wprędce rozpały głowy. Zrodziły się żale i pretensye do księcia, że im towarzystwa nie dotrzymał. Ktoś rzucił myśl: „Weźmiemy wina z sobą i pogonimy za nim do Mokotowa...”

— Brawo! jedźmy do Mokotowa!

W takim usposobieniu umysłów najniedorzeczniejszy wniosek bywa przyjmowany łatwo. Ruszyli się wszyscy, obsiedli powozy, zabrano kosz szampana, i cała ta czereda, śpiewając pieśni pół-francuzkie, pół-polskie, zatoczyła się przed ganek, gdzie naturalnie jój nie przyjęto; księcia Józefa także nie zastali. Odmówienie, które spotkali u drzwi, obraziło przewodców tej demonstracji...

Musimy choć kartę wizytową po sobie zostawić...

— Zrobimy polowanie!

Nie wiedzieć jak do tego przyszło, ale wszystek drób i ptactwo księżny marszałkowej padło ofiarą śniadania; kury, indyki, pawie, gęsi, pościnano szablami. Trwała ta rzeź i upędzanie się za wypłoszonym ptactwem dobrą godzinę, a ludzie księżny, z razu spróbowawszy stanąć w obronie przeciw napaści, zmiarkowali, że z podchmielonymi nie ma co żartować, cofnęli się i wydali no pastwę nieszczęśliwe zwierzęta...

Dokonawszy tej krwawej zemsty na niewinnych ofiarach, tryumfatorowie powrócili w Ujazdowskie aleje, aby tam czas przepędzić aż do reduty... na którą umyślili wtargnąć wszyscy, ufarbowani i poprzebieran za kominiarzy... Przysposobienie do tej nowej wyprawy zabrało czas do wieczora.

Wieczorem przed redutą była herbata u pani Branickej. Książę Józef, który resztę dnia po przejeździe ranną spędził w domu z książką, ubrany w tę kurtkę, w której mu tak było ślicznie i do twarzy, pojechał do hetmanowej. Wiedział, że i król miał być tam

na chwilę. Traf chciał, żeby się z nim właśnie u drzwi spotkali.

— A cóż to ciebie Pepi nie widać nigdzie? spytał Stanisław August.

— *Cher oncle*, ci mnie tylko nie widzą, co nie chcą.

— Ale rzadkim poczynasz być w zamku...

— Zawsze jestem na rozkazy, najjaśniejszy panie, dodał książę Józef.

Król westchnął i spuścił głowę... Weszli na wschody, gdzie u góry czekało króla niemal całe towarzystwo. Książę Józef wsunął się w jego orszaku, i znalazł się wkrótce otoczony kwiatem kobiet wystrojonych, wybrylantowanych, które mu się uśmiechały z dziwnie szyderską miną...

Anna była pomiędzy nimi, prawie tryumfująca; udawała, że wacha przepyszny bukiet, który trzymała w ręku, ale oczy jój z ukosa wpatrywały się w bohatera, który postrzegłszy ją, ze szczególnym pośpiechem i nadszkwianiem zbliżył się zaraz do niej. Anna z razu udała, że go nie spostrzega, przywitała dosyć obojętnie; tak wymagała strategia, która każe grać chłód, gdy postrzega z drugiej strony choćby promyczek uczucia. Książę Józef uśmiechając się ją przywitał.

— Jakżeśmy się dawno nie widzieli!

— A! to przynajmniej nie moja wina! odparła Anna z wymówką.

— Moja zbrodnia, do której się przyznaję, i na klęczkach o przebaczenie za nią proszę.

— Książę to nie na mnie jedną jesteś tak nie-laskaw, ale na cały nasz biedny świat... Utonąłeś gdzieś w swych książkach, czy... ja nie wiem, ludzie różnie mówią.

- A! czegoż to ludzie nie mówią!
- O! to prawda! na księcia szczególnie, o którego wszyseśmy zazdrośni...
- Cóż naprzykład?
- Żeś zakochany...
- A! w pomywaczce! *vieille histoire!* slyszalem...
- Bo jużciż w wieku twym, mości książe, nie można nie kochać...
- Ale można głęboko miłość ukrywać...
- Książę westchnął.
- Jeżeli się jój wstydzic potrzeba...
- Jeżeli jest bez nadziei i bez przyszłości...
- Dla was, mości książe! nie ma miłości bez nadziei... cicho szepnęła piękna Anna.
- O! pani, rzekł książę—różne są nadzieje... Nazywam najniezszczęśliwszą miłością bez nadziei taką, która nie zaslania nam sobą calego życia aż do grobu... która jest jak kwiatek wdzięczny, co ma nieodzwownie jutro uwiednąć; lepiej go nie zrywać.
- Dla czego? nie jesteż wszystko szczęście tego świata tylko wonią kwiatka chwilową?
- To odstręcza od życia! westchnął książę. Szczęściem, że cale życie nie zamyka się w miłości...
- Tak, dla was... ale dla nas...
- A! droga pani, dajmyż pokój tój żegludze po rzece *du tendre*... mówmy otwarciój, wybuchnął książę Józef. Szalony, ktoby życie za miłość postawił... bo któraż z was kochać umie?

— Mości książe!

— Któraż z was ma serce? dodał książę Józef: co się u was sercem i miłością nazywa? Bądźmy szczerzy: fantazyja, podbudzona miłość własna, próżnostka, próżnowanie... ale cichego, głębokiego prz

wiązania na wieki, gotowego do poświęceń... o! tego u was szukać byłoby stratą czasu i szaleństwem...

— I dla tego książe—odparła urażona Anna—puściles się w podróż odkryć pomiędzy... pomywaczki...

— *Vouz y tenez!* rzekł śmiejąc się książę; niech i tak będzie... Spodziewam się odkryć jeśli nie Amerykę, to choć spokojną jaką wysepkę na oceanie, gdzieby po trudach długiej żeglugi i burzliwego morza odetchnąć można...

— Coś w rodzaju Robinsona Cruoe'go? rzekła Anna

— Pani dziś jesteś złośliwą.

— O! nie, wierz mi książe, jestem w jak najlepszym humorze...

— Ja także, zawolał książę Józef. Jak to się szczęśliwie schodzi! mogliśmy zabawić się wesolo...

Anna spojrzala mu w oczy; w istocie błyszczał w nich dowcip i swoboda.

— On szczęśliwy! rzekła w duszy: z czola mu promienieje tajemnica! Szczęśliwy... z kim? jak? *c'est indigne!*

W sercu pięknej pani zrodzila się zazdrość gorąca; książę patrzal na salon z obojętnością człowieka starego, któregooby lalkami bawic cheiano...

Piękna Anna odsunęła się powoli.

— Czeka! szepnęła w duszy: nie ukryjesz się przed nami, musimy wiedziec twą tajemnicę; a wówczas *nous aviserons!*

— Mości książe! rzekł zbliżając się do niego Branicki, na którym znać bylo nieco hulankę obiadową i świeżo opuszczony stół biesiadniczy. Stoisz jak marmurowy Apollo belwederski wśród tego rajy, zimny, obojętny... Jeśli tych oczu blaski nie potrafią cię ożywić, to cóż u licha życie w tobie obudzi?

— Co? rzekł książę: wiesz co? oto trąbka bojowa, koń rżący z niecierpliwości, kurzawa bitwy i pogoni, i gorączka walki zajadłéj... A! gdyby znowu wojna, jakbym poleciał skąpać się w tym ukropie!... odżyłbym może jeszcze!! Tak gnusnie patrzeć w czarne oczy... raj Mahometa... ale śmierć sercu mężkiemu.

— A! a! czarne oczy! piękna Anna! szepnął Branicki: widzę co się święci... i toż przecie walka... Życze szczęścia i usuwam się z drogi...

To mówiąc wszedł między mężczyzn, a książę Józef po chwili wysunął się z salonu.

Staroście Zabielski, odprawiwszy swój powóz, czatował już na księcia Józefa, i gdy ten powracał do domu, znalazł go na ganku, trochę ostudzonego chłodem wieczornym i rozmyślaniami dnia całego.

— A! słowny jesteś, rzekł książę: to dobrze; chodź ze mną, zdaje się, że nie pożałujesz zachodu.

Weszli do saloniku, w którym gospodarz zostawił gościa, dając mu jakieś wielkie *in folio* do przeglądania, a sam poszedł się przebrać. W kwadrans potem powrócił po cywilnemu i zawołał do starościca po francuzku:

— Jeszcze mamy jedną formalność do spełnienia. Oczy ci zawiążę; ale gdybyś przypadkiem jakim odkrył okolicę i poznał miejscowość, wymagam słowa honoru, że o niej Annie słowa nie powiesz.

— M. książę, rzekł staroście: ponieważ mnie sam wiesz, nie masz się o co obawiać.

— Więc idziemy... Służę ci.

Nie wyszli z pałacyku przez główne drzwi, ale bocznymi wschodami. Książę przeprowadził Zabielskiego

skiego po ciemku; ścieżką, która szła do ogrodu, spuścili się na dół, wyszli fórtką ukrytą w zaroślach, a na ulicy zastali stojący powóz zamknięty, bombę w rodzaju tych, jakie wówczas były w modzie. Książę wpuścił najprzód starościca, czarną chustką silnie zawiązując mu oczy, siadł potem sam i szepnął coś furmanowi. Powóz mimo ciemności potoczył się szybko... Staroście spodziewał się zorientować, wkrótce jednak poplątało mu się w głowie; czuł bruk pod kołami, potem ziemię ubitą, potem znów twarde kamienie, i znowu miękkie błoto wiosenne, i znów nierówny bruk miejski... Powóz po dobrej półgodzinie szalonego biegu wstrzymał się, a książę wyciągnął starościca, zakazując mu oczy odsłaniać; ujął go za rękę i poprowadził z sobą po cichu. Zabielski słyszał otwieranie fórtki i drzwi kluczem, który przybyły miał z sobą... Raz czy dwa woń zielonych drzew i gałęzie wilgotne rosą wieczorną dały się uczuć starościcowi; potem weszli do mieszkania.

— Stój tu, rzekł książę: naprzeciw ciebie są drzwi szklane przysłonione franką. Możesz ją ostrożnie poruszyć i patrzeć... ale siedź cicho... bo się pogniewamy. Jeśli masz kaszel, staraj się go stłumić w siebie.

Zabielski, usłyszawszy instrukcję, żywo oderwał z oczu zasłonę i obejrzał się. Księcia już nie było... Stał w pokoiku ciasnym, ciemnym, ale trochę światła wpadało do niego przez zasłonę we drzwiach, u których go postawiono. Z ciekawością niezmierną Staś zbliżył się do nich, poruszył frankę, i wzrok cichej zatopił w przyległym pokoiku, w którym panowała cisza.

Pokoik był bardzo skromny, cały ukwiecony, świeżuchny, w okienkach białe firanki upięte wdzięcznie, sprzęt przyzwoity, jakkolwiek niewytworny wcale... Stolik, kanapka, mały klawikordzik w kątku, na którym leżały nóry otwarte, na stoliku trochę książek i papierów; świeca woskowa paliła się, niebardzo strzeżona widać, bo długi knot jój świadczył, że o niej zapomniano.

Tuż w fotelu drzemała staruszka, której pończocha spadła na kolana, a głowę pochyliła aż na piersi; sen widocznie ją zmógł mimowoli, bo palce trzymały jeszcze dróty i poruszały się nieco, jakby do pracy powrócić chciały... Naprzeciw zamysłone, z rączkami skrzyżowanymi na kolanach, z główką pochyłą, siedziało dziewczę dziwnie piękne, drobne, kształtne, z czystym czołem dziewiczym, które koronowały gładko uczesane włoski, z różową buzią aniolka i wyrazem niewinności na twarzy, prawie dziecińnej. Staś uderzony był tą pięknoscia, niepodobną do hałaśliwych, narzucających się wdzięków pań stołecznych; była sobie cicho piękna jak obrazek jakiś, jak marzeńko niebieskie, i tak beznamiętnie, spokojnie szczęśliwa, jak gdyby dla niej zakres pragnień nie przechodził progu izdebki. Kiedy niekiedy spoglądała na staruszkę i uśmiechała się nieznacznie z wyrazem przywiązania i czułości.

Gdy się tak staroście przypatruje ciekawie, chwytając wszystkie szczegóły obrazka, drzwi się otworzyły i wszedł powoli na palcach książę... ale nim jeszcze ukazał się w progu, już przecucie zwróciło ku niemu główkę dziewczęcia, które zadrżało, zerwało się z krzeselka i na palcach pobiegło ku niemu, wskazując uspijoną staruszkę...

Zdumiał się bardzo staroście, widząc, że książę przywitał podbiegającą pocałowaniem jój ręki, nie okazując wcale spoufalenia zbytniego... ale natomiast w oczach jego i Julii promienista świeciła radość.

— *Mais c'est une idylle!* rzekł w duchu staroście, któremu żywo biło serce.

W tej samej chwili staruszka się przebudziła; żywo najprzód zaczęła robić pończochę, nie spostrzegłszy księcia, otarła knot u świecy, i zobaczywszy go dopiero, zerwała się zmieszana...

— A! mości książę! odezwała się po francuzku stara. Mogłoby się wydać komu, żem zasnęła, chociaż doprawdy nie spałam. Julka siedziała zamysłona, i mnie także przyszły wspomnienia do głowy... sama nie wiem...

— Ale moja Lagrange... grzech to niewielki... gdybyś nawet zdrzemnęła...

— Doprawdy m. książę, nie spałam...

Julce pusty śmieszek przelatował po ustach, ale usiłowała go ukryć i przytłumić... Patrzała na księcia, a książę na nią z uczuciem spokojnego przywiązania...

Staroście stał osłupiały.

— Cożś robiła, moja panno Julio? zapytał po chwili.

— O! dzień nam przeszedł jak zawsze w pracy...

— Ona się istotnie zmęczyła, podchwyciła p. Lagrange. Z rana przychodził Folino do rysunku... pokazuje album moje dziecię... potem de Santis do śpiewu i do fortepianu... potem czytałyśmy razem...

— A! tego nudnego Rollina... przerwała Julia... aleś książę kazał uczyć się...

I spojrziała na niego...

— I chodzyliśmy na przechadzkę, dodała staruszka.. wieczór był prześliczny...

— A więcej co, moja miła? zagadnął książę.

— No cóż, tęskniłam po księciu... odparło dziewczę: jak zawsze...

— O! czyż po mnie?

— Alboż jest kto dla mnie więcej na świecie nad mojego księcia, mojego pana?

— Opiekuna, dodał książę Józef wesolo—starego, nudnego opiekuna, który przychodzi dawać nauki moralne, bez względu na wiek, na młodość trzpiotowała.

— Książę się obgadujesz, rzekła Julka; a mnie się na lzy zbiera, gdy na ciebie patrzę...

— O! już jak ona kocha księcia, to doprawdy aż do nedorzecznosci, odparła p. Lagrange. Cały dzień żeby pomyślała o czém inném: rysuje, mówi o księciu; chodzimy, patrzy tylko czy go gdzie nie zobaczy.

— I nie nudno ci tak, moja Julko? spytał książę...

— A! możeż być nudno w takim szczęściu?

Staroście dojrzał lzy w jęj oczach... Spuściła główkę i zarumieniła się milcząca.

— Ale książęby co może zjadł? przerwała p. Lagrange; mamy poziomki... śmietankę...

Julka nie mówiąc podniosła oczy na niego powoli, a Francuzka zaczęła się krzątać około podwieczorka... Zostali sam na sam; coś szeptali z sobą, ale staroście z podziwieniem przekonał się, że ta pogardliwie pomywaczką przezywana dziewczeczka, była dla księcia jakby dzieckiem ukochaném; że miłość jego dla niej

była pełna poszanowania i tkliwości, czémś na ów wiek zepsucia niepojęcie czystém, idealném.

Z obu stron widać było przywiązanie namiętne, ale nymyślnie ze strony księcia utrzymujące się w granicach szczęścia czystego i niezakłóconego.

Gdy w niebytności pani Lagrange pocałował ją w czoło ze wzruszeniem, Julia oblala się rumieńcem, jak krwią cała, pochyliła się na jego ramię i znowu parę łez brylantowych zaświeciło na jęj powiekach.

— O mój panie! jakże mi dobrze żyć tęp życiem, które otwarłeś przedemną, coraz szerszém sercem, coraz silniejszą myślą, coraz większym spokojem ducha! Cóż gdy czuję, że te kwiaty dla mnie rozwijają się nad brzegiem przepaści. Ciebie inny świat, inne przeznaczenie czeka... każda chwila może mi ciebie odebrać... a potem... cóż? samotna śmierć...

Po czole księcia przeleciała chmurka i westchnął...

— Nie Julko, póki ty mnie kochać będziesz i ja ciebie, nie nas nie rozdzieli... Tyle mojego szczęścia, co przy tobie i z tobą... Może przyjsć chwila, gdy mnie obowiązek honoru powoła z orężem w ręku na pole walki, wówczas rozstać się będziemy musieli.. Może umrę... mam przecucie wczesnej śmierci, ale się jęj nie boję, wierzę w przeznaczenie zagrobowe... dziwne sny mi przelatują głowę... Wiesz, zdaje mi się często, że pamiętam jakieś życie przed tęp życiem i spodziewam się życia po śmierci... Jakiego? nie wiem. Czuję, że ciebie gdzieś wpród widziałem... spotkałem, żeśmy się już kochali dawniej... Byliśmy dwojgiem ptaków... lataliśmy razem nad szerokimi płaszczyznami, mieliśmy gniazdko u brzegu w sitowiaeh... Mnie dziki strzelec zranił, padłem w wodę i tonąłem... czulem krzyk twój... latającej nademną...

muskalaś skrzydłem fale, które mnie pochłonać miały; jam się pasował z niemi... naostatku i głosu już twego nie słyszałem... Głucha, straszna otoczyła mnie ciemność, jakby sen długi bez marzeń...

— Co też to księżę sobie roisz! zawołała Julka, której usta uśmiechały się, a oczy zachodziły łzami. Ja doprawdy niedobrze nawet rozumiem... Gdzieżby człowiek mógł się stać ptaszkiem, albo ptak człowiekiem?

Księżę zadumał się chwilę...

— Ty możeś była kwiatkiem na łące, różanym, nie prawdaż? rzekł uśmiechając się.

— Księżę sobie żartuje...

Wtém pani Lagrange wniosła poziomki i śmietankę. Księżę zasiadł z Julką przy stoliku i zaczęła się cicha rozmowa...

Staroście patrzył, i ta scena sielankowa, te rozmowy urywane, to obojętne się braterskie księcia Józefa, niezrozumiałemi mu się zdawały, jakby komedya dziwna i prawie śmieszna.

Już ten świat Warszawy trochę go był zepsuł; ale Zabielski był młody i uczucie wkrótce przemogło... Z uwielbieniem, z zazdrością począł się wpatrywać w ten obrazek cichego, spokojnego szczęścia.

— A teraz do egzaminu! zawołał po chwili księżę: pokaż mi robotę... zagraj mi co, zaśpiewaj...

— De Santis z niej nadzwyczaj kontent, rzekła szybko pani Lagrange; mówi, że świeższego, piękniejszego głosu nie słyszał od dawna... Rokuje Julce świetne powodzenie, gdyby kiedy w operze wystąpić chciała.

Księżę się rzucił i zmarszczył.

— Co za myśl! zakrzyknął. Teatr! nigdy na to

nie pozwolę... Czyż głos Bóg dał na to, aby koniecznie z niego szukać chluby, oklasków i zysku? Dośćby było nogą stąpić na te deski, aby stracić spokój i niewinność duszy!

Julka pobiegła do fortepianu i nie słysząc protestacyi księcia, zaczęła świeżym, pełnym głosem arję Mozarta; ale po pierwszych taktach księżę jęj przerwał.

— Dość! dość! rzekł; ta myśl teatru truje mi wrazenie jęj śpiewu... Zdaje mi się, że ją widzę zmienioną, wystrojoną, śmiejącą się stu na raz czcicielom... wietrznicą, pustą i bez serca...

Julka skoczyła od fortepianu i żywo przybiegła do księcia, patrząc mu w oczy wzrokiem, w którym oburzenie błyskało.

— Księżę, rzekła, niewszystkie kobiety rodzą się bez serca, lub tracą je w młodości... Ja czułam je w piersi, nim nazwać jego bicie umiałam; ja go już nie tracę. To życie, o którym mówi stary de Santis, nie uśmiecha mi się weale, wystrasza mnie jak groźba. Ja kocham ciszę, spokój, ten mój los, nad który szczęśliwszego nie pojmuje, ja czuję, że oklaski nie nasycają, że burzą i niepokoją... Cheiałabym śpiewać dla mego opiekuna, grać, uczyć się, wyrozumnieć, wypięknąć, aby mnie uznał kiedy za godną tego przywiązania braterskiego, którym mnie biedną obdarował niezasłużenie... Cheiałabym być czémś dla niego, dla niego jednego... a potem, gdy mu się znudzę, gdy mnie odepchnie, zapomni, resztę życia spędzić we wspomnieniach, na marzeniu o chwili szczęścia, na rozpamiętywaniu dni jasnych...

Julka rozplakała się, księżę ją uspakajał czule, ale znać było po nim, że się powstrzymywał i ha-

mował, że więcej czuł niż okazywał, że umyślnie nawet wesolość, której w duszy nie miał, udął dla jój rozweselenia. Powrócono do poziomek.

Staroście patrzył przejęty, a ile razy wzrok księcia skierował się ku niemu i fiances, za którą stał, prawie się gniewał na niego za to obojętne postawienie go za drzwiami szczęścia, jakby nie nie znaczącą jakąś istotę.

Pokutnicze wyczekiwanie za drzwiami i przypatrywanie się scenie, która coraz zajadlejszą zazdrość budziła w Zabielskim, trwało dosyć długo. Naostatek księżę po rozmowie cichiej z Julką, którą potrafił rozweselić i ożywić znowu, pożegnał ją i panią Lagrange, co zjadłszy niemal wszystkie poziomki, już drzemać znowu poczyniała. Po chwili staroście ucałował rękę, która go ujęła i wywiodła na powietrze. Księżę zawiązał mu oczy, wsiedli do powozu. Jakiś czas milczeli oba, nareszcie księżę się odezwał poważnie:

— Widzisz teraz tę rozpusztę sybaryty, szukającęgo upojenia w poczwarnych jakichś zachceniach. Nadto jesteś młody, abym potrzebował ci dowodzić, że ten stosunek zrodziła pustka serca, brak uczucia, a nie szal jakiś zwierzęcy. Nasz świat, starościcu, jest światem drewnianych lalek, po których towarzystwa żywego człowieka, serca prawdziwego pragnie się jeszcze goręcej. Te lalki ludzą cię pozorem, drażnią, do rozpaczki przywodzą. Któż mi może wzbronić tego pół-braterskiego, pół-ojcowskiego szczęścia, którego kosztuję przy tém dziecku?.. Można mię spotwarzyć, o to nie dbam... Lecz okrucieństwem by-

łoby stawać mi na drodze... i śmiałek, coby to przedsięwziął, życiemby przyplacił pewnie. Po atmosferze salonów tu świeżem oddycham powietrzem, tu naturalnego widzę człowieka, tu czuję serce, tu kocham i zapominam o wszystkiém. Możesz opisać Annie coś widział,—dodał księżę—ale nie podawaj tego w szyderstwo, bobyś popełnił występki...

Staś milezał, dziwnie przejęty i pomieszany...

— Gdzie cię mam wysadzić? spytał księżę Józef.

— Gdzie się księciu podoba.

— Może naprzeciw mieszkania Anny? Zdasz jój sprawę z posłannictwa pod pierwszém wrażeniem, to lepij. Nie ma więcej nad północ, wpuszczą cię jeszcze... Zaspokój to gorączkowe pragnienie ciekawości.

Po chwili powóz na dany znak wstrzymał się, i staroście zamyślony znalazł się przed pałacem zajmowanym przez Annę. Księżę odjechał ku zamkowi, a Zabielski ogłuszony zastukał do bramy, po za którą świeciło się jeszcze.

— Pani wróciła? spytał szwajcara.

— Nie ma jój, ale jest spodziewaną co chwila; a przykazano mi, gdybyś jw. pan przybył, prosić, byś na nią raczył poczekać.

Staś wszedł na wschody, układając w głowie co jój rozpowie.

W sali palił się ogień na kominku, w żyrandolach światło; u drzwi Louis drzemał oczekując, a Dzidzi aksamitnej poduszce zawarczał z daleka, mniéj bęzuchwałym w niebytności pani. Staroście rzucił

się na krzesło; głowę miał pełną obrazu, który tylko co widział, serce jakieś rozkołatanę, niespokojne. Szcześnie sielankowe księcia Józefa w tym salonie zdawało mu się prawie śmiesznie, tak jak ów salon z izdebki Julki wydałby mu się nieprawdopodobnym. Porównywał w myśli Annę z tą prostą dziewczeczką, i namietność tylko ciągnęła go do pierwszej, gdy do drugiej wiodła siła nieznaną spokojnego współżycia.

— Jestem śmieszny przez swoją wrażliwość, rzekł do siebie. Jak to być może, żeby to dziewczę taką w mych pojęciach czyniło zmianę? Dla czego Anna zdaje mi się mniej powabną? Dla czego te wspaniałości i zbytki rażą mnie jak teatralne lachmany?...

Domawiał tych wyrazów, gdy szmer się zrobił w domu, i piękna Anna w szalu indyjskim, który się za nią włóki puszczonej z ramion, w toku z piórami, wśliznęła się do salonu.. Dzidzi wybiegł naprzeciw niej szczekając.

— A! staroście! zawołała, szukając oczyma nie jego, ale zwierciadła: — z raportem! nie prawdaż?...

Staś zdziwił się, mimo blasku stroju obrachowanego na podniesienie jój wdzięków, znajdując ją mniej piękną niż zwykle, ładną sztucznie, zbyt wymuszoną pięknością. Anna rzuciła się na sofę.

— Cóż masz? spytała cicho, ze zwierciadła rzucając na niego wzrokiem omdlałym.

Staroście nie bez zgryzoty pewnej sumienia zaczął jój opowiadać wszystkie przygody. Anna słuchała milcząca, niekiedy uśmiechając się kwaśno. Mimo woli w mowie starościca czuć było zazdrość trochę i zbyt wielki zapal dla ubogiej dziewczeczki.

— Wszyseście tacy, przerwała mu wśród opowiadania Anna. Byłe co nowego, niezwyčajnego

choćby brudne dziewczę z garderoby... imaginacya się zapala... A! fe!

— Pani, rzekł Staś, to wygląda weale inaczej niż sobie wyobrażasz!

— Cóż tedy, idylla!... mów dalej.

Staroście mówił, płatał się, Anna parę razy ziewnęła.

— Wiesz przecież gdzie to jest? spytała obojętnie.

— Miałem oczy zawiązane.

— Mogłeś trochę im sfolgować...

— Dałem słowo.

— W takich rzeczach?

Staś się trochę obruszył.

— Ale mi już teraz na nie niepotrzebne, dodała Anna chłodno: dziękuję ci za staranie; ale musztarda przychodzi po obiedzie, ja wiem już wszystko...

— Jak to? zkąd? spytał staroście zdziwiony.

— Myślałeś, że się na ciebie spuszcze?... Przeczuwałam, żeś nadto młody do tój missyi poufnéj; prosilam kogo innego, i ten mi doszedł zaraz gdzie ona mieszka. Jutro zobaczę i osądzę własnymi oczyma...

Staś, który sądził, że mu będą bardzo wdzięczni, smutnie spuścił głowę.

— A! jak późno! zawołała Anna, patrząc w zwierciadło razem i w zegar nad kominem: idź spać! musiałeś się zmęczyć.

I podała mu białą, okrytą brylantowemi pierścieniami rączkę do pocałowania... mówiąc: „Dziękuję ci.“

W głosie tym było się można domyślić wymówki za okazany entuzjazm dla Julii, jakby: „Dziecko jesteś...“

— Nie mi pani nie masz więcej do rozkazania? spytał staroście.

— Tylko jak najściślejszą tajemnicę.. dobrano.

Staś smętny i pomieszany, powoli wyszedł jednem drzwiami, gdy Anna, zawsze biały swój szal wlokąc za sobą, sunęła się drugimi do sypialni, prowadząc Dzidzi, który naszczeniwał..

W ówczesnej alei Ujazdowskiej zaczynały już gdzie niegdzie wznosić się maleńkie drewniane lub w części murowane domki, wśród rozległych ogrodów. Głucho tu jeszcze było i mniej życia panowało w tej stronie niż dzisiaj, ale w lecie szukano tu powietrza wiejskiego, a ogrodnicy spekulowali, zasadzając owocowe drzewa i warzywa. Wśród tych sadów gdzie niegdzie mały parterowy domek, na letnie przeznaczony mieszkanie, wznosił się niepozorny i skromny. W ogóle male te mieszkanki nie zwracały oczu wcale, nikt tam znaczniejszy jeszcze się nie osiedlił... W pośrodku prawie alei, po prawej stronie jadąc od Warszawy, dosyć obszerny grunt opasywał w części mur, a w tyle wysoki parkan drewniany... Zamknięta prawie zawsze fórtka od alei nikogo nie nęciła, tak była prosta i niewykwintna. Od ulicy żadnego nawet domu widać nie było. Stał on w głębi otoczony drzewami, na końcu alei z grusz i jabłoni wyglądał jak uboga chatka ogrodnicza.

Nikt się tam nie domyślał mieszkańców, tak byli dobrze zakryci wśród zieleni, gałęzi i bujnych grząd ogródka... We dnie fórtka była szczelnie zamknięta a drugie wejście od Mokotowskiej uliczki, niedostrzeżone, niepozorne, służyło do codziennych stosunków z miastem... W tym domku o kilku pokojkach od roku już mieszkała Julia. Pani Lagrange uchodziła,

za jej ciotkę, a Folino i de Santis nie wiedzieli wcale o stosunkach pięknej dziewczeczki z księciem.

Stary Włoch wygadał się niepotrzebnie z uwielbieniem dla głosu nieznanomiej dziewczeczki z Ujazdowskiej alei, i przez jego to paplanie o portrecie księcia Józefa, wiszącym w pokoju jej, odkryto Julki mieszkanie.

Wszakże, wiedząc nawet gdzie się ukrywała, niełatwo się tam było dostać.. Pani Lagrange, surowa i podejrzliwa, obawiała się i księcia, i strzeżonej przez się dziewczeczki, i intryg miejskich, któreby spokojny jej byt zachwiać mogły. Furtka od alei otwierała się tylko na wieczorną przechadzkę, a od ulicy dla służącej i ogrodnika. Klucze zawsze prawie nosiła przy sobie sama Lagrange. Julka, której w tém zieloném gniazdeczku było dobrze, wcale nie utyskiwała na zamknięcie i odosobnienie, ciężyło ono nieco Francuzce tylko, ale powoli przywykała do niego.

Nazajutrz około południa od drzwi ulicy zadzwoniono natarezywie; trafiało się to często przez omyłkę szukających kogo innego, ale tym razem zakwefiona kobieta wyraźnie zażądała widzieć się z panią Lagrange... Wypadek był nadzwyczajny; służka pobiegła oznajmić, zostawiwszy przybyłą w korytarzyku...

Francuzka mocno się przelekła i wybiegła do sieni..

— Co to być może? kto to być może?

— Madame, odezwał się z pod czarnego kwefu głosik kobiecey: słówko tylko... pozwól mi wnijsć do środka.

— Pani... tu nikt nie wchodzi... ja nie mogę...

— Przychodzę od króla... przerwała nieznaną. Ściągniesz na siebie pani gniew jego, opierając się napróżno... Prowadź mnie pani do pokoju.

Lagrange zmieszana nie wiedziała co począć Tymczasem przybyła wyminęła ją i posunęła się żywo, instynktem zgadując dokąd iść należało...

W saloniku małym siedziała Julia u fortepianu i śpiewała... Czysty jój głosik rozlegał się daleko. Nieznajoma na palcach weisnęła się, stanęła, patrzyła, a kwef jój oddechem niecierpliwym się poruszał. Nie zważając na panią Lagrange, stojącą i drżącą ze strachu, rzuciła się na krzesło...

Julka śpiewała... Po chwili głos jój umilkł, ręce zsunęły się z fortepianu, zamyśliła się, westchnęła i oczy skierowały się ku pięknemu pastelowi Marteau, wyobrażającemu księcia Józefa...

Gdyby kto był w tej chwili podniósł czarną zasłonę, okrywającą twarz Anny, dojrzałyby gorejący na niej rumieniec, który przebijając bielidło, coraz krwawszym oblewał ją płomieniem zazdrości i gniewu... Ręce jój drżały, pierś podnosiła się żywo, naostatek odwinęła kwef, który ją osłaniał i podeszła wprost do klawikordu. Julia sądziła po chodzie, że pani Lagrange się zbliża, i przelekła się straszliwie, ujrawszy nagle zupełnie nieznajomą kobietę, wlepiającą w nią oczy ogniste, jakiegoś uczucia, dla Julii niewytlomaczonego, pełne... Krzyknęła porywając się z siedzenia.

Anna wciąż na nią jeszcze patrzyła, zdając się ciekawością przebijać zasłony. Wzrok ten zuchwały wielkiej pani, przglądającej się istocie, którą miała za daleko niższą od siebie, miał w sobie coś tak przykrego i bolesnego, że Julia uczuła od niego ból wewnętrzny; instynktowo otuliła się rękami, cofnęła krok, oddech się jój wstrzymał, uczuła zbliżające się niebez-

pieczeństwo i oczyma poczęła szukać opieki pani Lagrange, która stała w kątku, równie jak dziewczę przelekła.

— Czego pani chcesz odemnie? dla czego się tak we mnie wpatrujesz?

— Patrzę i nasycić się nie mogę! odparła syczącym głosem piękną Anna. Jesteś prześliczna moja panienko! ale ci to nie daje prawa jeszcze tak się patrzeć na ten portret... Za wysoko sięgasz oczyma...

Julia uczuła w piersiach jakby gorące żelazo.

— Pani! cożem winna?

— A tak! tyś nie niewinna, zawołała Anna miarkując się; tyś niewinna jak my wszystkie, i jak my padniesz ofiarą serca łatwowiernego... Ty go kochasz?

— Pani!.. Julii słów zabrakło; łkanie przecisnęło się przez usta...

— Ty go kochasz? nie prawdaz?

— Jesteż to grzechem? możeż być niebezpieczeństwem? spytała Julia, odzyskując przytomność. Cóż światu i pani, której nie znam, do moich uczuć i mojego losu?

— Mnie! ale ja cię chcę ratować, tyś nad brzegiem przepaści.

— Zkądże to miłosierdzie?

W tej chwili dwa wzroki kobiece spotkały się z sobą, i Julia poczuła się już równą Annie... Oburzyło się w niej uczucie godności.

— Czego pani chcesz odemnie? Co to wszystko znaczy? Dla czegoś tu pani weszła? Kto panią wprowadził?

Anna nie spodziewała się tego zagadnienia; idąc czuła się tak wyższą, tak silną, zdawało jój się, że tak z góry potrafi obejść się z wylekłą dziewcz-

czyną, iż teraz pojąć nie mogła, dla czego wstyd jej było, i jakiś ogarniał ją niepokój.

— O! nie gniewajże się moja piękna panno, dała uśmiechając się kwaśno. Jestem krewną, tak jak siostrą księcia... przyszedłam cię przestrasz i ratować. Rodzina nasza nie ścierpi takiej miłości, takiego związku; książę jest lekki i płochoy, nie chcemy też, żebyś na niego i na nas narzekala.

W tém wszystkiém bardziej jeszcze w głosie niż w wyrazach, było tyle płataniny, wahania się, sprzeczności, że Julii serce samo wskazywało jakiś podstęp.

W miarę jak wielka pani traciła odwagę, ona jej nabierała.

— Jedném pani słowem odpowiem, odezwala się Julia. Pomiędzy mnie a księcia nikt nie ma prawa wchodzić. Książę jest wolny, jam swobodna; wiem, że nas dzieli przepaść, i patrzę na nią śmiało, bo to ramię, na którym wesprzeć się mogę jak na ręku ojca, przeprowadzić mnie może przez nią, ale nie wepehnie w nią nigdy. Ja mu wierzę. Czernisz go pani, zarzucając mu płochość. Jest płochoy może z ludźmi płochoymi, jest poważnym i surowym ze mną i dla mnie. Cóż zresztą komu do tego, że cierpieć mogę? Skarżyć się nie będę, a jeśli chwilę spokojnego i czystego szczęścia oplacę tęsknotą długą... to mój rachunek z sumieniem i Bogiem!... Książę jest szlachetnym, książę jest dla mnie tylko opiekunem i bratem, a choć świat w przywiązaniu naszym dopatrzy plam, przez oczy splamione, ja wyjdę czysta i spokojna.. Tak jest pani, kocham go, zginę dla niego jeśli będzie potrzeba... ale siebie i jego nie skażę narzekaniem. Co wam do mnie ubogiej i biednej dziewczyny? co wam do cichego mego szczęścia?

Anna stała, słuchała ze zdumieniem. Ta śmiałość, ten zapal, z jakim mówiła Julia, były dla niej rzeczą tak nową, że się czula upokorzona i zmieszana.

— Przepraszam, odezwala się wreszcie — bardzo panią przepraszam. Spodziewam się, że mnie przynajmniej nie oskarżysz przed księciem.

— Nie mam dla niego tajemnie.

— Moje chęci były jak najlepsze... nie myślałam, że obrażę i narażę się... przyszedłam tu... ale się cofam... Nie chcesz pani rady... nie obawiasz się przyszłości... tém lepiej... ale strzeż się!... strzeż się!.. Młodość nie umie ocenić życia, rzuca się zuchwale...

Julka wcale nie przelekła się tych wyrazów, uczucie napełniało oczy jej łzami; podniosła je z wolna na portret księcia i dodała:

— Bądź pani spokojna... Ten, którego kocham, nie jest pospolitym człowiekiem, ani powszednim egoistą, wysysającym kwiaty motylem; więcej ja mu winnam, niż poświęcić dla niego mogę... Z radością, ze szczęściem poniosę życie w ofierze... i nie zakłócę jednej jego godziny... Odepchnie mnie, pójdę w milezeniu i nie jęknę...

To mówiąc, uklonem poważnym pożegnała Annę, która postawszy jeszcze chwilę, dōsyc pomieszana i prawie zawstydzona, powoli wysunęła się z pokoju.. Julia padła na kanapkę zemdlnona.

Z tego wejrzenia na Julię, na dōmek, w którym mieszkała, na to małe a skromne gospodarstwo wiejskie, Anna wyniosła tylko jedną naukę, zdawało się jej, że książę, aby kochać, potrzebuje miłość oprawić w ramki drewniane i bluszczem ją ustroić, że chce

cichego, skrytego, jakiegoś sielskiego kochania. Płocha wietrzniczka dostrzegła tylko lupinę, nie pojmowała istoty przywiązania i tego, co je rodziło.

— Ale ona wcale nie jest piękna, mówiła wracając do siebie: sądziłam ją daleko ładniejszą; ręce czerwone... choć zresztą male i kształtne... coś popolitego w postaci... trochę młodości... nie lękam się jój... Książę chce widocznie sielanki. O! potrafimy przecię i my ją skomponować.

Z głową rozplomioną wpadła do domu, a przed bramą zastała właśnie *Dziobatkę*, która odjeżdżała nie zastawszy jój. Wychyliła się z karety, przywołując przyjaciółkę i obie razem weszły do salonu. Na twarzy malowało się niezwykle uczucie.

— Nie powiesz nikomu? szeptać zaczęła gospodyni, zatraskując drzwi gabinetu. Słowo?...

— Najświętsze!

— Słuchajże! widziałam ją! byłam u niój!

— U kogo?...

— U kochanki Pepi. Doszłam, dotarłam, widziałam ją własnymi oczyma... wiem wszystko.

— A! mów! mów! jakże to wygląda?

— Fantazyja zdziżalego człowieka... niby sielanka! zaczęła nieporządnie odpowiadać Anna, mieszając to co widziała, co chciała zrobić, co sądziła i co się jój zdawało.

Widzenie się z Julią, rozmowa z nią, w ustach kobiety, której głowa zawsze czynniejszą była niż serce, przybrało dziwne rozmiary i charakter; zrobiła z niego scenę dramatyczną, przekreśloną, uzupełnioną i artystycznie dosztkowaną... Co szczególna, że własna Anny kompozytorka, zmieszana ze wspomnieniem

świeżem jeszcze, utworzyła dla niój nieprawdziwą prawdę, w którą jak najświęciej uwierzyła.

Dziobotka słuchała trochę niedowierzająco, ale dożyć sympatycznie.

— Wiesz co uczynię? dodała w końcu Anna: natychmiast najmę domek w alejach; stroję go, przebiegam się za dziewczeczkę prostą, i jestem pewna, że księcia Józefa mieć będę, że mu się oczy otworzą... *Elle est si commune!*

— Czekaj! myśl lepsza daleko, przerwała przyjaciółka. Oddalić tę panienkę, a zająć jój miejsce... zastanie ciebie w jój miejscu, to się przyeczyni do wrażenia; ona mu się już też znudzić musiała...

— Pst! pst! cicho! i tajemnica jak największa! Zobaczymy!

Potem trwały jeszcze długo narady, i przyjaciółki rozeszły się w jak najszcześliwszem usposobieniu, całując się serdecznie, co dowodziło, że jedna drugiej były w tej chwili potrzebne.

Przez kilka dni nic nowego nie zaszło. Julia, przechorowawszy odwiedziny Anny i długie omdlenie, na usilne prośby pani Lagrange, która się obawiała, aby jój książę nie oddalił i za opieszalność się nie gniewał, postanowiła zamilczeć o całej tej scenie, która na długo zostawiła w jój sercu smutek i jakieś zwątpienie. Gdy książę przybył wieczorem i zastał chorą Julię, wytłomaczyła mu się z tego zaziębnieniem, gorączką; domyślał się wprawdzie czegoś, ale Julia starała się usunąć podejrzenia. Nazajutrz rano przyjechał Lafontaine i nie znalazł prócz nerwowego podrażnienia osłabienia; szepnął księciu, że przyczy-

na słabości nie musiało być zaziębienie, ale jakies uczucie, jakiś wpływ moralny...

Podwoił księżę czułości, starania, wesołego humoru, aby te chmury rozproszyć, a na trzpiotowstwie i dowcipie nie zbywało mu; ale ta przymuszona wesołość zdawała się powiększać jeszcze smutek Julii.

— „Cóż się tu stało?“ mówił w duchu księżę. Stała się rozpytała Francuzki, ale wylękała staruszka zaklinała się na wszystko, że nie pojmuje co mogło być przyczyną smutku, że żadnej widocznej przyczyny nie wie i t. p.

Staroście Zabielski od owiej wieczornej wizyty w domku przy alei Ujazdowskiej chodził także jakby opętany... Dowiedział się od Anny o mieszkaniu Julii, zdawało mu się, że się w niej kocha, i począł myśleć o środkach zapoznania się i zbliżenia. Anna bardzo tę myśl prędko odgadłszy, popierała ją, rachując, że i to na coś przydać się może... Ale starania Zabielskiego, aby się dostać do domku, który pani Lagrange strzegła teraz z podwójną czujnością, do niego doprowadzić nie mogły. Wieczorami często godziny całe wartował staroście pod bramą, aby spotkać te panie wychodzące na przechadzkę, ale i to mu się nie udawało.

— Z jednej strony starać się, aby Julię zbalamucić staroście, z drugiej samę się podstawić w jej miejsce, to mój plan... Nie może się nie udać! mówiła Anna.

— Musi się udać! dodawała Dziobotka.

I spiskowały zajadle...

Tego wszystkiego ofiarą padł tylko nieszczęśliwy Zabielski, któremu najprzód zapaliła się głowa, od głowy zajęło się serce, a od niego poszedł pożar dalej, tak, że biedny młodzieniec chodził jak zwarzony...

Księżę Józef łatwo się domyślił uczucia.

— Kochany staroście, rzekł mu na ucho jednego razu na wieczorze u Potockich: przestrzegam cię, żebyś mi w drogę nie wchodził... Strzelam nieźle, i ręczę ci, że do serca człowieka, któryby mi chciał wydrzeć szczęście moje, nie chybię... Spokój tej kobiety droższy mi nad wszystko! Jeżeliś uczciwy człowiek i trochę znasz świat, nie myśl o żadnych intrygach... *à bon entendeur salut!*

Ale staroście ułać się nie mógł, a niebezpieczeństwo zwiększyło tylko namiętność.

Przez czas jakiś wszystko zdawało się w zawieszeniu; roboty były tak skryte, iż nici ich prawie na wierzch się nie pokazywały. Anna dla uspokojenia księcia Józefa, który ją podejrzewał o intrygę, udawała najzupełniejszą obojętność; zmieniła tylko nieco gusta i starała się okazywać jak najskromniejszą, głośno odzywając się z upodobaniem w prostocie. Strój jej zakrawał nieco na pasterki Boucher'a i Watteau... Kwiatek we włosach, biała sukienka, wstążka gładka, ubierały wielką panią, której z tém, wyznać potrzeba, dosyć było ładnie. Ale księżę zdawał się nie dostrzegać zmiany. Tymczasem niespokojny staroście pracował; głowa mu się coraz mocniej paliła... Nie mogąc dostać się do domku, w którym mieszkała Julia, przelał przez mur o zmroku i jak złodziej wartował pod oknami, aby przez uchyloną zasłonę choć jej twarzyczkę zobaczyć. Widział ją przy robocie, przy klawikordzie; gonił nadaremnie po przechadz-

kach; zbliżyć się nie mógł. Przypadek, który miesza się często do spraw ludzkich, zlitował się wreszcie nad niedolą starościca. W Warszawie bawiła u PP. Sakramentek zamieszkała stara guwernantka, która wychowywała siostrę Zabielskiego. Była to przyjaciółka ich domu; staroście czasami ją odwiedzał z polecenia matki. Raz w czasie téj krótkiej wizyty, stara poczęła się przed nim użalać na osamotnienie i nudy; starościna ją do Sakramentek wysłała, ale Francuzka nie godziła się z życiem klasztorném, tęskniła do świata i życzyła wyniść z pod klauzury.

— Gdybym znalazła siostrę moją, o której dobrze wiem, że jest w Warszawie—mówiła,—mieszkałybyśmy razem... Ale gdzie się ta Lagrange podziała, nie mogę dośledzić.

Poszukując siostry staréj guwernantki, Zabielski wpadł na trop i dowiedział się, że Lagrange mieszka przy Julce. Ostrożny, nie zawiadomił o tém od razu staréj przyjaciółki, ale obrachował, że ten zbieg okoliczności może pomódz jego zamiarom. Podjął się sam poszukiwań, pośrednictwa, i tak dostał się do domku Julii... Wielka miłość uczyniła go zręcznym dyplomatą... Lagrange, którą także od dawna szukała siostry, dała się uwieść nadzieją znalezienia jéj i trochę o niebezpieczeństwie grożącym Julii zapomniała.

Jednego wieczoru wpadł Zabielski do Anny, z oznajmieniem, że wszystko było gotowe.

Co? zobaczymy zaraz...

Gdy Anna w prostéj białéj sukience muślinowéj siadała do powozu, Zabielski puścił się w czwał ku Mokotowu...

Piękna Anna długo szukała stanowczego środka oderwania księcia Józefa od tego dziewczęcia, które uznała pospolitém, niegodném takiego szalonego przywiązania... i sama, jak mówiła, przez czystą miłość ludzkości, chciała się poświęcić, aby wydrzeć z sereca bohatera uczucie, tak szkodliwe pociągnąć mogące za sobą następstwa.

Plan, jaki ułożyła piękna pani był wcale oryginalny... Postanowiła oddalić Julię jakimkolwiekbądź sposobem, a sama zająć jéj miejsce. Nie wątpiła, że księżę urzawszy ją w tym domku, w stroju prostym, zniżającą się dla niego i przetwarzającą na prostą dziewczętkę, gwałtownie roznamiętnieć musi. Z drugiéj strony staroście miał porwać Julię... Spodziewał się, że dziewczę go pokocha... Wszystko zostało ukartowane jak najlepiej. Julia wśród przechadzki miała sięść do powozu z panią Lagrange, a powóz mimo jéj woli i wiedzy, uwieźć ją do domku przygotowanego przez starościca. Na nieszczęście pięknie osnute projekta, nie wiedzieć jak, zostały odkryte, choć pilnie starano się, aby w jak największej pozostały tajemnicy.

Gdy Zabielski, dawszy znać przed wieczorem Annie, sam dopadł koni i pogonił za mniemaną Julią, która uwiezioną być miała, Julia tymczasem jechała za wiedzą księcia do Jabłonny... Zabielski gonił tylko powóz, w którym siedziała stara guwernantka jego siostry...

Anna pośpieszyła do tego domku, w którym marzyła już scenę z księciem, mającą być pierwszą dramatu, osnutego naprzód i pełnego wdzięku jak obrazek Bacciarellego... Dojechawszy do alei, z bijącym sercem weszła do pustego domku, który zdawał się

być przygotowanym na jój przyjęcie. Wszystko tam tchnęło ciszą, spokojem i szczęściem sielankowém, które przed chwilą z niego uleciało... Na klawikordzie leżał jeszcze otwarty zeszyt Mozarta... Bukiet pół-zwiędły stał na stoliku, książka założona wstążką białą na kominie. Anna urządziła spotkanie, obmyśliła jak miała usiąść, aby książkę od razu jój twarzy nie spostrzegł, jak miała ułożyć postawę i ręce, głowę, aby się jak najwdzięczniejszą oczom jego objawić...

Za każdym szmerem odwracała głowę i w oczach się jój émiło; szukała wyrazów, któremi powitać go miała... Wyobrażała sobie zdumienie, rozpromienienie, upadnienie do nóg, załamane jego ręce... piękne oczy czarne zwrócone ku niéj, i... po chwili niepewności, przebaczenie, którém go po dobrej nauce moralnej obdarzyć miała.

Abyśmy następną scenę zrozumieć mogli, potrzebujemy wspomnieć o postaci, która w domu Anny najmniej była widoczna, w życiu jój bardzo podrzędną grała rolę, a przecież zwała się mężem i panem... Mąż i pan ów był w całym znaczeniu wyrazu człowiekiem swego czasu, typem wszystkich jego wad i słabości.

Zwał się on kasztelanem, ale trudno w nim było poznać potomka hetmanów i wysokiego dostojnika Korony, tak z cudzoziemska wyglądał. Od młodu wychowany na saskim dworze, pół-cudzoziemiec, nauczył się po polsku dopiero w późniejszym wieku i mówił wcale niepoprawnie, sztukając nieustannie wyrazami których w rodowitym języku mu brakło, branemi

z niemieckiego lub francuzkiego. Europa, która młode jego wykołysała lata, napoiła go największą wzdgardą dla domowego żywota, obyczajów, języka i stroju. W kraju mu się wszystko wydawało szkaradném, śmieszném, barbarzyńskiem; prawil nieustannie o postępie, o świetle, ale zarazem dla uspokojenia sumienia uznawał, że on był, *dans les circonstances presentes*, zupełnie niepodobnym. Nim więc miała się rozpocząć praca około zupełnego przerobienia społeczeństwa na kopyto zagraniczne, kasztelan znajdował najwłaściwszém nie nie robić i bawić się.

Ożeniwszy się z Anną, równie dla jój piękności, jak dla znacznego posagu, zaraz w intercyzie przewidział możliwość rozwodu, ale unikając go, gdyż byłby mu zaszkodził wiele w kredycie i interesach, żył z żoną wedle ówczesnej najświeższej mody. Małżeństwo wprawdzie zamieszkiwało pod jednym dachem, ale miało dwa własne gospodarstwa, zupełnie oddzielne: pani swój dwór, pan swych przyjaciół, swe zajęcia... Często bardzo nie widywali się całemi tygodniami; spotykając się w gościnie, przemawiali kilka słów i rozbiegali się w różne strony, nie pytając wcale co robili. Oboje zostawili sobie zupełną swobodę... Pan miał konie, ekwipaż, apartamenta osobne; pani swe kółko, kuchnię, usługę, konie, pokoje, do których mąż się wcale nie mieszał. Oboje tylko spotykali się z rachunkami u Teppera i Kabrita, a w razach zawikłań pieniężnych, odbywali konferencyę krótką, która się kończyła wdzięcznym uśmiechem i pocałowaniem ręki... Czas gorącej namiętności przeszedł bezpowrotnie, została przyjaźń chłodna; a że pożycie to nie skom-

plikowało się potomstwem, nie było dziś innego węzła między nimi nad wspólne interesa i względność wzajemną. Kasztelan w towarzystwie był człowiekiem bardzo miłym, wykształconym, nawet rozsądnym, gdy o cudze chodziło sprawy; do swoich nie używał wcale tego chłodnego narzędzia i był posłusznym niewolnikiem chwilowych namiętności. W granię wyżyły i wystygły, obojętny na wszystko, prócz siebie, przez kalkulację tylko nie popełniał ani nieprzyzwoitości, ani zazdrości wielkich, które zawsze życie mają; znajdował, że najlepszą rachubą było okazywać się o ile możności uciechliwym i łagodnym człowiekiem. Lubiono go powszechnie, ale wiedzianno, że na niego rachować nie można, i nie używał też wcale wziętości. W towarzystwach nieznaczając grał rolę. Życie jego zresztą upływało, po za widocznyemi szrankami urzędowej jego egzystencji, przy jakiejś Włoszce śpiewaczce, przy przyjaciółce wojewodzinie, dla której miał przywiązanie niewytłomaczone i niezrozumiałe dla nikogo, jakąś potrzebę serca, a głównie przy stolach gry, gdyż kasztelan namiętnym był graczem. Ta passya pochłaniała czas, pieniądze, spokój, zdrowie, wszystko... i wprędce nawet na zdziwienie umysłu wpłynęła. Całe noce grano u niego, lub on grał u drugich, a często różnica w grze wynosiła tysiące dukatów. Kasztelan nie był nieszczęśliwym graczem, ale zdarzało mu się przegrywać wszystko, aż do solitera, który nosił w żabocie, i tarantowego cugu, którym jeździł.

Takim był ów mąż Anny, którego ona zwała zwykle najlepszym swym przyjacielem, ale z nim wi-

dywała się jak najmniej i jak najkrócej. Zresztą z sobą w najczulszych stosunkach wygasła miłość, zastąpioną wspomnieniami...

Kasztelan był tego wieczoru u Ponińskiego na faronie i zabierał się grubo stawiać, gdy tajemniczym bilecikiem znać mu dano, że go ktoś nieznamy oczekuje na drugim końcu miasta. Wcale to było mu nie na rękę, ale bilecik zakrawał na awanturkę kobiecą, a kasztelan łakomy był na tego rodzaju coraz nowe przygody. Posadziwszy na swém miejscu stryjeczno-go brata, siadł do karety i poleciał do fórtki, którą mu nieznamy człowiek, oddawca listu, miał wskazać...

Napróżno go rozpytywał, posłaniec milezał jak mur... Galopem jechali w aleje...

— Ani chybi, pewnie się komuś zamarzyło ostrzedz mnie o jakiejś niewierności mojej Marynety, jak gdybym ja się tego nie domyślał i nie przeczuwał... O! co to za śmieszni ludzie!.. Albo może Rozyna mnie wabi; bo ostatnim razem w teatrze rzuciła na mnie wzrokiem pełnym obietnic najslodszych...

Kasztelan w tych domysłach dojechał do fórtki i wszedł do ogródka, przez który go przeprowadzono. Gałęzie drzew pomieły mu nieco fryzurę i podrapały suknie; wilgoć dała się czuć przez delikatne trzewiki, i z ciekawością gorącą wszedł do pokoiku...

Jedna świeca woskowa mdle po nim rozlewała światelko. W kątku odsuniona nieco ode drzwi,

plikowała jej sukni ukazywała się siedząca postać kobie-
ła mię nikogo więcej.

wza? Była to, jak się łatwo domyślić można piękna

Anna, która w przychodzącym spodziewała się ujrzeć
księcia Józefa. Serce jej biło mocno; chciała co naj-
rychlej zwrócić głowę i wahała się jeszcze... Kasztel-
lan wchodził na palcach, oglądając się.

— Sama! a więc *rendez vous*... Ale to nie Rozyna
Któż to być może?

I zbliżał się na palcach...

— Prześliczna figura!... co za rączki!

Piękna Anna obejrzała się w tej chwili, i kaszte-
lan zdrewniał ze zdziwienia, postrzegłszy... własną żo-
nę... Przestrach i zdumienie Anny niemniejsze było,
ale w téjże chwili zręczna kobieta zmierzyła myślą
swe położenie, przeczuła krwawego figła, jakiego jej wy-
rządzono, i postanowiła wyjść z niego zwycięzko.
Twarz jej na chwilę tylko uległa wrażeniu trwogi
i niepewności; siłą woli wywołała na nią zaraz uśmiech,
który rozległ się wesołą i doskonale odegraną rado-
ścią...

— A kasztelanie! zawołała: jużes też tak o mnie
zapomniał, zem musiała aż do figła się uciec, aby cię
tu zwabić... i choć chwilę sam na sam z tobą przepę-
dzić... Nie prawdaż? doskonała sztuka!

Kasztelan jeszcze nie mógł przyjść do siebie; twarz
jego z trudnością rozjaśniła się; pocałował w rękę
żonę, która drżała jak on, i usiadł przy niej ocera-
jąc pot z czoła...

— Ah! *c'est parfait!* zawołał z przymuszonym gry-
masem.

— O! pomszczę się! pomszczę! cicho szepnęła
Anna...

Cała Warszawa nazajutrz podawała sobie na ucho
zabawną historję téj niespodzianki.

łównie wielkiego doznał zdziwienia staroście, gdy
urządzonym wykwinlinie domku zamiast Julii zastał
a guwernantkę swój siostry, naiwnie przyjmującą
ten zachód na swój rachunek, jako dowód wdzięcz-
ci rodziny. Z początku stał chwilę, gryząc so-
usta, blizkim był wybuchu, ale zmiarkował, że
takich razach lepiej jest i rozumniej pogodzić się
z losem i z uśmiechem przyjąć jego igraszkę...

— Jest to zdrada, której nie daruję nigdy! Jutro
całe miasto szydzić będzie ze mnie... Stanę się po-
śmiewiskiem... to szkaradnie... to ohydnie...

Rozplakana Francuzka, błogosławiąc go i okrywa-
jąc epitetami najwyszukańszemi, pełna wdzięczności,
której tak niespodziany odebrała dowód, wstrzymała
starościca, przyjmując go jakby u siebie i nie dając
mu się wyrwać przykrym oświadczeniom, na które
czuł, że wcale nie zasługiwał...

Nareszcie napiwszy się herbaty, zamysłony, kwaś-
ny, ale znacznie ostygły, Zabielski powrócił do War-
szawy. Kazał pakować natychmiast i o świcie wy-
szedł do Paryża, nie pokazując się już nigdzie...

O Julii i o księciu wszyscy jakoś mówić prze-
ali...

Nazajutrz, jak zwykle, książkę pokazał się w swym
kwipażu w alejach, wesoły, spokojny, piękny jak

Apollo. Oddał wizytę Annie, której w domu nie zastał; był u Dziobatej, która go przyjęła, mówiąc mu o polityce, o wojnie, o przyszłym sejmie, i pożegnała ceremonialnie; odwiedził na ostatku kasztelana, winszując mu zbliżenia się do żony, co ten przyjął dosyć ozięble...

Wieczorem widziano go na reducie.

W rok potem... książę Józef zniknął na dni kilka z Warszawy, i powrócił blady, smutny, cierpiący. Domyślano się jakichś cierpień serdecznych, ale najgłębsza tajemnica okrywała jego czynności...

Na Powązkowskim cmentarzu spostrzeżono go wkrótce potem, przy poświęceniu grobowca skromnego, który nie wiadomo czyje pokrywał zwłoki. Składał się on ze złamanej kolumny, owitej bluszczem; na tablicy u spodu stało jedno imię tylko:

JULIA.

Zmarła dnia... roku 178..

Znajdziemy się za światem!



Ac o powoda bawro cie w
książ

Andrzej Kwizda

1516

40989

821.162.1
Krauszewski
Fotografis